www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 12 (898)
20-26.03.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Arkadiusz Szcześniak: Frankowicze mogą wygrać z bankami

Prof. Andrzej Leon Sowa: Armia Krajowa bliżej i dalej Moskwy

WOJSKO NA MINIE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
12 >
9 771509 311706

eprasa.pl ab0

21-23 KWIETNIA 2017, CENTRUM MT POLSKA

UL. MARSA 56C, 04-242 WARSZAWA

Organizator: MTtargi Polska

Kontakt: tel. + 48 22 529 39 00 | e-mail: lato@mttargi.pl | **www.targilato.pl**

eprasa.pl ab0a4c82c6

CYTATY

DANIEL PASSENT, KOMENTATOR
Premier Szydło jest zwolenniczką zasad, ale są to zasady odrzucane od Brukseli do Wenecji.
„Polityka”

AGNIESZKA GROCHOWSKA, AKTORKA
Mam nadzieję, że ludzie dostrzegą, że są totalnie manipulowani.
„Duży Format”

WOJCIECH WAGLEWSKI, MUZYK
Nie poznałem żadnego dzieła literackiego czy malarskiego, które stworzył ktoś bliski opcji rządzącej, a które by mnie zachwyciło.
„Tygodnik Powszechny”

GEN. MIROSŁAW HERMASZEWSKI, KOSMONAUTA
Jestem przekonany, że w kosmosie nie jesteśmy sami.
„Viva!”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Puste miejsce po PiS

Czego można się dowiedzieć z mediów, które kiedyś miały być publiczne, a teraz zostały nazwane narodowymi? Choć nigdy publiczne, czyli kontrolowane przez społeczeństwo, nie były. A narodowe są tylko dla tej części Polaków, która jest przekonana, że większość sąsiadów czy współpracowników na przynależność do narodu nie zasługuje. Wiedzę o tym, kto wypadł z listy obywateli polskich, ludzie ci czerpią właśnie z tych mediów, zagrabionych po zwycięstwie przez ich obóz polityczny. Ogranicza się ona do prostych przekazów, dla utrwalenia wielokrotnie powtarzanych. Grupa niezwykle hojnie wynagradzanych pracowników mediów, którzy tam pracują, bo są ulubieńcami PiS, tłumaczy narodowi, jak ma rozumieć kolejne karkołomne wolty partii i rządu. W określenie, że TVP i Polskie Radio są aktualnie mediami narodowymi, nie wierzy już nawet aktyw PiS. Działacze widzą przecież, że ludzie coraz rzadziej przyznają się publicznie do sympatyzowania z ich partią. Jeszcze nie tak dawno, bo rok temu, na pytanie, kto głosował na PiS, podnosił się las rąk. A dziś? Gdzie się podziały te miliony wyborców? Notowania jeszcze są dobre. Ale już wiadomo, że szczyt poparcia i zaufania społecznego partia Kaczyńskiego ma za sobą. Przed sobą zaś prawdziwy sprawdzian – z umiejętności korygowania błędów. Wygrać z PO i PSL nie było znowu tak trudno. Zwłaszcza przy głębokim kryzysie lewicy. Lista błędów i zaniechań Tuska, Pawlaka i Piechocińskiego jest wystarczająco długa, by tym ekipom podziękować za majstrowanie przy polityce. Pokazały, że to nie jest zajęcie, za które Polacy powinni im płacić.

Próby powrotu do polityki byłych ministrów z byłej koalicji rządowej PO-PSL to największa nadzieja PiS na trwanie przy władzy. Gdy słucham mądrości wygłaszanych w parlamencie przez byłych luminarzy, myślę sobie, ile trzeba mieć bezczelności, by tak gładko przesiąść się z limuzyny rządowej do sejmowej i prawić ludziom komunały.

PiS już sporo pokazało z tego, jakie jest. Ma jednak jeszcze spory zapas słów i decyzji, które będą wywracały standardy i obyczaje, obrażały ludzki rozum. Ale z opozycją jest jeszcze gorzej. Większość Polaków, obserwując starych rządzących i nowych aspirujących do władzy, nie potrafi w nich dostrzec potencjału zmiany. Miejsce na partię, która może zastąpić PiS, jest puste.

FAULE

Szanujcie listonoszy

Listonosze mają dość. I trudno się dziwić. Zarobki tragicznie niskie, a roboty coraz więcej. 10 lat temu InPost Rafała Brzoski pracowników zatrudniał na śmieciówkach, płacił im grosze i wygrywał przetargi z Pocztą Polską. Ku radości rządu Tuska, dla którego agonia firmy państwowej była dowodem wyższości wolnego rynku. Najchętniej by zresztą firmy państwowe sprzedali albo zaorali. Na szczęście PO wykopali wyborcy. Tyle że wcześniej Poczta Polska zwolniła 5 tys. listonoszy i zamroziła im płace. Gdy oszukańczy InPost upadł, listonosze dostali dodatkową robotę. Ale nie kasę. Choć zarząd ma na film „Smoleńsk” i „wyklętych”.

Mamy do Poczty Polskiej wiele pretensji! Prenumerata to horror i kompletny bałagan. Ale listonoszy szanujemy. I popieramy.

BĄKOWSKI

eprasa.pl ab0a4c82c6

W NUMERZE

KRAJ

8 **Wojsko na minie**
Działania ministra Macierewicza zagrażają państwu

10 **Wojsko odzyskuje głos**
Dowódcy mówią: dość

13 **Armia bez głowy**
– rozmowa z gen. Waldemarem Skrzypczakiem

14 **Z bankiem można wygrać**
– rozmowa z Arkadiuszem Szcześniakiem

18 **Energetyczna wizja szaleńców**
Kopalnia zamiast 18 wsi

22 **Elementarz marnotrawstwa**
Podręcznik idzie do kosza

24 **Polska została na lodzie**
– rozmowa z dr. hab. Markiem Grelą

32 **Światła nie gaście!**
– rozmowa z dr Anną Materską-Sosnowską

ZAGRANICA

27 **W uścisku sułtana**
Korespondencja z Berlina

30 **Cybernetyczne gwiezdne wojny**
CIA wymaga reformy

KULTURA

36 **Typ liryczny**
Wspomnienie o Wojciechu Młynarskim

40 **Każdy człowiek to artysta**
– rozmowa z Leszkiem Możdżerem

42 **Grzesiuk – syn ulicy**
Losy chłopaka z ferajny

46 **Qulturalia**

66 **Daniel Pielucha: Nadrealizm Polski**

HISTORIA

48 **AK bliżej i dalej Moskwy**
– rozmowa z prof. Andrzejem Leonem Sową

56 **Lilia Wawelu**
Prof. Zbigniew Mikołejko o królowej Jadwidze

OPINIE

52 **Prof. Andrzej Werblan**
Dwa oblicza Berii

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Puste miejsce po PiS

21 **Tomasz Jastrun**
Przy metafizycznym zlewie

39 **Edward Mikołajczyk**
Loteria Glińskiego

22 KRAJ

ELEMENTARZ MARNOTRAWSTWA
Podręcznik idzie do kosza

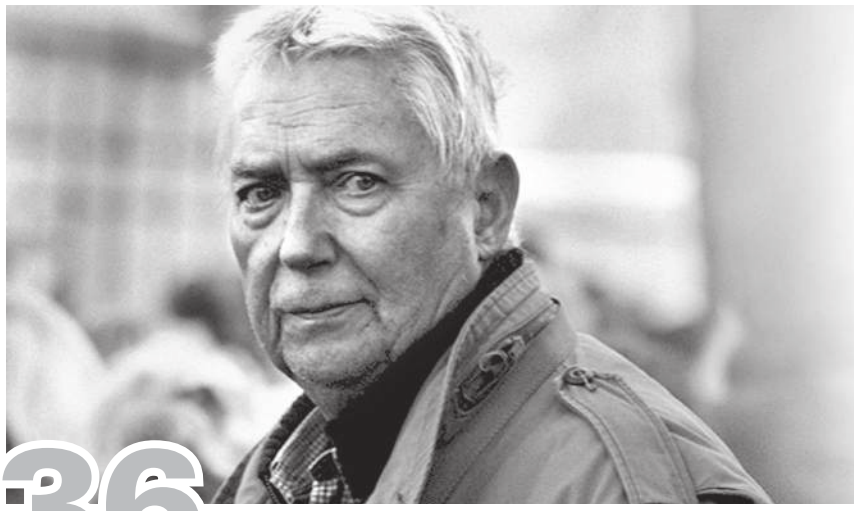

36 SYLWETKI

TYP LIRYCZNY
Wspomnienie o Wojciechu Młynarskim

40 KULTURA

KAŻDY CZŁOWIEK TO ARTYSTA
– rozmowa z Leszkiem Możdżerem

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. Wojciech Stróżyk/Reporter East News, AFP Photo/East News, archiwum

eprasa.pl ab0a4c82c6

BOHATERÓW BYŁO NIEWIELU

Jest mi bardzo przykro, że najwyższe władze naszego kraju niezwykle uroczyście obchodziły Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych". Słowa, które padały w trakcie uroczystości o bohaterstwie tych żołnierzy, służą fałszowaniu historii. Na palcach można policzyć bohaterów w tym gronie. Z rąk „żołnierzy wyklętych" zginęło przecież przeszło 5 tys. osób cywilnych, a jedyną ich winą było włączenie się w proces normalizacji i odbudowy kraju. Pamiętam, że kiedy przyjechał do nas stryj, tułacz wojenny, który wojnę spędził we Francji, w Szwajcarii i Anglii, leśni w nocy splądrowali nasz dom. Zawiedli się, bo ani stryj, ani rodzice, którzy byli rolnikami, nie mieli niczego cennego. Zabrali tylko kawałek skóry do zelowania butów przywieziony przez stryja. Dziękuję redakcji PRZEGLĄDU za artykuły poszerzające wiedzę o działalności „żołnierzy wyklętych".

Anna Janicka, Warszawa

•

Rozmawiałem z wieloma osobami pamiętającymi „wyklętych". Niezależnie od wyznania i przekonań ludzie mieli dosyć ich nocnych wizyt, w najlepszym wypadku kończących się rekwizycją żywności i lepszych ubrań, w najgorszym – absurdalnym wyrokiem śmierci. Na Suwalszczyźnie mówiono o nich „kindziukarze", bo najczęściej na rabunku polegała ich działalność patriotyczna. Hajnówkę od Zaleszan dzieli kilkanaście kilometrów, marsz ku czci „Burego" to niebywała prowokacja. Obecna władza uważa ludność prawosławną za przeciwników politycznych, drugi sort. Budzi to skojarzenia z polityką narodowościową II RP.

Biały 56

ZA TYDZIEŃ

WACŁAWA MYŚLIWSKA
Pierwsza czytelniczka męża

WAWRZYNIEC KOSTRZEWSKI, REŻYSER TEATRALNY
O teatrze, który prowokuje

ZAWAŁ, SZPITAL I… CZARNA DZIURA
Brak rehabilitacji niweczy wysiłki lekarzy

WALCZĄ W AMAZONIE, SZWALNI I W MUZEUM
Związkowcy z Inicjatywy Pracowniczej

POLACY LUBIĄ SILNĄ WŁADZĘ

Anna Cybulko w rozmowie „Polska podzielona" (PRZEGLĄD nr 11) stwierdza, że gotowych do udziału w szeroko rozumianym dialogu jest nie więcej niż 10% społeczeństwa. Ma absolutną rację, bo lubimy silną władzę, która będzie załatwiać za nas większość spraw. W poprzednim systemie, który jest przedstawiany w karykaturalnej formie, większość społeczeństwa była zadowolona. Wtedy nie kupowało się mebli czy lodówki, wszystko się załatwiało. Fenomen Solidarności nie jest wyjaśniony do dzisiaj.

I jeszcze dygresja. Z chemii wiemy, że mamy kwas siarkowy i siarkawy. Opracowania naszych naukowców też są naukowe i naukawe. Niestety, większość opracowań należy do tej drugiej kategorii.

Leszek Kloch, Wrocław

ZDJĘCIE TYGODNIA

Biskup diecezji warszawsko-praskiej Henryk Hoser na zebraniu plenarnym Konferencji Episkopatu Polski. Warszawa, 13 marca.

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER/EAST NEWS

eprasa.pl ab0a4c82c6

★ **Gen. Zbigniew Ścibor-Rylski ps. „Motyl",** partyzant, żołnierz AK, bohaterski dowódca kompanii w powstaniu warszawskim, prezes Związku Powstańców Warszawskich, skończył 100 lat. Mimo sprawy lustracyjnej, którą mu wytoczył niezawodny IPN, cieszy się ogromnym autorytetem i zaufaniem środowiska powstańczego. *Ad multos annos*, Panie Generale!

★ **Prof. Adam Strzembosz,** były prezes Sądu Najwyższego, został nagrodzony przez redakcję „Rzeczpospolitej" tytułem **Prawnika Roku** w uznaniu zasług w obronie rządów prawa i trójpodziału władz.

★ **Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej** wybrało władze organizacji na kolejne cztery lata w składzie: **Jerzy Domański** – przewodniczący, **Sławomir Pietrzyk** – wiceprzewodniczący, **Andrzej Maślankiewicz** – sekretarz generalny, **Jerzy Byra** – skarbnik i **Tomasz Miłkowski** – sekretarz ds. międzynarodowych.

★ **Dr Marek Bachański,** neurolog, który **leczył medyczną marihuaną** dzieci chore na lekooporną padaczkę, za co został dyscyplinarnie zwolniony z pracy w Centrum Zdrowia Dziecka, **wygrał sprawy sądowe,** co oznacza, że wraca do CZD, i planuje wrócić do poprzedniego leczenia.

★ **Agata Pustułka** z „Dziennika Zachodniego", **Matylda Witkowska i Jarosław Kosmatka** z „Dziennika Łódzkiego", **Mariusz Urbanek** z „Odry" i **Halina Retkowska** zostali laureatami **Nagrody im. red. Piotra Różyckiego** w konkursie organizowanym przez tygodnik „Angora".

✖ **Trybunał Konstytucyjny** pod przewodnictwem **mgr Julii Przyłębskiej** uznał, że zgromadzenia cykliczne, a chodzi tu o tzw. **miesięcznice, mają pierwszeństwo** przed innymi zgromadzeniami. Wyrok wydali sędziowie niemający mandatu do zasiadania w tym gremium. A radość nominatów PiS nie miała granic. Wstyd za nich też jest bezgraniczny.

✖ **Beata Gosiewska** domaga się dla siebie i dwojga dzieci kolejnego zadośćuczynienia za śmierć męża w katastrofie smoleńskiej. Oprócz dotychczas wypłaconych 890 tys. zł żąda jeszcze 750 tys. zł. Tym razem od MON.

✖ **Wojewódzki Sąd Administracyjny w Krakowie** wydał kuriozalny wyrok w sprawie zwrotu nieruchomości wywłaszczonej w 1929 r. w trybie ustawy z 1878 r. Tylko jeden sędzia zgłosił zdanie odrębne.

✖ **Ponad 421 tys. pustych faktur** na prawie 104 mld zł mogło wpłynąć na stratę podatkową w wysokości 19 mld zł. Tyle wykryła kontrola skarbowa. A ile było ich faktycznie?

✖ **Wójt gminy Smołdzino Arkadiusz Walach** dostał zgodę Ministerstwa Środowiska na budowę kaplicy na wzgórzu Rowokół w Słowińskim Parku Narodowym. Teren jest ściśle chroniony przed ingerencją człowieka, ale – jak widać – nie przed „dobrą zmianą".

PRZEBŁYSKI

JAK ZIOBRO UPOKARZAŁ GLIŃSKIEGO

Minęły cztery lata od złożenia przez PiS wniosku w sprawie konstruktywnego wotum nieufności dla rządu Tuska. I wystawienia przez PiS kandydatury prof. Piotra Glińskiego. Na premiera technicznego. Wystąpienie Glińskiego z tabletu Kaczyńskiego zaskoczyło nawet starych wyjadaczy sejmowych.

Największa krytyka spotkała wówczas Glińskiego ze strony Solidarnej Polski. Byli w niej Jacek Kurski (dziś prezes TVP) i Ludwik Dorn (teraz ulubieniec TVN 24, a zwłaszcza Moniki Olejnik). Szef tej sekty Zbigniew Ziobro mówił wówczas, że Gliński „uczestniczy w propagandowym przedsięwzięciu" i „politycznej fikcji, która ma wyłącznie PR-owskie cele". I miał rację. Spotkanie z klubem Solidarnej Polski nazwał Gliński przesłuchaniem. I też miał rację.

Przesłuchanie i upokorzenie Glińskiego wymyślił Kurski. Ten to ma chyba wrodzony pociąg do robienia świństw. A dziś to napieprzające się wtedy towarzystwo wyrywa sobie wspólną miskę z konfiturami. Wspólną, bo są przecież drużyną „dobrej zmiany".

DWORCZYK, CIEMIĘŻONY ARTYLERZYSTA

A to się Macierewiczowi trafiło. Na zastępcę tego egzotycznego ministra przyszedł ktoś równie nietypowy. Michał Dworczyk. Poseł, oczywiście z PiS, i oczywiście z przeszłością kryminalną. Ale już nie ofiara PRL, jak choćby Piotrowicz czy Przyłębski. Dworczyk jest ofiarą jeszcze bardziej nieludzkiego reżimu, czyli III RP. Od małego interesował się bronią. Ciągnęło go do amunicji. Zwłaszcza artyleryjskiej. Zbierał ją więc pracowicie i znosił do piwnicy. A mieszkał w dziewięciopiętrowym warszawskim bloku. Sąsiedzi, powiązani pewno z reżimem, ściągnęli policję. Oj, działo się wtedy, działo. Cała ulica miała mocne przeżycia. Reżimowy sąd nie znał litości i skazał Dworczyka na półtora roku więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Morał z tego taki, że Dworczyk pasuje do MON jak pocisk do armaty. Piwnic też w MON nie brakuje. Tylko Macierewicz jakiś rozdygotany.

SPRINGEROWSKA SZKOŁA MORALNOŚCI

Prawie cztery lata musiała czekać Julia Chmielnik na sprawiedliwość. Na moment, w którym brukowiec „Fakt" przeprosi ją za serię paszkwili, jakie uporczywie drukował między majem a sierpniem 2013 r. Kłamano na pierwszej stronie i na pierwszej stronie Springerowskiego „Faktu" Grzegorz Jankowski, ówczesny wieloletni redaktor naczelny tego niemieckiego desantu, i wydawca przepraszają Julię Chmielnik. Taki jest finał jednego z wielu przegranych przez Jankowskiego i „Fakt" procesów o zniesławienie. I z pewnością nie ostatniego. Co w niczym nie przeszkadza pisowskim narodowym mediom, w których Grzegorz Jankowski teraz występuje jako autorytet i ekspert.

FOT. YOUTUBE.COM (2), MATERIAŁY POLICYJNE, MATERIAŁY PRASOWE, FAKT

eprasa.pl ab0a4c82c6

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

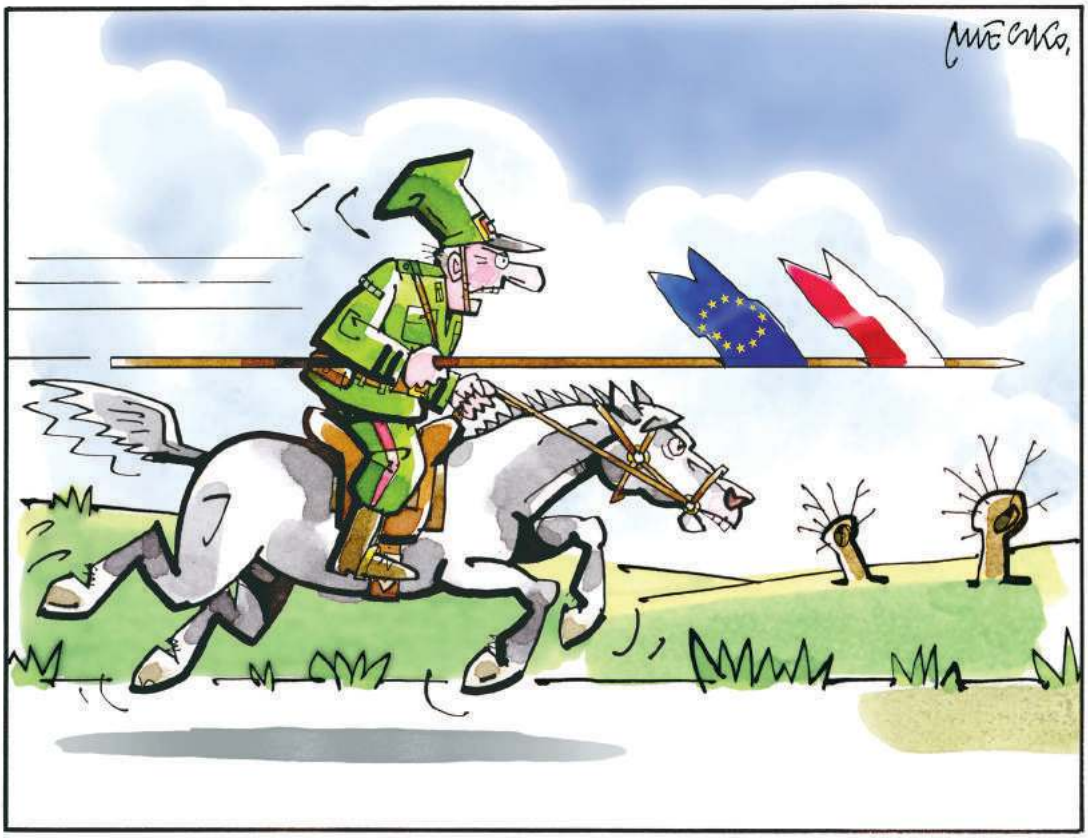

www.sklep.mleczko.pl www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy sprawcom śmiertelnych wypadków drogowych powinno grozić dożywocie?

DR HAB. MONIKA PŁATEK,
Instytut Prawa Karnego UW

O wiele ważniejsze niż zmiana zagrożenia karą jest prowadzenie świadomej, mądrej polityki mającej na celu zmniejszanie liczby wypadków śmiertelnych. Stosunkowo niewielka ich część jest powodowana przez pijanych kierowców, natomiast większość jest wynikiem nieodpowiedzialnych zachowań na drodze. Musimy brać pod uwagę, że są to przestępstwa nieumyślne. Jeśli ktoś użyłby samochodu do świadomego zabicia człowieka, mamy wtedy do czynienia nie ze skutkiem śmiertelnym wypadku drogowego, tylko z zabójstwem, za które prawo przewiduje również karę dożywocia. Władza ma skłonność do umywania rąk od problemów społecznych, sądząc, że podwyższenie zagrożenia karą cokolwiek zmieni. Tymczasem skuteczna polityka społeczna wymaga nie straszenia obywateli, ale kształtowania u nich pewnych nawyków, np. zatrzymywania się za każdym razem, gdy zbliżają się do pasów, zwracania większej uwagi na pieszych i rowerzystów. Równie ważne jest to, żeby sama władza nie wykazywała arogancji i nie łamała przepisów, również drogowych.

DR DOROTA BĄK-GAJDA,
psycholog transportu, Uniwersytet SWPS

Wypadek drogowy jest sumą wielu czynników, najczęściej jednak błędy popełnia człowiek. Sprawcy zdarzeń drogowych, w których są ofiary śmiertelne, niezwykle rzadko działają z zamiarem spowodowania wypadku i pozbawienia kogoś życia. Z mojego punktu widzenia – osoby pracującej ze sprawcami wypadków – większość bardzo żałuje swoich zachowań i chciałaby cofnąć czas. Uważam, że sprawcy wypadków powinni odpowiadać za swoje czyny i oczekiwać nieuchronnej kary. Resocjalizacja osób osadzonych zakłada poprawę zachowania, a sprawcy wypadków są podatni na reedukację z zakresu bezpieczeństwa ruchu drogowego. Dlatego jestem zdania, że orzekana sądownie kara powinna zakładać inny wymiar czasowy niż dożywocie.

BOŻENNA CHLABICZ,
prezes Fundacji Zapobieganie Wypadkom Drogowym

To pytanie nie jest wcale łatwe, a odpowiedź nie może być jednoznaczna. Sprawców śmiertelnych wypadków drogowych należy karać adekwatnie do sytuacji, tak samo jak inne osoby, których działanie doprowadziło do śmierci człowieka. Sąd ma nie tylko prawo, ale i obowiązek ocenić przyczyny, motywy i inne aspekty, których skutkiem była tragedia. Dożywocie to jedna z możliwych kar, jednak nie ta kwestia stanowi sedno problemu, jakim są wypadki drogowe i ich skutki. To nie przypadek, że zależy nam na zapobieganiu tym zdarzeniom. Na miarę możliwości i środków nasza fundacja zajmuje się edukacją dla bezpieczeństwa – zarówno najmłodszych uczestników ruchu, pieszych, kierowców, jak i tych, którzy ich szkolą. Niestety, w tym zakresie jest wiele potrzeb, braków, zaniedbań. A mogłoby się wydawać, że nikt nie wątpi, że lepiej zapobiegać, niż leczyć...

MAREK GŁOWINKOWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Każdy, kto proponuje dożywocie, niech sam wpierw się postawi w roli sprawcy. Nawet notoryczny pijak po 10 latach w więzieniu pokornieje. Wypadek to zdarzenie losowe, w którym występują okoliczności obciążające i łagodzące. Od tego, by je rozpatrzyć, jest sąd. Jeśli jednak brakuje okoliczności łagodzących, sąd powinien mieć prawo do zmiany kwalifikacji na usiłowanie zabójstwa, a samochód uznać za narzędzie zbrodni. Do tego nie trzeba zmieniać prawa. Chyba że pan (z tych panów) Zbyszek chciałby mieć cały naród w więzieniu lub przynajmniej szantażować więzieniem.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl ab0a4c82c6

Przy takiej skuteczności przetargowej, jaka cechuje rządy ministra Macierewicza, wyposażenie naszej armii niedługo będzie się nadawało do Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej.

WOJSKO NA MINIE

Działania ministra Macierewicza zagrażają bezpieczeństwu państwa

– Nadszedł taki czas, że żołnierza polskiego się nie szanuje, nadszedł czas pogardy dla polskiego żołnierza – tak działania ministra Antoniego Macierewicza podsumowuje gen. broni w st. spocz. Waldemar Skrzypczak, były dowódca wojsk lądowych i były wiceminister obrony. – Ten facet i jego pretorianie zrobili wiele krzywdy polskiemu wojsku.

– Minister Macierewicz organizuje swoje igrzyska nienawiści. Upokarza kolejne grupy oficerów. Łamie kręgosłupy, a jego publiczne wypowiedzi to jak cios z plaskacza w twarz. Nie wiem, jak generałowie mogą to jeszcze znosić. Gdyby cenili swoją godność, powinni zasalutować i powiedzieć: „No to czołem" – to słowa płk. Krzysztofa Przepiórki, komandosa i weterana elitarnej jednostki GROM, z początku grudnia zeszłego roku.

Niedługo potem przyszła fala dymisji najważniejszych dowódców polskiej armii. Odeszli m.in. szef Sztabu Generalnego WP gen. Mieczysław Gocuł i jego zastępca gen. broni Mirosław Różański – dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, gen. broni Marek Tomaszycki – dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych, szefowie inspektoratów poszczególnych sił zbrojnych. Ostatnio gen. bryg. Jerzy Gut – dowódca Komponentu Wojsk Specjalnych. W sumie według informacji medialnych rezygnację złożyło kilkudziesięciu generałów i prawie trzy setki pułkowników. Grupa generalska straciła ponad jedną czwartą stanu, a grupa pułkowników – jedną szóstą. To straty większe niż na wojnie.

Odchodzą, bo mają dość. Dość nieodpowiedzialnego ministra i jego totumfackich. Dość poniżania munduru i upolityczniania. Dość rozwalania armii i zamieszania z przetargami na sprzęt. – To, co się dzieje, to osłabienie naszej pozycji w NATO – przestrzega gen. Skrzypczak. – Sojusznicy przyglądają się temu, że z polskiego wojska odchodzą najbardziej doświadczeni ludzie. To może mieć daleko idące konsekwencje. Na przykład wyprowadzenie wojsk amerykańskich.

Odchodzący ze służby oficerowie przestają milczeć. Coraz głośniej mówią, że nasza armia pogrąża się w chaosie. – To jest wycinanie w pień ludzi, którzy wcześniej tu pracowali, i niszczenie ich dorobku. A także podstawowych wartości organizacyjnych, na których opiera się każda instytucja – ocenia gen. Piotr Pytel, były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

Czy mamy więc jeszcze wojsko? Nie budowniczych ołtarzy polowych, mistrzów liturgii, oficerów „parasolkowych", żołnierzy bijących „do dacha" panu Bartkowi, tylko wojsko wyszkolone do walki w obronie ojczyzny i do zwycięstwa w tej walce?

Antoni Macierewicz i Bartłomiej Misiewicz – dwaj najważniejsi ludzie w polskiej armii – tryskają optymizmem. Ich zdaniem wojsko kwitnie. MON w oficjalnym komunikacie uspokaja: nic się nie dzieje – ot, normalna wymiana kadr. Jedni odchodzą, drudzy przychodzą. Kadra jest z dnia na dzień lepsza, bardziej oddana. „Minister obrony narodowej Antoni Macierewicz – czytamy w komunikacie MON – przeprowadził szeroką wymianę kadr na najwyższych stanowiskach w jednostkach operacyjnych, każdorazowo zastępując oficerów dobranych przez Platformę Obywatelską oficerami o dużym doświadczeniu bojowym w Iraku i Afganistanie i przeszkolonych we współ-

FALA ODEJŚĆ

gen. Mieczysław Gocuł – szef Sztabu Generalnego
gen. broni Anatol Wojtan – pierwszy zastępca szefa Sztabu Generalnego
gen. broni Mirosław Różański – dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych
gen. broni Marek Tomaszycki – dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
gen. dyw. Janusz Bronowicz – inspektor wojsk lądowych w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych
wiceadm. Marian Ambroziak – inspektor marynarki wojennej
gen. bryg. pil. Tomasz Drewniak – inspektor sił powietrznych
gen. dyw. Piotr Patalong – inspektor wojsk specjalnych
gen. bryg. Adam Duda – szef Inspektoratu Uzbrojenia
gen. bryg. Jerzy Gut – dowódca Komponentu Wojsk Specjalnych

eprasa.pl ab0a4c82c6

ŻOŁNIERZ RP

GEN. RÓŻAŃSKI: Pierwszą gwiazdkę generalską wręczył prezydent Kwaśniewski, drugą – prezydent Kaczyński, trzecią – prezydent Komorowski. A ja jestem żołnierzem Rzeczypospolitej Polskiej.

PRAWDZIWI ŻOŁNIERZE NIEZŁOMNI

GEN. RÓŻAŃSKI, pokazując swoje zdjęcie z weteranami: Historię należy szanować, ale należy myśleć o przyszłości. To są dla mnie żołnierze niezłomni. Koledzy, którzy zgodnie z rozkazami, decyzjami politycznymi wyjechali na misje. Wrócili stamtąd okaleczeni. Dla mnie oni są żołnierzami niezłomnymi, to o nich powinniśmy mówić, że budują wartość i nową jakość wojska. Szanuję historię, szanuję wszystkie te zdarzenia, które miały miejsce, ale niektóre oddałbym jeszcze do analizy historykom.

pracy z wojskami NATO. W Sztabie Generalnym zmiany objęły 90% stanowisk dowódczych, a w Dowództwie Generalnym 82%".

– W takich instytucjach nie dokonuje się tak masywnych zmian w tak krótkim czasie, bo się je niszczy i niszczy się nasze relacje zewnętrzne. We wszystkich wywiadach wojskowych, wśród wszystkich analityków naszych sojuszników patrzą na nas jak na ludzi mało zrównoważonych – nie ma wątpliwości Ludwik Dorn.

Także były dowódca GROM, gen. dyw. Roman Polko, nie waży specjalnie słów, mimo że i on ma w życiorysie miłość do PiS: – Tacy generałowie jak Gocuł, Tomaszycki, Różański nigdy nie mieli poglądów partyjnych, takiej czy jakiejkolwiek innej opcji. Starali się najlepiej, jak potrafią – a robili to naprawdę doskonale – wykonywać swoją robotę. Wydaje mi się, że zdrowym rozsądkiem byłoby jednak trzymanie ludzi, którzy mają ogromną wiedzę, ogromne doświadczenie, a nie gorliwych potakiwaczy.

Ktoś mógłby zapytać, co na to Andrzej Duda, konstytucyjny zwierzchnik sił zbrojnych. – Prezydent Duda nie gwarantuje apolityczności armii – rozwiewa złudzenia gen. Skrzypczak. – Prezydent nie ma wpływu na to, co się dzieje w MON, a to jedyna osoba, która ma wszystkie możliwości i instrumenty i która ma konstytucyjny obowiązek dbania o armię, o jej kondycję.

Wśród awansowanych znalazł się m.in. dowódca wojsk obrony terytorialnej. Gdy Antoni Macierewicz zaprezentował go opinii publicznej po raz pierwszy, był w stopniu pułkownika. Po bodaj niespełna miesiącu został już generałem…

Kto wie, może m.in. ten przypadek miał na myśli gen. Mirosław Różański, gdy mówił o powodach i okolicznościach odejścia z wojska: – Na stanowiska wyznaczono ludzi, którzy jeszcze nie zostali do tych stanowisk przygotowani. Młodego lekarza nie chcielibyśmy zrobić ordynatorem, natomiast pułkownik, który zostaje generałem, a który nie ma niezbędnego doświadczenia, moim zdaniem jest w jakiś sposób niebezpieczny dla sił zbrojnych.

Po roku rządów duetu Macierewicz-Misiewicz wojsko – ten wielki niemowa – odzyskuje głos. Generałowie o dużych dokonaniach i znaczących nazwiskach coraz częściej nie wytrzymują załgania, w którym pogrąża się armia, i zaczynają publicznie wypowiadać się o sprawach dla niej żywotnych. To swoiste *signum temporis*, bo wcześniej też nie była wolna od dymisji, od „wysyłania pod kapelusz". Wcześniej również zdarzali się w niej ludzie ochoczo wpychający się na plakaty propagandowe kolejnych ekip politycznych. Wojsko ma na sumieniu wiele grzechów, ale jak dotąd samo zadawało sobie pokutę i udzielało ich odpuszczenia. Dlaczego więc teraz zaczęło głośno mówić o swoich problemach?

Każdy wysoki rangą oficer, jeśli już decyduje się wystąpić publicznie, zwraca uwagę na jedno i to samo – zagrożenie bezpieczeństwa państwa. Oto przyczyna! Musi być naprawdę źle, skoro odzyskali głos, postanowili poruszyć opinię publiczną. I to w sytuacji, kiedy Macierewicz zawiesił nad nimi miecz planowanej ustawy, w myśl której będzie mógł być ich sędzią i katem jednocześnie. Jeśli ta ustawa wejdzie w życie, będzie mógł pozbawić ich – albo nie – stopnia i emerytury. W zależności od własnego widzimisię. ■

Stanowisko dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych po gen. broni Mirosławie Różańskim objął gen. dyw. Jarosław Mika.

NIE MA DROGI NA SKRÓTY

GEN. BRYG. W ST. SPOCZ. MAREK OJRZANOWSKI: Jakby mało było serii katastrof w lotnictwie wojskowym, z Mirosławcem i Smoleńskiem na czele, kierownictwo MON doprowadziło do odejścia ze służby setek oficerów sprawujących kluczowe funkcje. (…) Nabycie doświadczenia wymaganego na kierowniczym stanowisku w siłach zbrojnych to kwestia dziesiątków lat służby na różnych szczeblach w kraju i za granicą. Nie ma drogi na skróty. Co z tego, że awansujemy oficerów na wysokie stopnie, kiedy nie pójdą za tym doświadczenie i odpowiedzialność? Tacy żołnierze będą jedynie przebierańcami, których braki wiedzy i kompetencji ujawnią się przy najbliższej okazji, i – jeżeli będzie to czas próby – skończy się to tragicznie, o czym historia zaświadcza dobitnymi przykładami. Wymownym i świeżym dowodem jest tu przykład pośpiesznie awansowanego przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego dowódcy Sił Powietrznych gen. Andrzeja Błasika, za kadencji którego doszło do największych katastrof lotniczych w historii wojska (za „GW" Szczecin).

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl ab0a4c82c6

WOJSKO ODZYSKUJE GŁOS

Rozmawia Marek Barański

Moi rozmówcy dotąd milczeli. O sprawach wojska dyskutowali wyłącznie we własnym gronie. To ich pierwsze publiczne wystąpienie. Posłuchajmy zatem, co mówią.

Panowie, co z tym wojskiem?

Gen. Zbigniew Jabłoński: – Stała się rzecz bez precedensu. W chwili gdy ogłoszono, że 90% kadry oficerskiej Sztabu Generalnego zostało usunięte, bo była to kadra awansowana przez PO, spadły maski. Od tego dnia nie można już mówić o apolityczności wojska! Minister obrony narodowej ogłosił bowiem publicznie, że o karierze w wojsku decyduje afiliacja polityczna. Taki jest sens komunikatu, który wysłał do wojska. Każdy, kto będzie chciał robić karierę, wie już, na jaki kierunek polityczny ma się orientować – w mowie, piśmie i w swoich czynach, że tak powiem. Wspieranie partii rządzącej, opcji politycznej, która aktualnie jest przy władzy, stało się oficjalnie jednym z czynników decydujących o wojskowych życiorysach. Z tego mogą być tylko szkody, i to ogromne.

Płk Piotr Pertek: – A przecież było już inaczej. Chciałoby się powiedzieć – normalnie. Nie było jednego słusznego kierunku, w wojsku kształtowała się silna postawa propaństwowa. Trudno mówić o neutralności politycznej, bo wojsko zawsze będzie wykonywało polecenia rządu, ale była totalna apartyjność. W 2001 r., kiedy weszła w życie Ustawa o przebudowie i modernizacji technicznej sił zbrojnych, został osiągnięty konsensus polityczny w sprawach wojska. Teraz trudno o nim mówić. Zostały też zachwiane proporcje w tym, co nazywa się cywilną kontrolą nad wojskiem. Cywilna, demokratyczna kontrola jest potrzebna w każdej armii. W Polsce jednak została wypaczona, bo w sprawie planów modernizacji sił zbrojnych ze względu na potrzeby operacyjne nikt wojskowych nie słucha. Powstały przecież w przeszłości plany zaopatrzenia na potrzeby operacyjne, programy uzbrojenia – który z nich został zrealizowany do końca? Jak rozwiązano problem zakupu nowego sprzętu? To przykład nieudacznictwa.

> Szkolimy żołnierza nie po to, żeby przeżył, tylko żeby bohatersko poległ

Ale wojsko nie wydaje się zmartwione. W szeregach słychać szmer zadowolenia ze zmiany władzy. Tylu podwyżek, awansów i medali nie było od lat. Ani przepisów gwarantujących żołnierzom spokojny byt – przynajmniej tymczasowo, ale do przyszłej emerytury każda chwila „wysługi lat" się liczy. Kiedyś z determinacją walczono o zmianę struktury wojska – żeby „było mniej wodzów, a więcej Indian"… Teraz jednym ruchem zniesiono przepis, że w korpusie szeregowców można służyć najwyżej 12 lat. Kilka tysięcy mężczyzn odetchnęło z ulgą! Groziły im utrata pracy i niepewny los – na ogół w małych miejscowościach. Już się nie martwią i bardzo sobie ministra Macierewicza chwalą.

Gen. Jabłoński: – Tak, ale to ruch na krótką metę. Została wprowadzona zasada zrównania stopnia z etatem, ścieżki awansowej, która prowadziła przez kolejne szczeble – w polu, w licznych jednostkach, w sztabach. Nie można było zostać generałem, jeśli nie miało się praktyki dowódczej na wielu szczeblach i nie przeszło pozytywnie wielorakich ćwiczeń poligonowych o dużej skali trudności taktycznych i operacyjnych. Do tego oczywiście musiało być odpowiednie wykształcenie wojskowe.

Wracając do szeregowców, te 12 lat nie było efektem jakiejś złośliwości, chęci utrudniania ludziom życia. Wojsko ma jeden cel – walczyć skutecznie w obronie ojczyzny. Do tego jest i musi być szkolone. Do walki… Jak długo szeregowy może biegać po polu, czołgać się, nie spać i trzy doby, jeśli trzeba? Jak długo może być wydajnym, zdolnym do walki żołnierzem? Przecież nie szkolono go po to, żeby bohatersko zginął w obronie ojczyzny, tylko żeby zginął wróg, najeźdźca. To jest istotą wojska oraz jego szkolenia w czasie pokoju. Przez te 12 lat szeregowy miał liczne możliwości dalszego kształcenia się i przejścia do korpusu podoficerskiego. Jeżeli należałoby coś poprawiać, to powinno się rozwijać państwowy system zatrudniania byłych wojskowych, czy w ogóle byłych żołnierzy i funkcjonariuszy, ludzi, którzy służyli państwu. Państwo powinno o to zadbać i stworzyć system życia po życiu. Dlatego uważam, że takie proste, wręcz prostackie rozwiązanie pozwalające na dalsze lata służby na stano-

> Minister obrony ogłosił publicznie, że o karierze w wojsku decyduje afiliacja polityczna.

GEN. DYW. W ST. SPOCZ. ZBIGNIEW JABŁOŃSKI – były dowódca dywizji pancernej i dywizji zmechanizowanej, były zastępca dowódcy okręgu wojskowego, były szef Departamentu Kadr i Szkolnictwa Wojskowego MON

GEN. BRYG. W ST. SPOCZ. KAZIMIERZ JAKLEWICZ – były dowódca brygady zmechanizowanej i komendant-rektor Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych

PŁK REZ. DR PIOTR PERTEK – były prorektor ds. wojskowych Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych, obecnie wykładowca na Uniwersytecie SWPS.

eprasa.pl ab0a4c82c6

wisku szeregowca zawodowego jest pójściem po linii najmniejszego oporu. Może się podobać zainteresowanym, ale wojsku korzyści nie przyniesie. Nie podniesie wartości bojowej, wręcz przeciwnie. A obniżenie zdolności bojowej wojska to już poważna sprawa.

Płk Pertek: – Jeśli dodamy do tego zapaść w obszarze technicznych zasobów wojska, uzbrojenia, to naprawdę mamy czym się martwić. Przydatność techniczna sprzętu bojowego w znacznym stopniu już się kończy. Jesteśmy świadkami wielomiesięcznego już zatrważającego chaosu wokół zakupu śmigłowców. Poszły na marne trwające latami narady, jakiego rodzaju śmigłowca poszukujemy, do czego ma on służyć, opinie wojskowych, którzy przecież powinni mieć w tych sprawach głos decydujący, bo broń jest przeznaczona dla nich, do ich skutecznej walki w obronie ojczyzny. Zwyciężyła polityka.

Gen. Jabłoński: – Z trwogą obserwuję, że zaczął się w polskim wojsku taki okres, kiedy będziemy szkolić żołnierza nie po to, żeby żył i przeżył, tylko żeby bohatersko poległ. Panuje chaos dowódczy. Odesłanie „pod kapelusz" bądź zmuszenie do odejścia wielu dowódców i zastąpienie ich niedoświadczonymi, albo inaczej – mniej doświadczonymi, wróży jak najgorzej.

Gen. Różański mówi, że niedoświadczony dowódca to wielkie zagrożenie dla wojska.

Gen. Jabłoński: – I ma rację. Jeśli zaś doda się do tego wzorce osobowe, które obecnie upowszechnia się w wojsku, to człowieka nawiedzają myśli naprawdę niewesołe.

Gen. Kazimierz Jaklewicz: – W każdej jednostce jest izba tradycji. Kiedyś jej treść narzucał Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego. Musiały być godło, flaga itp., ale dowódcy mieli pewną swobodę w urządzaniu tych izb. Był szlak bojowy jednostki, jej kolejni dowódcy, przejawy „więzi ze społeczeństwem", fakty ze współczesnego życia jednostki. Były i dzień dzisiejszy, i tradycja, była ciągłość historyczna. Dziś tej ciągłości nie ma…

…a jeśli już jest, to często w wymiarze karykaturalnym, jak w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, gdzie 1. i 2. Armii Wojska Polskiego poświęcono zaledwie kilka gablot umieszczonych w jakimś kącie.

Gen. Jaklewicz: – Wojsko nie może nie mieć korzeni! Tymczasem jeśli popatrzeć na współczesne izby tradycji, to poszczególne jednostki rozpoczęły żywot w zasadzie po roku 1989. Wcześniej nic nie było?

Historycznym dniem nazwał minister Macierewicz 20 stycznia br., kiedy to w Białymstoku otwarto punkt informacyjny wojsk obrony terytorialnej.

Skoro prezydent Komorowski co roku w maju ślepł i nie dostrzegał polskiej flagi nad Reichstagiem, skoro nie wspominał o ojcu, który był żołnierzem 2. Armii Wojska Polskiego i zakończył szlak bojowy pod Dreznem, to co się dziwić ministrowi Macierewiczowi? W niczym nie jest pierwszy – Powązki Wojskowe zamknął przed byłymi żołnierzami LWP minister Siemoniak, wojskowej asysty podczas ich żołnierskich pogrzebów też zakazał. „Żołnierzy wyklętych", z których Macierewicz czyni obiekt kultu, na ołtarze wcześniej wyniósł Komorowski.

Gen. Jaklewicz: – Problem tradycji, ciągłości jest w wojsku bardzo ważny. Żołnierz nie może być zawieszony w próżni. Studiowałem w Niemczech. Gdy zwiedzałem sale tradycji, bardzo przeżywałem widok mapy Europy z granicami z 1937 r. i obrazy związane z tradycją danej jednostki – też utworzonej w latach 30. To były jednostki, które najechały nas w 1939 r. Jakie to tradycje z naszego punktu widzenia? Niemcy tłumaczyli mi to tak: jeśli odcięliby przeszłość, wszystkie jednostki musiałyby powstać w latach 50. Wiszą więc na ścianach nawet portrety dowódców od lat 30. Nie wolno tylko powiesić żadnych portretów i pamiątek związanych z ludźmi bądź kampaniami, co do których sądy wydały wyroki na podstawie przepisów o zbrodniach wojennych. I pamiątek takiej przeszłości, śladów po takich ludziach i czynach nie ma!

Powązki Wojskowe zamknął przed byłymi żołnierzami LWP minister Siemoniak, on też zakazał wojskowej asysty podczas ich żołnierskich pogrzebów.

Jak my mamy kształtować tradycję, z którą jednostki nie mają nic wspólnego? Na przykład „żołnierzy wyklętych"? Nie tylko w Ministerstwie Obrony Narodowej nie ma portretów byłych ministrów – w żadnej jednostce nie ma już portretów jej byłych dowódców.

Gen. Jabłoński: – Podobnie jest z naszym czczeniem klęsk narodowych. Do takich gestów mamy prawdziwy talent. Teraz też na piedestał wynosi się „żołnierzy wyklętych", których jedyną wówczas kalkulacją

eprasa.pl ab0a4c82c6

polityczną była III wojna światowa, a więc dalsze niszczenie narodu i jego dorobku. To są nasze wzorce i tak wychowujemy młodzież. Komu to służy, po co to jest? Wojsko w tej chwili niszczy własny etos, swoje środowisko, poczucie godności zawodowej. Taki m.in. jest efekt upartyjnienia. Żołnierze szukają sobie lepszych życiorysów, znajomych posłów, działaczy, znajomych biznesmenów.

Płk Pertek: – Po czorta wykształcenie, po czorta doświadczenie. Można iść na skróty.

Gen. Jabłoński: – Została utracona ważna cecha, która w wojsku powinna dominować – przestrzeganie pewnej hierarchii i szacunek dla etosu. Ci, którzy teraz przyjdą na uczelnie wojskowe, będą doskonale wiedzieli, jak się orientować politycznie, jakie wartości demonstrować.

Czy to można uznać za największe szkodnictwo, jakie teraz obserwujemy w armii?

Gen. Jabłoński: – I niezrozumienie, do czego wojsko ma służyć. Wyobraźmy sobie, że takie same „parametry patriotyczne" wprowadzamy jako najważniejsze do środowiska lekarskiego, a nie zwracamy uwagi na przygotowanie do leczenia. Nie bylibyśmy z tego zadowoleni.

Płk Pertek: – Bieda w tym, że w wojsku tego nieprzygotowania nie widać na co dzień. Fachowcy je widzą, ale zwykli ludzie nie. To wychodzi dopiero w momentach zagrożenia.

Zostały zachwiane proporcje w tym, co nazywa się cywilną kontrolą nad wojskiem.

Bartłomiej Misiewicz lubił się poczuć jak minister. Tu z wizytą w 1. Batalionie Czołgów w Żurawicy.

Jeśli dobrze panów rozumiem, główne wartości wojska: dyscyplina, zdolność bojowa, zdolność do walki i skutecznej obrony, są zastępowane innymi – poprawnością polityczną polegającą na utożsamianiu się z aktualnie rządzącymi, realizowaniu ich wartości politycznych, publicznym demonstrowaniu swojej afiliacji. Wartości wojskowe zostają wyparte przez wartości ze świata polityki.

No dobrze, ale przecież były wielkie ćwiczenia sojusznicze – Anakonda. Zostały ocenione bardzo wysoko, zyskały entuzjastyczne opinie. Ta profesjonalna strona armii jest więc silna.

Gen. Jabłoński: – Anakonda, jedne ćwiczenia przeprowadzone raz na kilka lat, niechby nawet udane, nie dają pełnego obrazu zdolności obronnych.

Co to więc było? Pokazówa?

Płk Pertek: – To były ćwiczenia niektórych elementów operacji. Nie było tak, że zaczynamy od zorganizowania obrony, poprzez załamanie natarcia przeciwnika, wyprowadzenie kontrataku, aż do rozwinięcia natarcia. W jednym ciągu, opierając się na jednym założeniu strategicznym. Nie następowało zgranie poszczególnych systemów obrony i natarcia, czyli tego, co najważniejsze. Były elementy operacji i jako takie – na bardzo dobrym poziomie.

Gen. Jaklewicz: – Jeśli dokładnie prześledzicie Anakondę, to sądząc po doniesieniach i relacjach prasowych, pierwszym nasuwającym się wnioskiem jest niesprawność systemów dowodzenia. Czym innym jest otoczka propagandowa.

Gen. Jabłoński: – Wyszkolenie wojska jest „mierzalne". W Stanach np. ciągle szukają wskaźników, które mają wykazać, ile ich armia naprawdę znaczy. Badają, dajmy na to, sprawność dowodzenia. Mierzą też wartość ćwiczeń. U nas czegoś takiego nie ma. Jeśli ktoś mówi, że nasza armia jest do czegoś zdolna, niech da przykład, dowód. To samo w drugą stronę – jeśli mówi, że jest niezdolna do wykonywania jakichś zadań – niech przedstawi dowód. Mówimy, nie mając pojęcia, o czym się wypowiadamy. Możemy w zależności od nastroju, opcji politycznej powiedzieć tak albo tak. Ten bełkot, moim zdaniem, też jest w tej chwili bardzo poważnym zagrożeniem. Nie brak pieniędzy czy patriotyzmu, ale bełkot i polityka partyjna.

Polityka partyjna ma jeszcze taki minus – i to widać w każdej partii łącznie z SLD – że stawiane cele muszą być osiągane do końca kadencji. Bo jeśli nawet jakaś ekipa osiągnie pozytywny rezultat, to po upływie kadencji, po wyborach, kiedy przyjdzie nowa, tego sukcesu już nie będzie. A przecież te procesy trwają latami. Ważna jest nie liczba zdolnych generałów, tylko – jak stwierdził niemiecki generał von Seeckt – ciągłość koncepcji. My zaś od Sasa do Lasa – tu caracale, tam drony. Największym zagrożeniem dla wojska – a poprzez wojsko dla bezpieczeństwa państwa – są partyjniactwo i brak ciągłości koncepcji.

Marek Barański

FOT. ANATOL CHOMICZ/KURIER PORANNY/GAZETA WSPÓŁCZESNA/POLSKA PRESS, WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS, WWW.MON.GOV.PL. WP.MIL.PL, ŁUKASZ SOLSKI/EAST NEWS

eprasa.pl ab0a4c82c6

ARMIA BEZ GŁOWY

Gen. broni w st. spocz. Waldemar Skrzypczak

– były dowódca wojsk lądowych i wiceminister obrony narodowej

Rozmawia Marcin Ogdowski

O co chodzi Antoniemu Macierewiczowi? Gra nie toczy się przecież tylko o obronę terytorialną.

– Oczywiście, przedmiotem oddziaływania ministra jest cała armia. Widać to po odejściach czołowych dowódców z praktycznie wszystkich najważniejszych struktur. To potwornie niebezpieczna sytuacja.

Wojsko bez głowy...

– Widzi pan, w armii kluczową sprawą wcale nie jest wykształcenie, tylko doświadczenie w dowodzeniu. Żadna uczelnia nie daje tego, co dowodzenie – kompetencji i poczucia odpowiedzialności. Z uczelni wynosimy wiedzę, którą potem sprawdzamy w praktyce, w boju. Ludzie, którzy przeskoczyli po dwa, trzy szczeble bez takich doświadczeń, to dowódcze kaleki. Nie udźwigną ciężaru odpowiedzialności za swoje decyzje w sytuacji krytycznej. Bo nigdy w obliczu takich sytuacji nie stanęli.

Może kluczem do zrozumienia tej gwałtownej wymiany kadr jest jakiś plan?

– Nie widzę w tym planu. Albo inaczej – nie widzę racjonalnego z perspektywy wojska planu. Moim zdaniem od jakiegoś czasu – jeszcze przed Macierewiczem, gdy szefem MON był Bogdan Klich – nasiliły się próby instrumentalnego traktowania wyższych dowódców. Budowania przekonania, że są upartyjnieni. I tak, ponieważ zostałem dowódcą wojsk lądowych w czasach pierwszego PiS, przyklejono mi łatkę pisiora. Gen. Różańskiemu – człowieka PO. Tak się stygmatyzuje dowódców. Mniejsza o personalną krzywdę – w ten sposób wśród naszych podwładnych buduje się przekonanie, że jeśli chcą robić karierę, muszą stanąć po odpowiedniej politycznie stronie.

Generalicja nie jest bez winy.

– W takim stanie rzeczy zyskują koterie wojskowe, które doradzają politykom. Klich miał u siebie koterię czerwonych beretów, która deprecjonowała wszystkich innych, Antoni Macierewicz też ma swoich, którzy mu podpowiadają, jak ma czyścić struktury.

Można opisać tę grupę interesów?

– Właściwie to są dwie grupy, z czego jedna cywilna, składająca się z osób, które Macierewicz wziął do MON, by zajęły się lustracją. Szeroko pojętą lustracją, zahaczającą już o wymiar zbiorowej manii prześladowczej. Co do wojskowych, proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie mówię o tych, którzy zastąpili najwyższych dowódców. Generałowie Surawski czy Wojciechowski to świetni fachowcy – ale już ostatni z krótkiej ławki, którą miał do dyspozycji Antoni Macierewicz. Mnie idzie raczej o zauszników, wszelkiej maści doradców i zwolenników, poukrywanych na jakichś mniej istotnych czy nieistotnych stanowiskach.

Da się ich przyporządkować do jakiegoś rodzaju sił, broni?

– Nie. Oni nie bronią interesów wojska czy grup zawodowych w jego obrębie. Grają o swoje, prywatne interesy. Podlizują się politykom w nadziei na awanse. Tym samym wpisują się w chorą kulturę polityczną.

Rakowi upolitycznienia zdaje się towarzyszyć coś więcej. Wprost już formułuje się zarzuty, że niektóre poczynania ministra Macierewicza – intencjonalnie czy nie – realizują interesy obcych służb.

– W ubiegłym roku pojawiły się sygnały, że wokół MON są ludzie powiązani z lobbystami rosyjskimi. Było zamieszanie, ludzie ci zniknęli z przestrzeni publicznej, ale nikt do końca nie wyjaśnił nam istoty tych związków.

Czy nasze służby są w stanie tego dokonać?

– Z pewnością tego nie robią. Możliwości są dwie – brak kompetencji albo celowe zaniechanie.

Nie wiem, która jest gorsza.

– Obie są złe. To zresztą kwestia wymagająca szerszego spojrzenia. Niech pan zobaczy, wojskowe służby – zarówno wywiad, jak i kontrwywiad – są mocno odseparowane od swoich zachodnich odpowiedników. Mówiąc wprost, tamci nie ufają naszym.

Od kiedy?

– Od lat. I sami jesteśmy sobie winni. Agenci wywiadów amerykańskiego czy niemieckiego pilnie nam się przyglądają. I co widzą? Służby, w których roi się od wzajemnych oskarżeń o kontakty z Rosjanami – agentami, lobbystami czy mafią. Stąd płynące do Waszyngtonu czy Berlina zalecenia, by ograniczać współpracę z Polakami. (…)

Mówiliśmy już o generalicji, ale kadry to szersze pojęcie. W co grają oficerowie i podoficerowie Wojska Polskiego? Czy to już wyłącznie gra na przetrwanie?

– Kadrę podzieliłbym na dwie grupy. W pierwszej umieścił ludzi wierzących, że armia to miejsce stworzone dla nich. Żołnierzy ambitnych, zdolnych, gotowych do wysiłku i poświęceń – w zamian za satysfakcję zawodową. Mających własne poglądy, ale jednocześnie wierzących w apolityczność wojska. Drudzy to karierowicze, bez wiedzy, bez kompetencji, biegający po salonach i zabiegający o względy polityków. Dla nich armia to tylko miejsce pracy – dobre jak każde inne – traktowane jako narzędzie łatwej kariery. Dziś to przede wszystkim przedstawiciele tej drugiej grupy awansują – i to w zawrotnym tempie. Od pierwszych zaś coraz częściej słyszę, że mają poczucie końca swojej misji, że zbyt często zderzają się ze ścianą polityków lustratorów. Wielu odchodzi, nie chcąc brać odpowiedzialności za to, co się dzieje z armią. Przykładem są masowe odejścia z pionu uzbrojenia.

Źródło: Interia.pl

FOT. KRZYSZTOF MYSTKOWSKI/KFP/REPORTER

eprasa.pl ab0a4c82c6

Z BANKIEM MOŻNA WYGRAĆ

25 marca nasze stowarzyszenie organizuje manifestację „Stop bankokracji", bo widzimy, że to finansiści są dziś realną władzą w Polsce

Rozmawia Andrzej Dryszel

ARKADIUSZ SZCZEŚNIAK

– prezes Stowarzyszenia Stop Bankowemu Bezprawiu

Prezes Jarosław Kaczyński postanowił, że nie będzie żadnej ustawy mającej zmniejszyć obciążenia frankowiczów – i zalecił, żeby walczyli oni w sądach. Chyba należało tego oczekiwać?

– Tak, od samego początku było widać, że prezydent i jego kancelaria przeciągają prace nad swoją ustawą. Prezydent najpierw obiecał dużo, potem bardzo szybko zaczął się wycofywać. Jedyny sensowny projekt rządowy, z 15 stycznia 2016 r., został zaś bardzo skrytykowany przez Komisję Nadzoru Finansowego i zarzucono go.

Bo ponoć mógł doprowadzić sektor bankowy do ruiny.

– W tym stanowisku KNF było wiele przekłamań. Napisali, że w wyniku realizacji tego projektu możliwa jest jednoroczna strata banków sięgająca 67 mld zł – pomimo że rocznie do banków z tytułu kredytów walutowych wpływało nie więcej niż 9 mld zł. Uważam, że chodziło o księgowy zabieg wykazania strat, który miał przestraszyć opinię publiczną. Komisja Nadzoru Finansowego zadziałała jak lobbysta bankowy. Jak widać, przestraszył się też prezes Kaczyński.

Opinię wyrażoną przez specjalistów od finansów i bankowości, z których składa się KNF, można było przecież potraktować poważnie?

– Członkowie kierownictwa Komisji Nadzoru Finansowego zostali też wezwani na świadków i zeznawali przed komisją badającą sprawę Amber Gold. Ciekawe, że w tym przypadku władza nie uznawała ich za osoby rzetelne. No ale przykładem może być pan Andrzej Jakubiak, który chwilę po tym, jak przestał być przewodniczącym KNF, został pracownikiem jednego z tych pięciu banków, które mają najwięcej kredytów frankowych. Nie wystawia mu to najlepszego świadectwa etycznego.

Czy frankowicze rzeczywiście tak mocno dostali po kieszeni, że należy się nimi specjalnie zajmować?

– Ponad 500 tys. rodzin spłaca te kredyty i wbrew temu, co mówią KNF i prezes Narodowego Banku Polskiego pan Adam Glapiński, nie są to osoby o dużych dochodach, lecz wręcz odwrotnie. Dlatego właśnie nie mogły wziąć kredytów złotowych, droższych wówczas o ok. 30%. Wtedy zamiast raty np. 1,3 tys. zł miesięcznie musiałyby płacić 2 tys. zł. Dziś prawie 200 tys. tych rodzin jest pod kreską, a ich nieruchomości są często dużo mniej warte niż kredyty. Z czystego rachunku ekonomicznego mogą więc przestać płacić – bo muszą spłacać np. 500 tys. kredytu, a mają mieszkanie warte 300 tys. Tymczasem podobne mieszkanie dziś na wolnym rynku można odkupić za 250 tys.

Od ponad roku obowiązuje już ustawa o pomocy kredytobiorcom w trudnej sytuacji, przyjęta za rządów PO. Pomaga?

– Ta ustawa jest niemal fikcją, bo zgodnie z jej przepisami niewykorzystane środki z funduszu wsparcia kredytobiorców wracają do banków – a to właśnie banki przyjmują i rozpatrują wnioski o pomoc. Proszę sobie wyobrazić, że z funduszu, na którym zgromadzono 600 mln, przez ponad rok wykorzystano zaledwie 7 mln zł, a pomoc otrzymało dotychczas tylko 390 osób.

Może dlatego, że kredytobiorcy wcale tak masowo nie potrzebowali pomocy?

– Nie, to banki robią wszystko, by odmawiać osobom, które składają wnioski. W sposób dogodny tylko dla siebie uznają, czy dany wniosek spełnił kryteria, czy nie. Niezgodnie z prawem żądają innych, niż wymienia ustawa, dokumentów potwierdzających dochody. Nie chcą uwzględniać wniosków złożonych przez osoby, którym wypowiedziano umowę kredytu – a przecież one są w najtrudniejszej sytuacji. Przeciągają też procedury, by zdążyć wypowiedzieć umowę kredytu i odmówić rozpatrzenia wniosku.

Co wtedy robić?

– Takim działaniom banków można się przeciwstawić skutecznie tylko na drodze sądowej – co też nie gwarantuje sukcesu, gdyż w tym czasie bank często próbuje zlicytować mieszkanie kredytobiorcy i rozpocząć egzekucję komorniczą. Banki chętnie rozwiązują umowy kredytowe i zabierają mieszkania klientów, bo zarabiają na tym szybko i dobrze, zwłaszcza gdy chodzi o „starych" kredytobiorców, którzy już dużo zdążyli im zapłacić. A jeśli ktoś spłaca raty i ledwo mu starcza, to trudno, żeby jeszcze znalazł kilka tysięcy na walkę w sądzie.

Czy w sądach da się w ogóle walczyć z bankami? Procedury bankowe są przecież tak sformalizowane, że trudno zarzucić łamanie jakichś przepisów.

– Da się. Najwyższa Izba Kontroli kilka lat temu stwierdziła, że w prawie 95% umów bankowych zawarte są klauzule niedozwolone, których nie wolno stosować, bo zostały uznane za sprzeczne z prawem przez Sąd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. W przypadku kredytów hipotecznych takich wadliwych umów jest ponad 60%. Banki, które nie usuwają nielegalnych zapisów z umów kredytów, oszukują klientów. Te wskaźniki świadczą o tym, że polskie instytucje nadzoru zupełnie nie radzą sobie z na-

Andrzej Jakubiak, kiedy przestał być przewodniczącym KNF, został pracownikiem jednego z tych pięciu banków, które mają najwięcej kredytów frankowych.

eprasa.pl ab0a4c82c6

ruszaniem prawa przez banki. W podobnych sytuacjach pozostaje więc jedynie droga sądowa – choć przecież podstawą powinno być niedopuszczanie do tego, aby umowy wprowadzane na rynek zawierały klauzule niedozwolone. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów ostatnio zaczął wyraźnie wskazywać, jakie postanowienia bankowe są nielegalne. Niestety, są to już działania po fakcie.

A przede wszystkim bez znaczenia. UOKiK sam określa je mianem „istotnych poglądów". Co mogą pomóc, skoro to tylko poglądy, w dodatku jednak nieistotne, bo nikogo nie obowiązują i żaden urząd ani sąd nie musi ich brać pod uwagę?

– Opinie UOKiK jednak pomagają w sporach z bankami. Niestety, polskie sądy nie są idealne, część wyroków jest całkowicie oderwana od prawa i od dyrektywy unijnej 93/13, która jasno mówi, że przepis nieuczciwy nie obowiązuje klienta od początku, gdy tylko został wpisany do umowy. Dyrektywa obowiązuje od ponad 20 lat, orzecznictwo z nią związane jest bardzo bogate. Dopóki nie chodziło o banki, nie istniały problemy z jej stosowaniem. Na przykład przy ubezpieczeniach komunikacyjnych zawsze było wiadomo, że zapis nieuczciwy nie wiąże klienta. Jednak przy kredytach hipotecznych sędziowie zaczęli mieć wątpliwości, co pokazało, że w polskim wymiarze sprawiedliwości nie do końca jest sprawiedliwie i uczciwie. Zdarzały się kuriozalne wyroki, w których podnoszono argumenty ekonomiczne, a nie to, czy umowa bankowa jest zgodna z prawem. W takich sytuacjach opinie UOKiK nabierają znaczenia. Wskazują głównie, że banki bezprawnie stosowały swoje kursy walut, zarówno w momencie wypłaty kredytu, jak i spłaty rat. Od 2012 r. obowiązują prawomocne wyroki uznające, że takie zapisy są niezgodne z prawem i nie obowiązują klienta. Tymczasem banki nadal je stosują.

Wyssane z palca, zawyżone kursy walut są oczywiście oszustwem. Wyroki dotyczą jednak tylko tych banków, wobec których je wydano, np. Banku Millennium czy mBanku. Pozostałe mogą dalej używać dowolnych kursów, powołując się choćby na swobodę umów oraz działalności gospodarczej.

– Właśnie, że nie mogą. Tu nie ma swobody. Bankowe umowy kredytu są ściśle opisane w prawie bankowym, a ono wprowadza konkretne wymagania. Kwota kredytu nie może zwiększać wartości w czasie jego trwania poprzez waloryzowanie według kursu obcej waluty. Oprocentowanie bądź sposób jego ustalania mają być znane klientowi w chwili udzielenia kredytu. Natomiast banki często stosują zasady wyliczania kursu znane tylko im – co jest sprzeczne z prawem, a więc (zgodnie z prawomocnymi wyrokami) nie może być obowiązujące dla klienta od chwili wpisania do umowy. Jak były podwyżki stóp procentowych, banki automatycznie natychmiast podnosiły oprocentowanie kredytów. Jak były obniżki, czekały pół roku czy rok. Ponadto nie zachowują wymaganej przez prawo równości ryzyka stron. Bank, podpisując umowę kredytową, może się zabezpieczyć poprzez różne instrumenty pochodne, podczas gdy kredytobiorcom takich możliwości nie stwarza. Jest też w mniejszym stopniu narażony na wahania kursu franka, który przecież nie spadnie do 0,50 zł. W drugą stronę może natomiast wzrosnąć, do 5-6 zł.

Co wynika dla kredytobiorców z faktu, że banki stosują zapisy, których nie wolno im stosować?

– Jeżeli ktoś ma umowę kredytu walutowego, w której jest nielegalna klauzula ustalająca oprocentowanie, to ta klauzula faktycznie nie istnieje i nie wolno jej stosować. Umowa kredytu pozostaje ważna i można ją dalej wykonywać, bo jest kwota, oprocentowanie i okres kredytu. Nie ma natomiast niedozwolonych wskaźników, mówiących o przeliczeniu spłacanych rat – a suma kredytu wyrażana jest w istocie w złotych, z odsetkami liczonymi według stawki LIBOR (oprocentowanie depozytów i kredytów na rynku międzybankowym w Londynie, powszechnie stosowane na świecie) plus marża banku. Kredytobiorca powinien zatem walczyć o taki właśnie wyrok w sądzie. LIBOR to niska stawka, więc na drodze sądowej można wygrać, że raty będą nawet o 60-70% niższe od płaconych wcześniej. To bardzo dużo.

UOKiK w swoich „istotnych poglądach" stwierdzał jednak, że klauzule dotyczące ustalania oprocentowania przez bank są tak znaczące, że uznanie ich niezgodności z prawem przez sąd może spowodować nieważność całej umowy kredytu hipotecznego. I co dalej, skoro umowa stanie się nieważna?

– Taka umowa stanie się nieważna, gdyż zniknie z niej sposób ustalania oprocentowania uznany za sprzeczny z prawem. Oznacza to, że przestanie istnieć główny warunek umowy i nie będzie jak jej wykonywać. Jeśli umowa jest nieważna, to tak jakby jej nie było – i trzeba sobie zwrócić otrzymane sumy. Klient oddaje więc w złotych to, co dostał od banku, a bank zwraca to, co klient mu już zapłacił, czyli raty z odsetkami. Bank Millennium i mBank są w najgorszej sytuacji, bo tu już zapadły prawomocne wyroki o niezgodności z prawem zapisów umowy kredytowej. Chyba tylko jakaś nieudolność sędziego może spowodować, że sprawy przeciwko tym bankom zakończyłyby się innym wynikiem.

Czyli wracamy do punktu wyjścia – co oznacza, że aby oddać bankowi to, co się pożyczyło, trzeba też sprzedać mieszkanie, które się kupiło za ten kredyt?

– Niekoniecznie, bo roszczenie banku przedawnia się po trzech latach. Jeśli klient złoży reklamację wskazującą, że jego kredyt powinien być traktowany tak, jakby był złotowy,

Prawie 200 tys. rodzin mających kredyty frankowe jest pod kreską, a ich nieruchomości są często mniej warte niż kredyty.

eprasa.pl ab0a4c82c6

bank tej reklamacji nie uzna, a klient np. po czterech latach złoży w sądzie pozew o stwierdzenie nieważności umowy kredytu i wygra – to jest duża szansa, że bank nie odzyska kwoty, którą mu wypłacił. Sąd może bowiem uznać, iż klient poinformował bank, że umowa jest źle wykonywana, bank przez trzy lata od złożenia reklamacji nic z tym nie zrobił, a wyrok potwierdził rację klienta. Z takim pozwem można iść do sądu albo po prostu przestać płacić raty – i poczekać, aż bank nas pozwie. Wtedy najlepiej podać adres swojego prawnika, pokazać pełnomocnictwo i poprosić, by od tej pory pracownicy banku kontaktowali się tylko z nim.

Z 600 mln zł zgromadzonych w funduszu wsparcia kredytobiorców wykorzystano 7 mln zł na pomoc dla 390 osób.

Trudno mi sobie wyobrazić, że kredytobiorca, który nie płaci i zostaje pozwany przez bank, może cokolwiek ugrać. Przecież bank wytacza mu sprawę po to, żeby uzyskać więcej, niż klient chciałby oddać.

– Zapadło już wiele wyroków, kiedy klienci przestawali płacić raty, bank wypowiadał im umowę kredytu i pozywał ich – a oni wygrywali. Bo sąd orzekał, że kwota wymaganego długu wyliczona przez bank jest niezgodna ze stanem faktycznym, nie można zatem się jej domagać. Sądy uzasadniały, że dług jest zupełnie inny, ponieważ umowa zawierała klauzulę niedozwoloną, więc był to od samego początku kredyt złotowy. W związku z tym w chwili jego wypowiedzenia była nadpłata – czyli bank nie miał powodu do wypowiadania kredytu, nie udowodnił kwoty żądanego długu, poza tym niedozwolone zapisy nie obowiązywały klienta.

Czy w praktyce ktoś już uzyskał fizycznie zwrot pieniędzy od banku z tytułu zawyżonych rat kredytu?

– Są takie osoby, choć banki oczywiście się bronią. Jedna z kancelarii prawnych musiała nasłać komornika na bank, ponieważ nie chciał zwrócić kilkunastu tysięcy złotych. Niestety, nie podała nam nazwy tego banku, bo prowadzi przeciw niemu jeszcze inne sprawy. Oczywiście polski wymiar sprawiedliwości działa, tak jak działa. Wciąż np. nie został rozstrzygnięty pierwszy pozew grupowy 1247 frankowiczów przeciwko mBankowi, złożony w 2010 r. W wyniku kasacji Sąd Najwyższy zwrócił sprawę do sądu apelacyjnego, który poprosił o opinię biegłych. Na wyrok wpływa wiele czynników, przygotowany powinien być nie tylko prawnik, ale i klient. Musi wiedzieć, czego chce, i kontrolować, czy kancelaria nie robi jakichś błędów formalnych. To, że mam rację, to jedno, ale muszę ją wykazać w sądzie – a zanim sprawa dobiegnie końca, może się zmienić wiele przepisów, które wpłyną na wyrok. Trzeba tego bardzo pilnować.

Jak trzeba się przygotować do rozpoczęcia procesu z bankiem?

– Najpierw zaapelowałbym: kliencie, nie poddawaj się, jeśli nie płacisz, bo możliwości obrony masz naprawdę duże! Zacząć trzeba zaś od formalności. Jeśli ktoś ma problemy ze spłatą kredytu, powinien najpierw skompletować całą swoją dokumentację i historię kredytu. Bardzo istotne jest przestrzeganie terminów, gdyż klient ma niewiele czasu na odpowiedź na każde pismo. Powinien więc mieć już wszystko wyliczone, skompletować umowę z każdym aneksem do niej. To duży problem, bo nasze stowarzyszenie ciągle dostaje sygnały, że klienci nie są w stanie zebrać kompletu dokumentów.

Jeżeli walczyć, to nie indywidualnie?

– Pozwu zbiorowego przeciw bankowi jeszcze nikt w Polsce nie wygrał, natomiast indywidualnie zdarzało się to dość często. Największy pozew – ponad 6 tys. klientów – wytoczono bankowi Millennium. Postępowanie trwa od ponad dwóch lat, ale jeszcze nie było żadnej rozprawy merytorycznej, sprawa pozostaje na etapie ustaleń, czy pozew jest na tyle jednorodny, że można go przyjąć do rozpatrywania. W marcu będzie kolejna rozprawa dotycząca tych kwestii formalnych. Wcześniejszy pozew zbiorowy przeciw mBankowi ciągnie się już ósmy rok i wszystko wskazuje na to, że inne pozwy zbiorowe nie będą biegły sprawniej. Pozwy indywidualne trwają krócej, zwłaszcza gdy to bank pozywa klienta. Zdarzało się, że taka sprawa w ciągu jednego roku przechodziła przez obie instancje i zapadał prawomocny wyrok, korzystny dla klienta, orzekający, że nie musi on zwracać bankowi żądanej kwoty.

W przypadku kredytów hipotecznych wadliwych umów jest ponad 60%.

Czyli czekać spokojnie na pozew banku?

– Nie tak spokojnie, bo gdy otrzymamy sądowy nakaz zapłaty, mamy 14 dni na przedstawienie swoich zarzutów. Musi to być tak naprawdę jakby forma naszego pozwu przeciw bankowi. Czyli odpowiadając na taki nakaz, powinniśmy przedstawić wszystkie nasze argumenty, jakbyśmy chcieli sami złożyć pozew. Nasza odpowiedź musi zatem liczyć z kilkadziesiąt stron, na których wykażemy, dlaczego żądania banku są bezpodstawne. Nie da się tego zrobić, jeśli wcześniej nie zaczniemy współpracy z prawnikiem.

Chyba teraz trochę łatwiej bronić się przed bankami, gdy nie ma już dwóch skrajnie niesprawiedliwych instrumentów, zapewniających im przewagę – bankowego tytułu egzekucyjnego i opłaty sądowej wynoszącej 5% wartości pozwu (ograniczono ją do 1 tys. zł).

– Te bankowe tytuły egzekucyjne, które zostały już wystawione, są jednak uznawane przez sądy za zgodne z konstytucją i ważne. Natomiast ograniczenie opłaty sądowej do 1 tys. zł jest bardzo ważną zmianą, która wreszcie realnie umożliwiła wkraczanie na drogę sądową przeciw bankom. Wcześniej, gdy ktoś dostawał nakaz zapłaty, musiał w krótkim czasie wyłożyć wielotysięczną kwotę, nie wiedząc, czy wygra. Było to często barierą nie do pokonania. Dziś, jeśli bank chce mi zabrać dom, zawsze znajdę ten 1 tys. zł i będę do końca walczyć na wszystkie sposoby. Dlatego gdy nie trzeba już wnosić 5% wartości pozwu, do sądów trafia coraz więcej spraw bankowych. Nie zmienia to faktu, że nierównowaga stron wciąż istnieje.

Czyli banki mogą więcej?

– Oczywiście. Na przykład gdy klient pisze reklamację do banku, bank ma na odpowiedź 30 dni i może przedłużyć ten termin do 60. Gdy klient dostaje nakaz zapłaty i musi napisać kilkadziesiąt stron, ma tylko 14 dni. Chcielibyśmy, żeby sankcje dla banków za łamanie prawa były wyższe, bo jeśli bank, naruszając przepisy, zarobi na jakiejś usłudze np. 100 mln zł, a dostanie 5 mln zł kary, to i tak będzie znacznie do przodu. Gdyby jakiś bank w Polsce dostał od UOKiK maksymalną karę, 10% od obrotu, może by na drugi raz pomy-

eprasa.pl ab0a4c82c6

Protest frankowiczów w kwietniu ub.r. przed siedzibą NBP i KNF.

ślał, czy stosować nieuczciwe zapisy. A tak mamy produkty wprowadzane w sposób perfidny, wyłącznie po to, aby oskubać klienta. Takie właśnie były polisolokaty. Wprowadzano je specjalnie po to, żeby banki mogły zarobić na tym, że klienci przestaną wpłacać na polisolokatę. Banki wcześniej zrobiły wyliczenia, ilu klientów wycofa się z polisolokat i po jakim czasie.

Ustawy o pomocy frankowiczom nie będzie, ale może obecna władza przygotowuje jakieś inne rozwiązania przychylne kredytobiorcom?

– Wysłanie pana Mateusza Morawieckiego do pilnowania w rządzie spraw sektora finansowego pokazuje, że będzie o to trochę trudno. Nie jest do końca uczciwe, że człowiek posiadający akcje banku, którego był prezesem, jest wicepremierem i decyduje o losach ustaw mających znaczenie dla banków. Naszym zdaniem jego intencje nie są czyste, bo ma interes prywatny i broni sektora finansowego, ze szkodą dla polskiej gospodarki. Ciekawe, czy wiedział wcześniej o informacji prezesa Kaczyńskiego, że ustawy dla frankowiczów nie będzie – i ile na niej zarobił?

Na razie władza przygotowuje ustawę o kredycie hipotecznym, która sprawi, że nadal będziemy płacić za kredyty hipoteczne więcej niż mieszkańcy innych krajów. Oprocentowanie tych kredytów będzie się odnosić do WIBOR, czyli do wskaźników ustalanych dowolnie przez stowarzyszenie bankowców warszawskich, podczas gdy dyrektywa unijna stwierdza, że wskaźniki te powinny być zależne od organów państwowych.

LIBOR też jest ustalany samodzielnie przez bankierów. Dlaczego to nikomu nie przeszkadza?

– Bo tam organy nadzoru kontrolują ustalanie tego wskaźnika i wymierzają miliardowe kary za machinacje z wysokością oprocentowania – czego nie robi nadzór finansowy w Polsce. No i Polak za koszty obsługi kredytu hipotecznego płaci i będzie płacić dwa i pół razy więcej niż Niemiec. Symulacje są takie, że my, pożyczając 300 tys. zł, spłacimy po 30 latach 600 tys. zł, a oni 430 tys. zł. Niemiecki bank na takim kredycie zarobi w tym czasie 130 tys. zł, bank w Polsce – ponad 260 tys. zł. Banki w naszym kraju naprawdę świetnie zarabiają, a ściągane przez nie opłaty są podnoszone w dziwny sposób i nie mają odzwierciedlenia w faktycznych kosztach. W 2015 r. zysk banków w Polsce wyniósł 13,1 mld zł, natomiast w 2016 r., mimo podatku bankowego, sięgnie 16 mld zł.

Jak widać, radzą sobie świetnie w każdych warunkach...

– 25 marca nasze stowarzyszenie organizuje manifestację „Stop bankokracji", bo widzimy, że to finansiści są dziś realną władzą w Polsce. Zaczniemy od Pałacu Prezydenckiego, potem pójdziemy pod Ministerstwo Finansów – i oczywiście pod Narodowy Bank Polski, bo naszym zdaniem prezes Glapiński służy interesom sektora finansowego i dopuszcza się przekłamań w tym, co mówi. Chcemy uświadomić ludziom, że to, iż Polacy zarabiają tak mało i mają tak wysokie ceny kredytów oraz wielu usług, wynika z siły sektora finansowego, który zawładnął wieloma dziedzinami życia. Płacimy drogo za coś, co nie jest tyle warte.

Pozwu zbiorowego przeciw bankowi jeszcze nikt nie wygrał, ale indywidualnie zdarzało się to dość często.

Andrzej Dryszel

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl ab0a4c82c6

ENERGETYCZNA WIZJA SZALEŃCÓW

Zachodnie wiatry przenoszą na polską stronę ogromne zanieczyszczenia z elektrowni Jänschwalde.

Regina Dachówna

Na polsko-niemieckim pograniczu mieszkańcy dwóch gmin, Gubina i Brodów, od kilku lat żyją w niepokoju. Najstarsi, przesiedleni tu z Kresów w latach 40., znają to uczucie. Już raz z tobołkami jechali spod Lwowa i Wilna w nieznane. Zatrzymali się wśród lasów i jezior z wiarą, że zostaną tu na zawsze. Tę pewność poczuli w pełni dopiero po uznaniu przez Niemcy granicy na Odrze i Nysie. Przed kilkoma laty usłyszeli jednak, że na ich polach, w ogrodach i na podwórkach staną koparki i taśmociągi, by z głębokości 140 m wydobywać węgiel brunatny. Tu, gdzie dziś są lasy i pola uprawne, ma być odkrywkowa kopalnia węgla brunatnego o powierzchni prawie 11 tys. ha. Zniknie 18 wsi, a eksploatacja potrwa 50 lat.

BĘDĄ SAME KORZYŚCI?

Wiadomość o zamiarze wycięcia lasów z tysięcy hektarów i o wysiedleniach z kilkunastu wsi rozeszła się po gminach Gubin i Brody w 2008 r. Wcześniej krążyły jedynie pogłoski na ten temat, ale gdy ówcześni wójtowie otrzymali prośbę o wyrażenie zgody na badania geologiczne w celu ustalenia zasobów węgla brunatnego na ich terenie i tej zgody udzielili, niejasne zapowiedzi stały się realne.

Miejscowym nie trzeba tłumaczyć, jakim zagrożeniem dla zdrowia i życia jest kopalnia odkrywkowa. Mają taką kilka kilometrów od Brodów, tuż za Nysą, po niemieckiej stronie. O smogu

> Gdzie dziś są lasy i pola uprawne, ma być odkrywkowa kopalnia węgla brunatnego. Zniknie 18 wsi

także nie trzeba im mówić. Odkrywka oraz dymiące kominy elektrowni Jänschwalde sprawiają, że po deszczu na roślinach osadza się biała warstwa pyłu, a rośliny marnieją w oczach. Gdy wieją wiatry zachodnie, trudniej oddychać. Niemiecka odkrywka sprawiła, że po polskiej stronie drastycznie obniżył się poziom wód gruntowych, w wielu wsiach w studniach brakuje wody.

Ten obraz zagrożenia, jakie niesie kopalnia węgla brunatnego, tonowali specjalni wysłannicy potencjalnych inwestorów, którzy krążyli po wsiach, chodzili od domu do domu i mówili o ogromnych korzyściach, jakie każdemu przyniesie kopalnia. Wysiedlani dostaną duże odszkodowania, bezrobotni znajdą pracę, a gminy będą prosperować, bo kopalnia zasili ich budżet podatkami, o jakich im się nie śniło.

Wysłannicy co prawda przekonali do koncepcji budowy kopalni tylko część mieszkańców, ale wojewódzkie władze samorządowe i przedstawiciele wszystkich partii – od prawicy po lewicę – jak najbardziej byli za.

Najskuteczniejszym propagatorem idei kopalni jest dr Wojciech Naworyta z krakowskiej AGH, który na swojej stronie internetowej szczerze wyznaje, że od 2007 r. wykonywał studium możliwości eksploatacji złoża na zlecenie koncernu Vattenfall, czyli szwedzkiej spółki skarbu państwa, która przez 15 lat była właścicielem elektrowni Jänschwalde i kopalni węgla brunatnego po stronie niemieckiej. W ubiegłym roku pod naciskiem rządu, który opowiada się za energią odnawialną, Vattenfall sprzedał kopalnię i elektrownię czeskiemu koncernowi LEAG.

Po niemieckiej stronie złoża już się kończą, a istnienie elektrowni Jänschwalde przewidziane jest do 2025 r. Była ona plamą na honorze koncernu. Według raportu WWF opublikowanego w maju 2007 r. zajęła czwarte miejsce wśród największych trucicieli w całej Unii Europejskiej.

Dr Naworyta zapewne nie mówi tego na spotkaniach z miejscową ludnością, tylko nadal promuje kopalnię, teraz na zlecenie Polskiej Grupy Energetycznej Sp. z o.o. Bezskutecznie jednak przekonuje do tej inwestycji słuchaczy z gmin Brody i Gubin, natomiast zarząd województwa i sejmik lubuski chyba przekonał. Te dwa organy określają kopalnię węgla brunatnego mianem inwestycji strategicznej, gdyż obok miałaby powstać również elektrownia.

WOJNY REFERENDALNE

Wizja fantastycznych zysków po wybudowaniu kopalni podzieliła mieszkańców Brodów i Gubina. Obie gminy są biedne, niedoinwestowane, nie ma tu wielkiego przemysłu ani lukratywnych miejsc pracy, jest za to wspaniałe środowisko przyrodnicze, w tym tysiące hektarów lasów, a także

eprasa.pl ab0a4c82c6

pasy ziemi uprawnej II i III klasy, czyli pszenno-buraczanej.

Gmina Brody liczy 3,5 tys. mieszkańców (16 sołectw), gmina Gubin – 7,5 tys. (46 sołectw). Gdy w 2008 r. coraz głośniej było o odkrywce, w Brodach zrodził się społeczny bunt. Zawiązał się komitet i w czerwcu 2009 r. odbyło się gminne referendum. Uczestniczyło w nim 53% uprawnionych. 65,4% opowiedziało się przeciwko kopalni. – Jako pierwsza gmina w Polsce zorganizowaliśmy referendum przeciw odkrywce – mówi były przewodniczący komitetu referendalnego i prosi o anonimowość, bo nie chce stracić pracy.

Po tym referendum do Brodów przyjechało pięciu wójtów spod Lubina – im także zagrażała odkrywka. Dowiedzieli się, jak należy zorganizować sprzeciw, przeprowadzili referenda u siebie. Przeciwko odkrywce było 90% biorących udział w głosowaniu. A przecież tamte gminy sąsiadują z kopalniami i wiedzą, czy rzeczywiście są z nich same korzyści.

Referendum w Brodach nie wyciszyło emocji społecznych. W gminie powstały dwa stowarzyszenia – „NIE kopalni odkrywkowej" skupiające przeciwników oraz przychylne kopalni Stowarzyszenie „Zmieńmy razem gminę Brody". Tym pierwszym od grudnia 2014 r. kieruje Anna Dziadek, ekonomistka, mieszkanka wsi Biecz w gminie Brody. Tu się urodziła, tu wychowała, po ślubie trzy lata mieszkała w Berlinie, ale wróciła z molocha, jak mówi, na spokojną wieś, do wspaniałej przyrody.

Po powrocie zauważyła, że mieszkańcy gminy są poddawani presji ogromnej machiny propagandowej. Postanowiła ich bronić. Wśród zwolenników kopalni uchodzi za awanturnicę, ponieważ skrupulatnie zbiera wszelkie dokumenty i informacje obnażające bezsens projektu budowy. Wietrzy też w tym przedsięwzięciu nieczyste intencje. Kopalnia miała być sprzężona z elektrownią, o której w oficjalnej propagandzie prawie wcale się nie mówi. Dla kogo więc miałby być węgiel?

Jest aktywna, udziela wywiadów w mediach, współpracuje z niemieckimi przeciwnikami odkrywki. Uodporniła się na obelgi, jakimi ją obrzucano w internecie i w gazetce wydawanej przez Stowarzyszenie „Zmieńmy razem gminę Brody". – Nie denerwuję się, śpię spokojnie. Gdy mnie obrażają, oddaję sprawę do sądu i wygrywam! – mówi. – Wiem, że mam tu dom, dzieci, męża, i wiem, co jest w życiu ważne.

Poniemiecki dom, w którym rozmawiamy, w 1946 r. otrzymali jej pradziadkowie. Przyjechali z miejscowości Duliby w powiecie Buczacz. W tym domu mieszka dziś piąte pokolenie Polaków, czyli dzieci pani Anny – Blanka i Maciej. Uczą się w niemieckiej szkole w Neuzelle, w przyszłości tu wrócą.

TRUSKAWKOWE MARZENIA

Dorota Schewior prowadzi gospodarstwo agroturystyczne we wsi Wielotów. Jest zabiegana, odbiera telefony, robi notatki, stara się nakłonić osobę odpowiedzialną za oczyszczanie szamba, by przyjechała jak najszybciej, a nie według planu, bo szambo prawie pełne. Jest południe, w restauracyjnej jadalni dwa małżeństwa z Guben jedzą obiad. Przyjeżdżają regularnie od 10 lat.

Wieś jest mała, mieszka tu zaledwie 119 osób, a dom Doroty Schewior jako ostatnie zabudowania ma numer 26. Przylega do niego letnia, oszklona kawiarnia, obok jest jeszcze jedno zadaszone pomieszczenie, gdzie może się zmieścić nawet 90 osób.

Wielotów należy do gminy Gubin. Zgodnie z planami kopalni całe gospodarstwo znalazłoby się w środku obszaru eksploatowanego.

Pani Dorota dzisiaj może już spokojnie mówić o kopalni. A jeszcze nie tak dawno na słowo odkrywka wybuchała płaczem, nie mogła spać. Zapanowała jednak nad emocjami, wmawiała sobie, że może inwestycja rozpocznie się dopiero za 20 lat, więc warto zbudować letnią kawiarnię? I zbudowała.

Gdy zakończyło się zwycięskie referendum w Brodach, zapragnęła podobnego w gminie Gubin. Kłopoty pojawiły się już na samym początku, nie było chętnych do komitetu referendalnego. – Byłam ja, mój pracownik i mój znajomy. W końcu znaleźliśmy kolejne osoby i utworzyliśmy komitet.

Kopalnia miała być sprzężona z elektrownią, o której w oficjalnej propagandzie prawie wcale się nie mówi.

Krążyli po okolicznych wsiach, przekonywali mieszkańców do referendum i tłumaczyli, co naprawdę ich czeka po otwarciu kopalni. – Woziliśmy do wiejskich świetlic ławki, krzesła, kable, bo w niektórych nawet światła nie było. Nie wszyscy sołtysi chcieli nam udostępniać pomieszczenia – opowiada pani Dorota. – Bo w tym samym czasie wsie odwiedzali również emisariusze PGE, mówiąc, jak będzie wspaniale.

W listopadzie 2009 r. także w gminie Gubin odbyło się referendum. Uczestniczyło w nim ponad 47% uprawnionych do głosowania. 68% wypowiedziało się przeciwko budowie odkrywki.

eprasa.pl ab0a4c82c6

Wynik głosowania nie uspokoił mieszkańców, ponieważ ówczesny wójt i rada gminy nie chcieli zmienić podjętych wcześniej uchwał akceptujących budowę kopalni.

Akurat jednak zbliżały się wybory samorządowe. Wójtem został Zbigniew Barski, przeciwnik odkrywki, i teraz on interweniował u rzecznika praw obywatelskich, u ministra infrastruktury oraz w Naczelnym Sądzie Administracyjnym, ponieważ wojewoda lubuski też nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, że – jak stwierdza w piśmie rzecznik praw obywatelskich – „wynik referendum gminnego w tej sprawie jest rozstrzygający".

Dorota Schewior, jak większość młodzieży z Wielotowa i okolic, ukończyła szkołę gastronomiczną. W wieku 21 lat została szefową kuchni w internacie gorzowskiego Stilonu. Raz pojechała zbierać truskawki i zrywać wiśnie do gospodarstwa na zachodzie Niemiec. Zobaczyła hektary obsadzone truskawkami i wiśniami i postanowiła mieć podobne gospodarstwo.

Przed 14 laty kupiła kilkanaście hektarów w Wielotowie, poniemiecki dom i rozsypujące się zabudowania gospodarcze. Wraz z mężem nastawiła się na zorganizowanie gospodarstwa agroturystycznego. Szansę widziała w bliskości granicy, więc nasadziła truskawek i drzew wiśniowych, ale nie było klientów. W końcu przeszła na szparagi.

– W Forst i Guben rozrzucałam ulotki, trzy lata stałam na targowisku w Gubinie i zachęcałam Niemców do odwiedzenia gospodarstwa. Mówiłam: przyjedźcie po szparagi, a za darmo dostaniecie kawę i ciasto – wspomina nie bez wzruszenia początki.

Zaczęli przyjeżdżać, reklama ustna okazała się najskuteczniejsza. Ustaliła też, że np. truskawki i maliny zebrane przez samych klientów będą tańsze. Teraz w sezonie przyjeżdżają babcie z wnukami i całe rodziny z dziećmi, zbierają owoce. Zwykle jedzą też obiady albo same desery, czyli ciasta drożdżowe z truskawkami lub wiśniami. Z każdym rokiem klientów przybywa. Ale wzrosły też wymagania.

Projekt kopalni węgla brunatnego zawisł w próżni. Gminy Brody i Gubin żyją jak w rezerwacie.

– Zrób nam schabowego ze szparagami i sosem holenderskim – prosili niemieccy goście, więc robiła. Od pięciu lat menu w domowej restauracji zwiększyło się tylko o osiem potraw. W listopadzie i grudniu podawane są pieczone kaczki i gęsi, podzielone na części lub w całości.

Teraz Dorota Schewior po dramacie rodzinnym sama prowadzi gospodarstwo. Zatrudnia Ukraińców. Jeszcze trzy lata temu była miejscowa siła robocza, teraz kto mógł, pojechał do Niemiec sprzątać lub opiekować się seniorami. – W maju i czerwcu zatrudniam 40 osób. Dobrze, że są Ukraińcy, bez nich byłoby mi bardzo ciężko – przyznaje.

W tym roku posadziła 4 ha szparagów i 8 ha truskawek owocujących od maja do jesieni. Myśl o kopalni jako największym zagrożeniu dla gospodarstwa nadal jej nie opuszcza, ale coraz częściej powtarza sobie: – Chyba jednak odkrywki nie będzie. Przecież ludzie jej nie chcą!

Do protestu mieszkanców Atterwasch, wsi skazanej na wysiedlenie z powodu rozwoju kopalni odkrywkowej, dołączyła Anna Dziadek (nz. druga z lewej).

LUBUSKIE PEŁNE BOGACTW

Czesław Fiedorowicz, przewodniczący Sejmiku Województwa Lubuskiego, przed laty burmistrz Gubina, a od 24 lat prezes konwentu euroregionu Sprewa-Nysa-Bóbr, nie jest zachwycony projektem budowy kopalni węgla brunatnego. Inwestycja niesie ogromne zagrożenia. Nastąpi nieodwracalna degradacja środowiska, co widać za Nysą. Zagrożone są zasoby wodne, już obniżył się poziom wód gruntowych.

Przed laty Polska zgodziła się, by Niemcy pobierali wodę z Nysy Łużyckiej i zalewali swoje wyrobiska, więc nie starczyłoby jej na zalewanie wyrobisk po stronie polskiej. Poza tym nie ma pewności, że PGE po otrzymaniu koncesji nie sprzeda jej komuś, tak jak to się stało po stronie niemieckiej. Najpierw były tam Łużyckie Kopalnie Węgla Brunatnego Laubag, potem kupił je Vattenfall, a teraz fedrują Czesi. Koncesja jest towarem.

Fiedorowicz dość często uczestniczy w konferencjach polsko-niemieckich. Niemcy nie kryją zainteresowania naszym węglem. Ich pokłady się kończą. Ale gminy, gdzie jest kopalnia, wcale nie rozwijają się dynamicznie. A ich mieszkańcy wciąż protestują i w protestach wspierają polskich sąsiadów.

W sierpniu 2014 r. na granicy polsko-niemieckiej w proteście przeciw budowie kopalni węgla brunatnego w Polsce i poszerzeniu obszaru kopalni po stronie niemieckiej (tam zagrożone są trzy wsie) zgromadziło się 7,5 tys. osób z 27 państw. Protestujący, trzymając się za ręce, utworzyli ośmiokilometrowy „Łańcuch ludzi STOP odkrywce", który połączył dwie zagrożone wsie – niemiecką Kerkwitz oraz polskie Grabice.

Czesław Fiedorowicz mówi, że Lubuskie ma mnóstwo bogactw naturalnych. Są pokłady miedzi i srebra, jest też gaz (ok. 4,5 mld m sześc.) w okolicach Kargowej.

Projekt budowy kopalni węgla brunatnego zawisł na razie w nie wiadomo jakiej przestrzeni. Z tego powodu gminy Brody i Gubin nie mają planu zagospodarowania przestrzennego, nie mogą się rozwijać, pozyskiwać inwestorów. Wójtowie twierdzą, że żyją jak w rezerwatach. Nie rozwijają się duże gospodarstwa hodowlane. Co innego agroturystyka. Prawie w każdej wsi jest co najmniej jedno takie gospodarstwo.

Regina Dachówna

FOT. ARCHIWUM STOWARZYSZENIA „NIE KOPALNI ODKRYWKOWEJ", MACIEJ DZIADEK

eprasa.pl ab0a4c82c6

Oko w oko

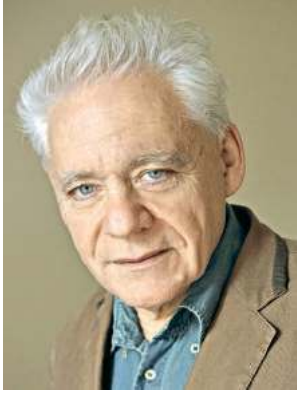

Tomasz Jastrun

PRZY METAFIZYCZNYM ZLEWIE

Dzień i noc w Bydgoszczy. Jak to miasto wypiękniało. Wieczór autorski w klubie… nie podaję nazwy, by mu nie zaszkodzić. Obliczono, że przyszło 140 osób. Nigdy nie zanudzam poezją, było więc wiele prozy i wspomnień. Jak to możliwe, że tomiki wierszy nie sprzedają się w księgarniach, skoro ludzie tak mocno reagują na wiersze? Tu jest jakiś błąd, ale nie wiem jaki. Mój przyjaciel wydawca też wymiguje się od druku moich wierszy. Mówię mu: „Sam sprzedam ci połowę nakładu". On na to: „Ale co z drugą połową?". I ja go nawet rozumiem, równie dobrze, jak rozumiem siebie. Tak się porobiło.

Noc w hotelu, gdzie była tylko rządowa telewizja. Zmusiłem się, by oglądać. Niesamowite, jak oni kłamią. Chyba dobrze, przynajmniej nie można mieć złudzeń. Te kłamstwa robią tym większe wrażenie, że czerwienią się na tle mediów niezależnych i naszej demokracji, która ma zadyszkę, ale jeszcze żyje. W TVP Info na pasku widniały słowa: „Wybór Tuska w interesie Niemiec". A przecież w tym dniu wielkiego sukcesu PiS reżimowa telewizja jako pierwszą podała wiadomość, że w Niemczech ktoś kogoś zaatakował siekierą. Więc te Niemcy są jednak godne najwyższej troski. Niemiecka siekiera ważniejsza od Tuska. Dopiero na drugim miejscu wiadomość, że jest 27 do 1. Ale ta jedynka jaka piękna, swojska, nasza polska i heroiczna jak powstanie warszawskie, jak wszystkie polskie powstania i wiktoria pod Wiedniem. Byłem pewien, że wracającą z Brukseli premier Szydło wyniosą na noszach, a ona szła godnie na własnych nogach w stronę komitetu powitalnego, na czele którego prezes tonął w bukiecie kwiatów.

Teraz PiS pokaże, że idzie na nas unijna nawała, dowodzona przez Niemcy, a jej chorążym jest Tusk.

Czy jest taki absurd, którego nie zaakceptuje twardy elektorat PiS? Czy istnieje klęska, która nie zostanie przedstawiona jako sukces? Pani Szydło, jej prowincjonalizm w złym sensie tego słowa i zaśpiew kościelny w mowie – udręka dla ucha.

Na dworcu w Bydgoszczy – to kolejny nowy, ładny dworzec – czytam w „Gazecie Polskiej" tytuł: „Europa ugięła się pod niemieckim dyktatem". I fotografia Merkel z kciukiem do góry. Znowu ogarnia mnie trwoga. Ci, którzy tak kłamią, mogą też mordować. Peerelowskie strachy Hupka i Czaja wracają w nowej postaci.

W pociągu mały konduktor o kartoflanej twarzy kasując mój bilet, mówi: „Oglądam pana w telewizji". Ja na to: „Ale się porobiło". Odpowiada: „Panie, paranoja, ale patrzy pan, jak przegrali – 1 do 27". Na warszawskim peronie podaje mi dłoń na pożegnanie, w niej metalowy przecinak do biletów. Czuję w dłoni chłód braterskiej stali.

Ludwik Dorn w tym szaleństwie widzi metodę. Mówi: „Kaczyński może liczył na trochę inny wynik głosowania, np. 25 do 3. Ale łączę to z koncepcją polityczną powstałą w ostatnich miesiącach. Nie twierdzę, że ona przyniesie Kaczyńskiemu sukces, ale na pewno jest przez niego przemyślana. Ma to związek z wyborami prezydenckimi w 2020 r. Tylko wtedy w tym szaleństwie widzę sens. (…) Z punktu widzenia Jarosława Kaczyńskiego bitwa o prezydenta w 2020 r. ma wymiar egzystencjalny. Teraz PiS pokaże, że idzie na nas unijna nawała, dowodzona przez Niemcy, a jej chorążym jest Tusk. I do wyborów będzie pracować największa machina kłamliwej propagandy i ogłupiania, jaką stworzono w III RP. Po to, by w 2020 r. Tusk przegrał". Inni mądrzy ludzie też nie mogą się pogodzić z tym, że prezes, demiurg zła, mógł tak się pomylić. I widzą w tym ukryty perfidny plan, by Polskę z Unii wyprowadzić. Nie demonizowałbym aż tak Kaczyńskiego. Poślizgnął się, wstyd powiedzieć na czym. Ale faktem jest nasze odpadanie od Europy.

Biedne nasze dzieci... W szkole Antosia akademia ku czci „żołnierzy wyklętych". Będzie tak już co roku, jak kiedyś obchody leninowskie. Antoś na początku myślał, że wyklęci są od wykluwać się. W sumie zrozumiał tyle, że oni poświęcali się dla ojczyzny. A ja też jestem żołnierz wyklęty. Urząd do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych uznał, że byłem represjonowany przez 12 lat i jestem kombatantem, potrzebny mi ten papier do emerytury. Kto by przypuszczał, że zasłużę sobie na taki honor.

Czytałem na spotkaniu w Bydgoszczy wiersz, tak nowy, że jeszcze ciepły. Pisałem go z myślą o naszym nienawistnym splocie, żeby się odtruć, z przekonaniem, że są rzeczy ważniejsze niż polityczne bagno. Zacząłem więc felieton od poezji i na niej kończę.

W otchłani

Zmywając naczynia
Licz do dziesięciu
Jakbyś wchodził po drabinie
Do nieba
I licz na to
Że stanie się cud
I nie trać nadziei
Znowu licz do dziesięciu
Wtedy zrozumiesz
To że istniejesz jest cudem
Innego nie będzie
Wstaw naczynia do szafki
I odejdź w milczeniu
Niosąc siebie jak walizkę
Pełną myśli
Ona świeci w otchłani
Jak gwiazda

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl abba4c8zb

ELEMENTARZ MARNOTRAWSTWA

Przygotowany za czasów rządu PO-PSL za ponad 50 mln zł podręcznik pójdzie do kosza

Helena Leman

1 września 2014 r., wraz z wejściem w życie tzw. dużej ustawy podręcznikowej, do rąk pierwszoklasistów trafił bezpłatny, rządowy podręcznik „Nasz elementarz" opracowany przez zespół zatrudniony przez MEN. Książka miała służyć kolejnym rocznikom uczniów. Docelowo planowano, że w roku 2017 finansowane przez państwo podręczniki będą mieć wszyscy uczniowie szkół podstawowych i gimnazjów. Podręcznikowa reforma rządu PO-PSL, co potwierdził raport NIK, odciążyła domowe budżety i ograniczyła agresywne praktyki marketingowe wydawców. Izba pozytywnie oceniła również dystrybucję podręcznika i poprzedzające ją konsultacje społeczne. Z nowym rokiem szkolnym 2017/2018 Ministerstwo Edukacji Narodowej zamierza jednak odesłać „Nasz elementarz" do lamusa.

OCENIONY NA TRÓJĘ

Od początku zdania na temat „Naszego elementarza" były podzielone. NIK przeprowadziła badania ankietowe wśród 12,5 tys. nauczycieli i 11,5 tys. rodziców. Wychowawcy klas pierwszych wartość merytoryczną elementarza uznali za przeciętną, uzyskał on średnią 3,17 w pięciostopniowej skali. Nauczyciele podkreślali niską jakość wykonania książek. Zarówno nauczyciele, jak i rodzice byli zgodni co do nieodpowiedniego tempa i kolejności wprowadzania liter oraz niedostosowania treści do wieku. Dobrze natomiast oceniali szatę graficzną, interesujące zdjęcia, ilustracje.

Po szkolnym debiucie podręcznika przetoczyła się też fala dyskusji na jego temat w mediach. – Podoba mi się, że w podręczniku można znaleźć dużo informacji o bezpieczeństwie, na początku roku szkolnego wychodzimy z dziećmi w teren, pokazujemy znaki drogowe, a materiały zawarte w elementarzu ułatwiają nam pracę – mówiła Kamila Borkowska ze SP nr 12 w Gdańsku. – Niewątpliwą zaletą podręcznika jest to, że został wydany w czterech częściach, jest lekki, a rodzice nie ponieśli żadnych kosztów związanych z jego zakupem – dodawała Ewa Grzymała z tej samej placówki.

– Moim największym zastrzeżeniem jest stopień trudności, nie do końca przemyślany. Nie podoba mi się przeplatanie treści polonistycznych matematycznymi, a co za tym idzie, brak dodatkowej książki do matematyki – oceniała Małgorzata Wróblewska ze SP nr 57 w Gdańsku.

Inna nauczycielka zwracała uwagę na to, że „grafika zaproponowana przez ministerstwo w podręczniku chwilami jest przytłaczająca – jak w przypadku komiksów. Dziecku trudno jest skupić uwagę".

W badaniach przeprowadzonych na przełomie stycznia i lutego 2015 r. przez agencję badawczą SW Research we współpracy z dziennikiem „Rzeczpospolita" elementarz również wypadł słabo. Co piąty respondent ocenił go bardzo źle, a 45,7% badanych oceniło go raczej źle. Tylko 13,6% uznało, że „Nasz elementarz" jest lepszy od podręczników stosowanych wcześniej. Największymi atutami były atrakcyjna szata graficzna i fakt, że był bezpłatny.

Wycofanie dopiero co wydrukowanych podręczników to trwonienie publicznych pieniędzy.

– To zdumiewające, że nauczyciele szkół publicznych nie zaprotestowali przeciwko temu kiczowi – mówił mediom Bogusław Śliwerski, przewodniczący Komitetu Nauk Pedagogicznych PAN. – Ten elementarz nie ma właściwej konstrukcji, logiki, absolutnie nie uwzględnia wyników badań z psychologii kształcenia. Matematyka jest na żenującym poziomie.

Krytycznie oceniał podręcznik również Związek Nauczycielstwa Polskiego. Rzeczniczka prasowa ZNP Magdalena Kaszulanis podsumowuje: – „Nasz elementarz", podobnie jak podręczniki powstające w wyniku obecnej reformy edukacji, był tworzony w bardzo szybkim tempie. Nie da się przygotować dobrego podręcznika w trzy miesiące. Po kilku miesiącach od szkolnego debiutu elementarza związek poprosił nauczycieli o opinię na jego temat. Ponad połowa badanych (57%) stwierdziła wówczas, że po wprowadzeniu rządowego podręcznika pogorszyła się jakość pracy z uczniem. Od początku nauczyciele źle go oceniali, wytykając autorom sporo błędów.

MAŁO ODWOŁAŃ DO TRADYCJI

Już na początku „Nasz elementarz" nie spodobał się środowiskom

PRZERWA TECHNICZNA

Jakby zawirowań z podręcznikiem było mało, MEN zawiesiło działalność internetowej platformy z e-podręcznikami. Formalnie ogłoszono, że stworzony za 50 mln zł projekt ma przerwę techniczną i nie wiadomo, kiedy ona się zakończy. E-podręczniki zostały przygotowane przez Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe przy Instytucie Chemii Bioorganicznej PAN. Przy opracowaniu treści wykorzystano doświadczenia m.in. Uniwersytetu Wrocławskiego, Politechniki Łódzkiej, Uniwersytetu Przyrodniczego w Wrocławiu. Powstało kilkadziesiąt e-książek do wszystkich przedmiotów od szkoły podstawowej do liceum. Platforma działała od jesieni 2015 r. i dawała możliwość wyświetlania filmów czy korzystania z interaktywnych ćwiczeń i gier. Mogli z niej korzystać zarówno nauczyciele, jak i uczniowie przygotowujący się np. do klasówek. – Kto wpadł na pomysł wyłączenia takiego projektu w środku roku szkolnego? – pytają nauczyciele i rodzice.

eprasa.pl ab0a4c82c6

katolickim. Wytykano pomijanie treści i wartości chrześcijańskich, patriotycznych i tradycyjnych.

– Wszystkie części elementarza były poddane konsultacjom społecznym. Każdy mógł wyrazić swoje zdanie na stronie internetowej, która miała pół miliona odsłon. Dziwi mnie też, dlaczego akurat pierwszy podręcznik, który nie powoduje wyrwy w budżetach rodzinnych, spotyka się z taką krytyką biskupów. Nie przypominam sobie, aby równie gorliwie przyglądali się ofercie wydawców komercyjnych – broniła się minister edukacji narodowej Joanna Kluzik-Rostkowska w rozmowie z „Rzeczpospolitą" w październiku 2014 r.

Na uwagi, że w rozdziale o świętach Bożego Narodzenia nie ma informacji o opłatku, minister odpowiadała, że „elementarz przygotowywany był dla dużej grupy dzieci wychowujących się w różnych kulturach i religiach, a np. osoby prawosławne nie mają tradycji łamania się opłatkiem".

Odpierała też zarzut, że rola mężczyzny została w elementarzu zdeprecjonowana. – Czy zdaniem biskupów świat stanął na głowie, bo w elementarzu pokazujemy ojca, który nie dość, że pomaga dziecku w odrabianiu lekcji, to jeszcze sprząta? – pytała minister.

Ówczesnej posłance PiS, a dziś szefowej Kancelarii Prezydenta RP, Małgorzacie Sadurskiej, takie przedstawienie roli ojca również się nie podobało. – Czytając elementarz, można odnieść wrażenie, że obowiązki domowe mogą zwolnić mężczyznę z obowiązku utrzymania rodziny – mówiła mediom. Nie odpowiadało jej też to, że w książce było za mało odwołań do polskiej tradycji i historii.

CO ZAMIAST

Dlatego kiedy tylko PiS doszło do władzy, spekulowano, że darmowy podręcznik stworzony przez rząd PO wkrótce zniknie ze szkół. – To będzie jedna z pierwszych decyzji. Od września przyszłego roku dzieci będą się uczyły z zupełnie innej książki – zapowiadał w listopadzie 2015 r. Ryszard Terlecki, szef klubu parlamentarnego PiS.

Sprawa nieco się przeciągnęła, ale rzeczywiście uczniowie klasy pierwszej szkoły podstawowej dostaną w tym roku nowe podręczniki. Z „Naszego elementarza" będą jeszcze korzystali uczniowie klas drugich i trzecich.

– Podręczniki do klasy pierwszej wybierze nauczyciel z oferty dostępnej na rynku. Książki będą darmowe, zapłaci za nie budżet państwa. Ponieważ zmieniła się podstawa programowa, wydawnictwa pracują obecnie nad nowymi podręcznikami i niedługo będą się ubiegać o ich dopuszczenie przez MEN. Nie wskazujemy wydawnictwa, z którego podręczników ma korzystać nauczyciel – tłumaczy Justyna Sadlak z biura prasowego MEN. – Docelowo w nowym roku szkolnym wszyscy uczniowie objęci obowiązkiem szkolnym, czyli uczniowie szkoły podstawowej i dwóch klas gimnazjów, otrzymają podręczniki do obowiązkowych zajęć edukacyjnych finansowane z budżetu państwa. Mamy na to zabezpieczone środki. Książki będą własnością szkoły, a dotację na ich zakup otrzymają dyrektorzy placówek. Po zakończeniu roku szkolnego uczeń będzie miał obowiązek zwrócić podręczniki do biblioteki szkolnej. Jeżeli je zniszczy lub ich nie odda, szkoła będzie mogła żądać od rodziców zwrotu kosztów książek. Szczegółowe warunki określi dyrektor placówki.

Według informacji MEN koszt opracowania, wydania, druku i dystrybucji „Naszego elementarza" wyniósł 50,96 mln zł. Według raportu NIK był nieco wyższy – ok. 53 mln zł. Jeszcze wyżej koszty „Naszego elementarza" ocenia ZNP. – Wycofanie dopiero co wydrukowanych podręczników to marnotrawstwo i trwonienie publicznych pieniędzy. Pamiętajmy, że ich opracowanie, wydrukowanie i dystrybucja to koszt ponad 60 mln zł! – podkreśla Magdalena Kaszulanis.

W Polsce brakuje długofalowej polityki edukacyjnej. Każdy rząd wprowadza własne podstawy programowe.

– Żadnego marnotrawstwa nie ma – twierdzi Justyna Sadlak. – Jeszcze dwa roczniki będą korzystać z „Naszego elementarza", nauczyciele będą mogli również wykorzystywać jego treści jako materiały źródłowe, uzupełniające.

– W Polsce brakuje długofalowej polityki edukacyjnej. U nas każdy rząd wprowadza własne podstawy programowe, a wydawcy przygotowują nowe podręczniki, za które ktoś musi zapłacić: albo rodzice, albo wszyscy podatnicy, jeśli są dotowane z budżetu państwa – podsumowuje rzeczniczka ZNP. ■

FOT. KATARZYNA ZAREMBA/SE/EAST NEWS

eprasa.pl ab0a4c82c6

POLSKA ZOSTAŁA NA LODZIE

Kaczyński awanturami niczego w Unii nie osiągnie

Rozmawia Robert Walenciak

Po wyborach w Holandii w Europie powiało optymizmem.

– Może raczej nadzieją. Spojrzałem na poranne wiadomości – euro się wzmocniło, giełda się poprawia… Ale czytając to, przypomniałem sobie, co było, gdy wygrał Trump. Następnego dnia dolar się wzmocnił, giełda też poszła w górę. Przestałem wiązać te dwie sprawy.

Optymizm Europy wynika z tego, że populiści zostali zatrzymani. Można mówić, że karta się odwraca.

– Dwa tygodnie przed wyborami niektóre sondaże pokazywały, że populiści Geerta Wildersa idą niemal łeb w łeb z partią premiera Marka Ruttego – największą w Holandii. Gdyby Wilders przeskoczył Ruttego, byłoby to wielką zachętą dla populistów, dla wrogów Unii, w całej Europie.

Tymczasem partia premiera zdobyła 33 mandaty w 150-miejscowym parlamencie, a partia Wildersa – 20. Te 20 mandatów to ok. 14% holenderskiego elektoratu. Przy rekordowej frekwencji 81%.

– Społeczeństwo zareagowało. Przeciwnicy Wildersa się zmobilizowali. To również dowodzi zdolności holenderskich partii politycznych do współdziałania w najważniejszej sprawie, czyli przeciwstawienia się populistom, namówienia swoich wyborców, by poszli głosować. Kalkulacja była oczywista – ludzie z reguły nie popierają ekstremistów, zwracają się ku nim, kiedy tradycyjne partie nie potrafią odpowiedzieć na rosnące niepokoje wyborców. W przypadku Holandii wysoka frekwencja pomogła, ale trudno to uznać za uniwersalną receptę. Warto zauważyć, że holenderskie partie konserwatywne w przedwyborczej retoryce przesunęły się na prawo. Chodziło o stępienie skuteczności radykalnych haseł Wildersa.

Czy ten wynik przełoży się na kwietniowo-majowe wybory we Francji?

– Jeśli chodzi o ogólną atmosferę, to tak, ale skali wpływu nie należy przeceniać. Nie można porównywać sytuacji Francji i Holandii. Źródła populizmu mimo pewnych podobieństw są różne. Spójrzmy na sytuację gospodarczą. W Holandii jest obecnie przyzwoity wzrost, ok. 2% PKB, i niskie bezrobocie, także wśród młodzieży. Francja ma od lat poważne problemy gospodarcze i społeczne, co wywołuje niezadowolenie. Poważne problemy społeczne występują na tzw. obszarach poprzemysłowych. Jak pokazują badania, tzw. wskaźnik optymizmu społecznego jest we Francji najniższy w Europie. Prezydentura François Hollande'a nie przyniosła oczekiwanej zmiany, raczej wielkie rozczarowanie.

Co to oznacza?

– Rodzi się pytanie, jakim nastrojom ulegną Francuzi. Czy zaufają Le Pen, która obiecuje, że jej Francja nie będzie wpuszczać obcych towarów, wypędzi czy ograniczy liczbę obcokrajowców, również z krajów Europy Wschodniej, i zmniejszy swoje długi po opuszczeniu Unii? A może zaufają Macronowi? To nowa twarz w polityce francuskiej, może reprezentować interesy zarówno centroprawicy, jak i centrolewicy. Macron mówi, że siłę Francji należy budować na otwartości. Że trzeba lepiej wykorzystać jej obecny potencjał. Wybory w Holandii na pewno dały nadzieję jego zwolennikom.

Czyli zwycięstwo partii proeuropejskich w Holandii coś znaczy.

– Nie mogło być lepszej wiadomości dla Unii przed jubileuszowym szczytem w Rzymie. Tym bardziej że Holandia bez wątpienia pozostanie bardzo ważną siłą polityczną dalszego rozwoju Unii Europejskiej. Ale dla przyszłości Unii kluczowy będzie wynik wyborów we Francji.

DR HAB. MAREK GRELA

– dyplomata, ekonomista, były wiceminister spraw zagranicznych. W latach 2002-2012 pracował w Brukseli jako ambasador RP przy Unii Europejskiej, a następnie jako dyrektor ds. stosunków transatlantyckich przy przedstawicielu unijnej dyplomacji Javierze Solanie. Obecnie współpracownik polskich i zagranicznych ośrodków studiów międzynarodowych, profesor uczelni Vistula.

AMERYKAŃSKA ZAGADKA

To była też świetna wiadomość dla Angeli Merkel przed podróżą do Stanów Zjednoczonych. Pojechała tam w podwójnej roli – jako kanclerz Niemiec i jako faktyczny przywódca Unii.

– Niemcy są najpotężniejszym państwem europejskim. Są też krajem, który swoją potęgą ekonomiczną, a także polityką europejską, światową zyskał szacunek w świecie. Obrażanie Niemiec mające miejsce „tu i ówdzie" jest dziś bardzo źle przyjmowane w całej Europie.

eprasa.pl ab0a4c82c6

A obrażanie Trumpa?

– Fundamentem bezpieczeństwa Europy są silne więzi transatlantyckie. Historia spojrzenia na Stany Zjednoczone jest w Europie złożona. Najpierw, po II wojnie światowej, mieliśmy atmosferę podziwu dla Ameryki. Ze względu na wyzwolenie Europy, pomoc gospodarczą i wsparcie dla integracji europejskiej. Plan Marshalla w istocie rzeczy był pomysłem na rozwój współpracy w gronie państw, które później stały się jądrem założycielskim Unii. A potem USA zaczęły być źródłem obaw. Obaw gospodarczych, co było widoczne zwłaszcza we Francji, dokąd w latach 60., już po utworzeniu unii celnej i EWG, zaczęły masowo napływać inwestycje amerykańskie. Szybko rozwijająca się Europa była rosnącym rynkiem, a jednocześnie unia celna powodowała, że cła zewnętrzne były przeszkodą. Aby je omijać, lokowano inwestycje na miejscu.

Były więc obawy, że Ameryka gospodarczo skolonizuje Europę.

– Francuski dziennikarz i polityk Jean-Jacques Servan-Schreiber określił to mianem *défi américain*, wyzwania amerykańskiego. Następnie przyszły lata 70., kiedy Stany Zjednoczone sporo straciły wizerunkowo. Nie tylko z powodu wojny wietnamskiej, ale i przez obawy Europy Zachodniej, że konfrontacja z ZSRR zwiększy ryzyko wybuchu konfliktu na kontynencie. Europa Zachodnia była zainteresowana obniżeniem napięcia, protestowano przeciwko lokowaniu w Europie rakiet średniego zasięgu. Później stosunki Europa-USA się poprawiły, a po zakończeniu zimnej wojny bardzo wzmocniły. W erze Busha seniora i Clintona były bardzo dobre. Ale potem przyszedł Bush junior z polityką wojny z terroryzmem, często postrzeganą jako pretekst do stosowania metod, których Europejczycy nie akceptowali. Ale nigdy Ameryka nie wywołała w Europie tak wielkiego zaniepokojenia jak teraz, gdy wybrała na prezydenta Donalda Trumpa.

Jeszcze nic nie zrobił.

– Ale to, co mówił, było dla Europejczyków szokiem. Bo niemal wszystko podważył – znaczenie współpracy transatlantyckiej, znaczenie Europy. Pod znakiem zapytania postawił rolę integracji europejskiej jako czynnika stabilizującego, utrzymującego pokój na naszym kontynencie. Europę dotknął więc efekt Trumpa i okazał się dwojakiego rodzaju. Z jednej strony, stał się zachętą dla populizmów, które już wcześniej tu były. Ale z drugiej, wywołał wielką mobilizację przeciwko temu, co Trump zdawał się symbolizować.

Ta mobilizacja, jeśli sądzić po wyniku wyborów w Holandii, spycha populistów na bok.

– Jest więc szansa, że przestaną być kłopotem. Za to problemem dla Europy zaczyna być populizm w Polsce. Ze względu na jego niezwykły charakter, na kwestionowanie tego, co jest największym sukcesem Polski – demokracji i włączenia w struktury zachodnie. Uderza on w najczulszy dla zachodnich Europejczyków punkt – prawa i swobody obywatelskie, niezależność sądownictwa. Unię tworzą przecież państwa demokratyczne. To jest punkt wyjścia. I to jest w Polsce kwestionowane!

POLSKA – KŁOPOT EUROPY

Czy Unia ma pomysł na Polskę, skoro jesteśmy jej największym kłopotem?

– Dlaczego jesteśmy kłopotem? Otóż ten rząd nas wyprowadza z Unii – choć formalnie deklaruje wolę kontynuacji członkostwa. Podważa podstawowe zobowiązania wynikające z traktatu akcesyjnego. Doprowadził do napięcia w relacjach z Komisją Europejską i obrócił przeciw sobie państwa członkowskie UE. Wynik 27:1 w końcu coś mówi. Członkostwo w Unii Europejskiej nie polega na tym, że my sobie dyskutujemy, jakie mają być zasady. Kiedyś premier Szydło użyła nawet określenia: „nie na taką Unię się umawialiśmy".

> W Europie powiało optymizmem. W Holandii populiści przegrali.

Było inaczej?

– Akcesja do UE jest kwestią jednostronną. Przystępujesz do klubu, gdy spełniasz wszystkie warunki. Przede wszystkim traktatowe „warunki wspólne" – o poszanowaniu zasad demokracji i państwa prawnego. A po co są negocjacje? Po to, żeby w różnych sprawach mieć okresy przejściowe. W ochronie środowiska, w restrukturyzacji gospodarki... Ale wszystkie zasady funkcjonowania trzeba przyjąć. A jeśli któraś się nie podoba, jeśli się ją kwestionuje? Odpowiedź brzmi: dziękujemy za współpracę, do widzenia. To, co mówi premier, że nie na taką Unię się umawialiśmy, jest więc wprowadzaniem w błąd polskiego społeczeństwa, deklaracją: dajcie nam święty spokój, my będziemy robić swoje.

> Na Zachodzie nie potrzebują pouczeń od kraju, który narusza zasady demokracji.

PiS tłumaczy, że jego działania w sprawach sędziów czy mediów to przejaw buntu przeciwko starym układom, establishmentowi.

– To nie jest żaden bunt przeciwko establishmentowi. To bunt przeciw zasadom demokracji. Kwestionowanie rządów prawa, swobód obywatelskich dyskredytuje nas w oczach Zachodu. I takie jest wrażenie Europy.

Że z Polską coś nie tak?

– Że z Polską jest bardzo źle. Do tego dochodzą inne zdziwienia. Że Polska nie potrafi rozmawiać. Że u nas nikt nie rozumie kultury konsensusu. A obecna władza w szczególności, skoro nie umie rozmawiać z opozycją, tylko ją obraża, krzyczy, straszy i robi swoje... Kolejne zaskoczenie – obecny styl prowadzenia polityki, także zagranicznej. Poza tym – zaskakująco niski poziom profesjonalny. Niekiedy odnosi się wrażenie, że rząd nie wie, jak Unia funkcjonuje! Teraz, po Brukseli, udaje się przed polską publicznością, że to Beata Szydło była zwycięzcą, że to Unia złamała zasady. Tymczasem niczego nie złamano.

UNIJNE PIENIĄDZE

Beata Szydło powiedziała, że nie ustępowała w imię zasad.

– Unia nie potrzebuje pouczeń od kraju, który narusza zasady demokracji, nie rozumie kultury konsensusu i nie wie, jak od strony prawnej i formalnej funkcjonuje Wspólnota. I czwarta rzecz – nic tak nie drażni jak arogancja. Parę dni temu pani premier mówiła w Pułtusku, jak to broni nas przed tym Francuzem, który chce zabrać Polsce unijne pieniądze. I zaraz dodała, że to nie są takie znowu wielkie pieniądze, bo my też płacimy składki. A to, co dostajemy, Zachód

eprasa.pl ab0a4c82c6

odbiera sobie w formie zamówień i różnych danin. Rozumiem, że te słowa są kierowane do elektoratu „dobrej zmiany" również zaniepokojonego wynikiem 27:1, trzeba jednak ważyć słowa. To jest język polskich przeciwników naszego członkostwa w Unii: że my płacimy, ponosimy koszty, że na nas zarabiają. Takie słowa są obrazą nie tylko zachodnich rządów, ale przede wszystkim tamtejszych podatników, którzy dawali swoje pieniądze, mając nadzieję, że Polska staje się krajem normalnym jak inne, stabilnym i demokratycznym. I ostatni punkt – tym, co szokuje na Zachodzie, jest fakt, że Polska stała się krajem nieracjonalnym.

Na czym ta nieracjonalność ma polegać?

– Na tym, że – jak choćby przed Brukselą – nasz rząd i nasza dyplomacja miały czarno na białym przedstawione skutki ich działań. Premier Szydło wiedziała, jaki wynik osiągnie podczas głosowania, ile to będzie Polskę kosztować. I nic. A potem wróciła po największej klęsce dyplomatycznej od roku 1989 i ogłosiła zwycięstwo. Jak to można odebrać? Jeden z wielkich dzienników niemieckich, „Frankfurter Allgemeine Zeitung", napisał, że Polską rządzą ludzie oderwani od rzeczywistości. „Czy Warszawa jest poczytalna?", pytał i cytował Orbána, który wyraził wątpliwość co do poczytalności polskich przywódców. Mocne słowa. Oni na Zachodzie tego wszystkiego nie są w stanie pojąć. Polska wygląda w ich oczach jak z Orwella, u którego

> Nic tak nie drażni jak arogancja.

ministerstwo propagandy nazywało się ministerstwem prawdy, a ministerstwo wojny – ministerstwem pokoju. Przecież do ostatniej chwili Niemcy starali się, żeby w Brukseli nie nastąpił blamaż polskiego rządu. Czego jednak można się spodziewać, gdy ma się za ministra spraw zagranicznych Witolda Waszczykowskiego, który o być może przyszłym kanclerzu Niemiec mówi, że to niedouczony lewak?

W BIAŁYCH RĘKAWICZKACH

To jak teraz w Brukseli będą postępować z Polską?

– Wbrew przekonaniu, że nic nam nie mogą zrobić, zrobią nam sporo. Przy okazji Brexitu Unia będzie musiała zmodyfikować budżet. Mogą zostać wprowadzone inne zasady

podziału. Może być mniej pieniędzy. Ten ruch przyjdzie zachodnim płatnikom netto do budżetu Unii tym łatwiej, im więcej będzie z naszej strony wypowiedzi typu: „Polska do Unii dopłaca". No, skoro dopłaca…

Te ewentualne zmiany Polska będzie oprotestowywać.

– I tyle. Bo jakie ma instrumenty, żeby je zatrzymać?

Czy nie jest tak, że po Brukseli i po wyborach w Holandii Europa doszła do wniosku, że z populistami trzeba postępować stanowczo? Że nie warto łagodzić, dogadywać się, tylko trzeba robić swoje?

– W Unii nikt nie chce Polski krzywdzić ani robić jej afrontów. Unia nie będzie nikogo obrażać, straszyć, tylko zrobi swoje w rękawiczkach. Takie „sankcje mimochodem". A możliwości ma wiele.

No to chyba w Brukseli są zadowoleni, że Polska dostała prztyczka w nos.

– Nie! Unia jest projektem, w którym poszukuje się rozwiązań. I nikt nikomu nie chce koniecznie ucierać nosa. A co do szczytu w Brukseli, oni powiedzieli: dość. Polski rząd nie będzie tak z Unią Europejską rozmawiać. Powiedzieli solidarnie. Zwróćmy uwagę na zachowanie Theresy May – mogła wstrzymać się od głosu, przecież to było jej ostatnie głosowanie! A co chciała pokazać? Że ona wie, po której stronie stanąć. Że Polska nie jest jej do niczego potrzebna.

Jako pośrednik…

– Nasze oferty, że możemy pośredniczyć czy pomagać, mogą mieć znaczenie raczej symboliczne. Dlatego że to wszystko, co Wielka Brytania chce forsować, może załatwić z Unią Europejską. Poza tym są to takie sprawy, w których interes brytyjski często rozmija się z polskim. Dlaczego odrzucono w parlamencie brytyjskim gwarancje dla pracowników z Unii mieszkających w Wielkiej Brytanii? Żeby rząd brytyjski nie wiązał sobie rąk. Zresztą dla wielu krajów Unii jest to sprawa obojętna, ale nie dla Polski!

Trudno uwierzyć, żeby polska dyplomacja na takie działania patrzyła ze spokojem. Będzie walka. Sam Jarosław Kaczyński mówił, że nie damy się wypchnąć z Unii, nie godzimy się na Europę dwóch prędkości.

– Europa dwóch prędkości? Najwyraźniej prezes Kaczyński zakłada, że to musiałoby zostać uregulowane traktatowo. Wtedy moglibyśmy się nie zgodzić na nowy traktat. Ale nie będzie żadnego nowego traktatu unijnego. Będą moim zdaniem uzupełnienia do już istniejącego, w formie umów międzyrządowych, o ściślejszej współpracy w gronie zainteresowanych państw. Zostaną one zawarte, nikt tego nie zabroni. A używanie argumentów: nie pozwolimy, nie dopuścimy, budzi zdziwienie. Nie można zabronić innym państwom pogłębiania integracji w swoim gronie. I Polska zostanie na lodzie…

Robert Walenciak

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, FB.COM.SekcjaGimnatyczna (2)

eprasa.pl ab0a4c82c6

W UŚCISKU SUŁTANA

Kolejna odsłona napięć na linii Turcja-Unia Europejska

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Między Turcją a Europą Zachodnią trwa bezprecedensowy konflikt dyplomatyczny. 11 marca holenderski rząd nie zezwolił na wylądowanie w Rotterdamie samolotu z szefem tureckiej dyplomacji Mevlütem Çavuşoğlu, a następnie nie dopuścił do tureckiego konsulatu minister pracy Fatmy Kai, którą później odeskortowano do Niemiec. Oboje mieli wystąpić na zorganizowanych przez tureckich imigrantów wiecach poparcia dla zmian konstytucji, w Unii powszechnie uważanych za antydemokratyczne. W odpowiedzi turecki minister spraw zagranicznych nie tylko zażądał od Holandii przeprosin, lecz także nazwał ten kraj stolicą faszyzmu, zamknął ambasadę holenderską w Ankarze i zagroził wprowadzeniem wobec Amsterdamu sankcji gospodarczych. W ostatnich dniach przed wyborami parlamentarnymi w Holandii temat ten ochoczo podchwycił lider populistycznej Partii Wolności Geert Wilders, który prowadził kampanię odwołującą się do nastrojów antyislamskich. Prezydent Recep Tayyip Erdoğan również wykorzystał te wydarzenia w swojej kampanii referendalnej. Od kilku tygodni antyeuropejska propaganda w Turcji żywi się atakami na kolejne państwa Unii.

Protest przed konsulatem holenderskim w Stambule po tym, jak rząd w Hadze nie zezwolił na wylądowanie w Rotterdamie samolotu z szefem tureckiej dyplomacji.

OBELGI POD ADRESEM BERLINA

Stosunki niemiecko-tureckie zostały poddane pierwszej poważniejszej próbie w czerwcu zeszłego roku, kiedy Bundestag jednogłośnie uchwalił rezolucję uznającą masakrę Ormian w imperium osmańskim w 1915 r. za ludobójstwo. W reakcji na tę decyzję Turcja wezwała do kraju na konsultacje swojego ambasadora w Niemczech. Dwa tygodnie temu zrobiła to samo, kiedy władze kilku niemieckich miast, podobnie jak w Holandii, nie zezwoliły politykom AKP na wystąpienia przed tureckimi wyborcami. Odtąd Erdoğan już nie tylko przypisuje Niemcom i Holendrom islamofobię, ale również oskarża tamtejsze elity o stosowanie nazistowskich, względnie faszystowskich metod.

Emocji nie ostudziły nawet wysiłki dyplomatyczne Sigmara Gabriela. – Porównanie działań władz niemieckich do czasów nazizmu jest niesłychaną prowokacją, insynuacją zasługującą na potępienie. Nie zamierzamy odpowiadać na prowokację prowokacją – przekonywał szef niemieckiego MSZ po rozmowie ze swoim tureckim odpowiednikiem na początku marca. Çavuşoğlu miał wcześniej wystąpić przed rodakami w Hamburgu, lecz i ten wiec został odwołany. W końcu turecki polityk przemówił na terenie konsulatu

eprasa.pl ab0a4c82c6

swojego kraju. Po rozmowie z Gabrielem odwiedził zaś targi turystyczne ITB w Berlinie, gdzie podtrzymał tezę o „nazistowskich zapędach" niemieckich władz, a dodatkowo odmówił im prawa do „pouczania" innych krajów, jakie są zasady demokracji.

Tureckie władze próbują w ten sposób odwrócić uwagę od swoich działań. Po nieudanej próbie wojskowego zamachu stanu w lipcu 2016 r. Erdoğan wyraźnie dąży do autokracji o zabarwieniu islamskim. Niektórzy mówią wprost o dyktaturze, i to nie tylko dlatego, że prezydent Turcji zamierza po 16 kwietnia przekształcić ustrój z gabinetowo-parlamentarnego na prezydencki, z przywróceniem m.in. kary śmierci. Niepokój budzi codzienność nad Bosforem – czystki i aresztowania tysięcy ludzi w wojsku, administracji, szkołach, urzędach i na uniwersytetach pod zarzutem sprzyjania ruchowi Fethullaha Gülena lub kurdyjskiej organizacji PKK, zamykanie lub zmuszanie redakcji do współpracy z władzami, aresztowanie 154 dziennikarzy.

FREE DENIZ

Przez pół roku niemiecki rząd reagował bardzo umiarkowanie na dryf Turcji w kierunku autokracji ze zrozumiałej skądinąd obawy, że zbyt ostra krytyka rządów Erdoğana może grozić zerwaniem umowy o readmisji uchodźców. Niemieccy politycy co najwyżej stwierdzali, że Erdoğan ma problem z demokracją. Obudziło ich dopiero aresztowanie w połowie lutego niemiecko-tureckiego korespondenta dziennika „Die Welt" Deniza Yücela, przy czym warto pamiętać, że w Turcji areszt śledczy może potrwać nawet pięć lat. Przez Niemcy przetoczyła się fala oburzenia, a niemieckie media wzywają świat do wyrażania solidarności z dziennikarzem. Hasło #freedeniz jest stale obecne na portalach społecznościowych. Redaktorzy wychodzą na ulicę, a z inicjatywy hamburskiego tygodnika „Die Zeit" przez metropolię nad Łabą przejechała kawalkada trąbiących samochodów. Nie ma dnia, by media, zwłaszcza „Die Welt", oraz politycy opozycji nie żądali od rządu jasnego stanowiska.

– Głównymi zarzutami wobec Deniza są podżeganie mas i propaganda na rzecz organizacji terrorystycznej. Bądźmy poważni, to jakaś komedia – uważa Ulf Poschardt, redaktor naczelny „Die Welt". Pretekstem do zatrzymania Yücela mógł być jego niedawny wywiad z liderem PKK, Cemilem Bayıkiem. Dyspozycyjne wobec prezydenta media twierdzą, że urodzony w mieście Flörsheim dziennikarz utrzymywał również bliskie kontakty z osobami z ruchu Gülena. Yücel jest zatem kojarzony z wrogami numer 1 i 2 państwa tureckiego.

Erdoğan zamierza po 16 kwietnia wprowadzić ustrój prezydencki i przywrócić karę śmierci.

– Szkoda, że dopiero uwięzienie Yücela otwiera Niemcom oczy na to, co się dzieje w Turcji – zżyma się Cem Özdemir, przewodniczący partii Zielonych. Wprawdzie media i opozycja się oburzyły, ale sam rząd raczej nie będzie w stanie wyjść poza ograny repertuar dyplomatycznych napomnień. Przetrąconym kryzysem migracyjnym Niemcom nie pozostaje nic innego jak powrócić na ścieżkę dialogu z Turcją. W sprawie Yücela Berlin ma zresztą związane ręce. – Problemem jest podwójne obywatelstwo Deniza i to, że został aresztowany jako obywatel Turcji. Możemy więc jedynie powoływać się na prawo tureckie, np. na przedawnienie się krytycznych tekstów Deniza, bo od ostatniej jego publikacji upłynęły cztery miesiące – tłumaczy adwokat dziennikarza Veysel Ok.

Özdemir i Erdoğan walczą o ten sam elektorat – o rodaków z podwójnym obywatelstwem.

PODWÓJNE OBYWATELSTWO

Niemieckie media zastanawiają się, dlaczego Yücel po puczu w ogóle pozostał w Turcji. Największe niemieckie gazety jeszcze przed lipcem wycofały swoich korespondentów z Ankary, kiedy rzecznik tureckiego parlamentu zasygnalizował, że niebawem nie będzie im już wystawiał akredytacji. Korespondent tygodnika „Der Spiegel" Hasnain Kazim długo się zastanawiał, czy wyjechać. Kiedy zauważył, że dalsze wykonywanie zawodu wpycha go pod dyktat AKP bądź w patologiczne uzależnienia, opuścił Ankarę. – Stałem się nagle niemieckim agentem, bo nie zgadzałem się z linią Erdoğana – opowiada. Natomiast Yücel pozostał, prowadząc dalej na własną rękę dziennikarskie śledztwa i otwarcie krytykując rząd Binalego Yildirima. To było – najoględniej mówiąc – nierozważne.

W każdym razie po zatrzymaniu Yücela kanclerz Niemiec znalazła się nie tyle pod presją, ile w rozterce. – Merkel nie chce stracić partnera w kryzysie migracyjnym i jest od niego uzależniona – mówi wprost Özdemir. Co ciekawe, jego kolega z partii Özcan Mutlu, też mający tureckie korzenie, uważa, że potencjał szantażu porozumieniem w sprawie imigrantów już dawno się wyczerpał. – Uchodźcy z Iraku i Syrii zadomowili się w tureckich miastach i nie zamierzają ruszać dalej do Europy Zachodniej. Erdoğan potrzebował nowych narzędzi do wywierania nacisku na niemiecki rząd i wymyślił Yücela – wyjaśnia.

Skoro prezydent Turcji nie może już wykorzystać umowy o readmisji imigrantów, dlaczego niemiecki rząd nie wyda ostrego oświadczenia? Odpowiedź jest prosta – połowa z 3 mln żyjących w Niemczech Turków ma niemiecki paszport, uprawniający do postawienia krzyżyka obok nazwisk polityków kandydujących jesienią do Bundestagu. W czasie kampanii nikt nie będzie zniechęcać wyborców atakami na ojczyznę ich przodków.

Kiedy politycy w Berlinie muszą łagodzić ton wypowiedzi, brudną robotę wykonują za nich lokalne władze – premierzy landów lub burmistrzowie. Włodarze badeńskiego Gaggenau udaremnili happening polityczny tureckiego ministra sprawiedliwości Bekira Bozdağa. W Kolonii odwołano spotkanie z ministrem gospodarki, a rząd Saary jako pierwszy kraj związkowy prawnie zakazał zagranicznym politykom działań związanych z kampanią w ojczyznach. – Nam chodzi nie o osoby, lecz o treści ich przemówień. W państwie cieszącym się swobodą nie możemy pozwolić na antydemokratyczną agitację. Zresztą nie chcemy przenosić tureckich konfliktów na niemieckie podwórko – mówiła premier Saary Annegret Kramp-Karrenbauer.

FOT. AP/EAST NEWS, POLARIS/EAST NEWS

eprasa.pl ab0a4c82c6

Tyle że właśnie restrykcje wobec tureckich polityków mogą konflikty nasilić i spowodować uliczne rewolty niemieckich Turków.

MALEJĄCY ENTUZJAZM

Na obelgi o nazistowskich metodach zareagował Cem Özdemir. – No to ja w takim razie chciałbym wystąpić publicznie w Ankarze. Czy panowie Erdoğan i Yıldırım mi na to pozwolą i zdołają zapewnić bezpieczeństwo? – pytał polityk Zielonych, który w oczach prezydenta Turcji uchodzi za niemieckiego agenta PKK. Wspieranie terroryzmu Erdoğan zarzucił także samej kanclerz, która jednak pomija te nietaktowne uwagi milczeniem. Özdemir jest bodaj jedynym liderem partyjnym, który zdobywa się na tak śmiałe słowa pod adresem „Sułtana". Szef Die Grünen potrafi bez ochrony przemawiać w tureckich dzielnicach Berlina i wracać metrem do domu. A jest to ryzykowne, bo w stolicy Niemiec nie brakuje sympatyków AKP. Przywódcy innych niemieckich formacji zauważyli, że Zieloni, których przewodniczący z racji pochodzenia przyciągał niegdyś licznie tureckich wyborców, po jego ostatnich wypowiedziach stracili w sondażach. Özdemir i Erdoğan walczą o ten sam elektorat – o rodaków z podwójnym obywatelstwem. A przed nadchodzącym referendum prezydent Turcji potrzebuje ich bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Niektórzy tureccy obserwatorzy twierdzą bowiem, że AKP przeżywa kryzys. – Erdoğan ma za sobą rzeszę zwolenników, ale jego ostatnie wiece przypominają zloty w Korei Północnej. Nie było już tam żadnych tuzów AKP, a wyborcy zamiast entuzjastycznie krzyczeć, machinalnie poruszają chorągiewkami – opowiada Mutlu.

Berlin, 28 lutego – jedna z wielu demonstracji żądających uwolnienie korespondenta „Die Welt" Deniza Yücela.

Z ustaleń zajmującego się tematyką Bliskiego Wschodu portalu Al-Monitor wynika, że prawie jedna trzecia wyborców AKP nie chce zmiany konstytucji i zamierza wyrazić ten pogląd za miesiąc w referendum. Nie umknęło im, że ostatnio Erdoğan traktował wielu rodaków w sposób jawnie niesprawiedliwy. Skutki prowadzonej czystki są odczuwalne dla wszystkich. Machina państwowa po oskarżeniu tysięcy urzędników o próbę puczu zaczęła się zacinać. W szkołach i na uczelniach z braku personelu odwoływane są zajęcia. Tureccy żołnierze giną codziennie na misjach wojskowych, które nie przynoszą żadnych korzyści. Tureckie miasta coraz częściej stają się celem ataków kurdyjskich lub islamskich terrorystów. To wszystko odbija się na sytuacji ekonomicznej. O ile kwitnąca gospodarka latami utrwalała wyborców w przekonaniu o słuszności Erdoğana, o tyle po lipcowym puczu opinia ta się zmieniła. W 2016 r. zyski z turystyki spadły o jedną trzecią. Bezrobocie w Turcji jest najwyższe od siedmiu lat. Dwie trzecie wyborców AKP uważa, że po wyborach parlamentarnych w listopadzie 2015 r. sytuacja się pogorszyła.

NADZIEJA ERDOĞANA

Rzucaniem podsycających wzajemną agresję obelg Erdoğan chce pokazać, że w każdej chwili może podjąć walkę z Zachodem. Po ostatnich sporach dyplomatycznych z Niemcami i Holandią zapowiedział: – Jeśli będę chciał, to przyjadę. A jeżeli mnie nie wpuszczą, to urządzę im powstanie.

Nic dziwnego – po Stambule, Ankarze i Izmirze Niemcy są największym okręgiem wyborczym. – Przed Erdoğanem nikt się nami nie interesował, wysyłaliśmy jedynie pieniądze do rodzin, a poza tym nic – skarży się piekarz z berlińskiej dzielnicy Wedding. Jako premier „Sułtan" uruchomił wiele inicjatyw dla Turków mieszkających w Niemczech. W 2010 r. powstał specjalny urząd dla Turków za granicą (YTB), od kilku lat prężnie działa Unia Europejsko-Tureckich Demokratów (UETD), jawnie lobbująca na rzecz partii AKP. W niemieckich meczetach wygłasza kazania ponad tysiąc imamów z tureckiej DITIB. Te inicjatywy utwierdzają niemieckich Turków w przekonaniu, że Erdoğan o nich nie zapomniał. On zaś pewnie przewidział, że kiedyś rodacy mu się za to odwdzięczą. 60% tureckich wyborców w RFN zagłosowało jesienią 2015 r. na AKP.

> W 2016 r. zyski z turystyki spadły o jedną trzecią. Bezrobocie w Turcji jest najwyższe od siedmiu lat.

Sondaże przewidują, że szalę zwycięstwa na korzyść Erdoğana może przechylić zaledwie kilkanaście tysięcy głosów. – Nasz referendalny sukces zależy zdecydowanie od tureckiej mniejszości w Niemczech – potwierdza Mustafa Yeneroğlu, członek AKP, który dorastał i pobierał nauki w RFN.

Wojciech Osiński

eprasa.pl ab0a4c82c6

Mateusz Mazzini

CYBERNETYCZNE GWIEZDNE WOJNY

W walce służb z portalem WikiLeaks chodzi o znacznie więcej niż bezpieczeństwo USA

W ostatnich latach konferencje prasowe Juliana Assange'a i kolejne megapaczki dokumentów rządowych publikowane przez WikiLeaks stały się do tego stopnia częścią polityki, że przestaliśmy im poświęcać należytą uwagę. W dodatku włamania rosyjskich hakerów na serwery Partii Demokratycznej i wyraźny hakerski wkład w wywindowanie Donalda Trumpa do Białego Domu oswoiły światową opinię publiczną z problemem cyberataków. Dlatego gdy dwa tygodnie temu WikiLeaks zapowiedziało publikację niemal 9 tys. dokumentów CIA przedstawiających instrumenty, którymi agencja posługiwała się w hakowaniu prywatnych telefonów i komputerów, niewielu spodziewało się burzy.

CEL OSIĄGNIĘTY

Najnowszy wyciek WikiLeaks koncentrował się na aspektach technicznych. Zawierał 8761 szczegółowych dokumentów opisujących metody nielegalnego uzyskiwania przez CIA dostępu do zasobów cyfrowych wybranych osób. Co ciekawe, dokumenty dotyczą nie tylko narzędzi wyprodukowanych w tajnym Centrum Cyberszpiegostwa CIA odizolowanym od reszty agencji. Zawierają też dane na temat programów i szkodliwego oprogramowania, które na zlecenie CIA pisali podwykonawcy ściągani ze wszystkich zakątków świata. Jak czytamy w dokumentach, CIA zatrudnia obecnie ok. 5 tys. osób (w tym hakerów z białego rynku). Tylko w 2016 r. jej cyberszpiegowska komórka wyprodukowała ponad 1 tys. programów inwigilujących.

Jak twierdzą analitycy zespołu ds. bezpieczeństwa cybernetycznego z centrum badawczego Brookings Institution, celem oprogramowania produkowanego w siedzibie CIA w Langley było przede wszystkim uzyskanie dostępu do smartfonów – głównie iPhone'ów – oraz szpiegowanie poprzez zestawy Smart TV, za pomocą których odbiorniki telewizyjne łączą się z internetem. Rynek telefonów komórkowych jest dla agencji szczególnie ważny, bo do tej pory ich producenci skutecznie chronili dane klientów. Sądy federalne też konsekwentnie przyznawały im prawo do zachowania tajemnic przemysłowych i odmawiania agentom dostępu do dysków w smartfonach.

Tym razem wydaje się, że Assange osiągnął cel. Gdy wewnętrzni eksperci CIA potwierdzili autentyczność opublikowanych dokumentów, na szefostwo agencji padł blady strach. Odkrycie tajemnic i technicznych szczegółów instrumentów hakerskich wywiadu USA to wyrwa w krajowym systemie bezpieczeństwa. Jak powiedział w wywiadzie dla Associated Press Jake Williams, ekspert ds. bezpieczeństwa w firmie Rendition Infosec z Georgii, tak wielki wyciek może doprowadzić do zakończenia wielu karier w Langley, a cała agencja będzie musiała przeprojektować arsenał środków cybernetycznych, co może zająć nawet lata.

> Tylko w 2016 r. cyberszpiegowska komórka CIA wyprodukowała ponad tysiąc programów inwigilujących.

Wyciek odbił się też głośnym echem za oceanem. O ile hakowanie telefonów komórkowych wciąż dla wielu jest tematem dość abstrakcyjnym, o tyle parę innych operacji planowanych przez CIA mogło mocno podziałać na wyobraźnię. Według informacji dziennika „New York Times" jeden z rozwijanych w Langely programów miał się włamywać do komputerów pokładowych niektórych samochodów dostawczych, rzekomo w celu „uniemożliwienia zamachów podobnych do tych z Nicei czy Berlina".

Co więcej, wyciek może mieć ogromne konsekwencje dyplomatyczne, gdyż dokumenty ujawniają również plany CIA przeprowadzania operacji cyberszpiegowskich m.in. w Europie Zachodniej, Australii i krajach Ameryki Południowej.

TRUMP KRYTYKUJE

Łatwy do przewidzenia był komentarz prezydenta USA. Donald Trump, znany z niemal bezkrytycznego stosunku do WikiLeaks, motywowanego głównie zaangażowaniem portalu w ataki na komitet Hillary Clinton w czasie wyborów, nie skrytykował Assange'a. Więcej – nie zadał pytania o przyczynę tego ataku, co tylko wzmocniło krążące od dawna spekulacje, że coś łączy nowego prezyden-

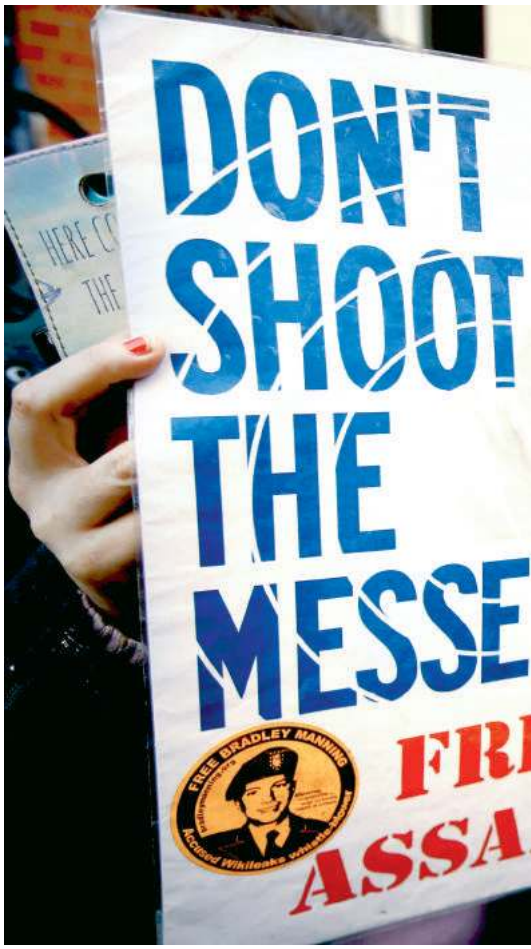

eprasa.pl ab0a4c82c6

ta i WikiLeaks. A chodzi o działanie na rzecz Kremla. Trump ganił z kolei własne instytucje wywiadowcze, z którymi relacje ma co najmniej napięte, odkąd podważył ich ekspertyzy w sprawie ingerencji rosyjskich hakerów w zeszłoroczne wybory. Zdaniem prezydenta wyciek pokazał, że zabezpieczenia wewnętrzne archiwów CIA są przestarzałe, a Stany Zjednoczone mają ogromny problem z zapewnieniem bezpieczeństwa obywatelom.

Tym razem trudno się z nim nie zgodzić. Według wstępnych analiz, które agencja wykonała zaraz po publikacji dokumentów, udostępnić je mógł jeden z tysięcy podwykonawców, których rząd USA zatrudnia jako zewnętrznych ekspertów rynkowych. Problem w tym, że żaden z nich nigdy nie powinien mieć dostępu do archiwów CIA.

Edward Snowden, bodaj najbardziej znany sygnalista na świecie, napisał na Twitterze, że zawartość archiwum cyberszpiegostwa CIA była dostępna nawet wśród legalnie działających firm. Upublicznienie jego zawartości było kwestią czasu. Jeśli wierzyć Snowdenowi, Vault 7 vol. 1, bo taką roboczą nazwę nosi zbiór opublikowanych plików (co może sugerować, że WikiLeaks ma ich więcej, a następne wycieki nastąpią lada moment), jest bardziej produktem chaosu proceduralnego w agencji niż efektem zdolności hakerskich przeciwników rządu USA.

GIGANCI Z DOLINY

Żeby jednak zrozumieć pełnię potencjalnych konsekwencji wycieku, trzeba przejść ze świata wirtualnego do realnej polityki. Tym razem gra między WikiLeaks a rządem USA toczy się o coś więcej niż dostęp do zasobów jednej czy drugiej agencji.

Zaraz po opublikowaniu Vault 7 Assange poinformował, że jego portal rozwija archiwum szkodliwych programów produkowanych przez rządy całego świata i zamierza współpracować z gigantami technologicznymi w celu ułatwienia im ochrony klientów przed inwigilacją. Ta jedna deklaracja zmieniła charakter sprawy. Słowa Assange'a wskazują, że portal nie tyle upublicznił plany CIA, ile dokonał kradzieży wspomnianych programów. Jeśli te rewelacje okażą się prawdą, WikiLeaks może stać się najpoważniejszym niepaństwowym aktorem w wojnie cybernetycznej.

Szczególnie niebezpieczny dla Białego Domu może być mariaż Doliny Krzemowej z portalem Assange'a. Sprzeciw Apple'a w kwestii udostępnienia CIA danych z iPhone'a zamachowca z San Bernardino najlepiej pokazuje, że stosunki największych firm technologicznych z rządem USA są napięte. Gra toczy się o zaufanie jednego z najbardziej wpływowych i najszybciej rozwijających się sektorów gospodarki – nie tylko amerykańskiej, ale i światowej. W tej chwili trudno sobie wyobrazić sojusz Marka Zuckerberga z WikiLeaks, ale po kolejnej ofensywie hakerów z Langley któryś z technologicznych liderów może się zdecydować na obronę bezpieczeństwa swoich użytkowników za wszelką cenę.

Aż 43% republikanów w Kongresie wyraża się pozytywnie o ostatnich działaniach WikiLeaks.

Administracja USA stara się dawać odpór i podkreślać dobrą wolę we współpracy z Doliną Krzemową. Coraz więcej wysokich rangą funkcjonariuszy zdaje sobie jednak sprawę, że w ostatnich latach działania Białego Domu nie były do końca przejrzyste. Leon Panetta, były sekretarz obrony USA i dyrektor generalny CIA, przyznał w wywiadzie dla kanału PBS, że Waszyngton stracił zaufanie technologicznych gigantów. Odbudowanie tej relacji będzie bardzo trudne. Jednocześnie może się okazać kluczowe dla architektury światowego bezpieczeństwa w sieci. W tej dziedzinie bowiem sektor prywatny zdaje się zdecydowanie przewyższać możliwości technologiczne rządów.

Wyciek WikiLeaks trafił też na podatny grunt w Kongresie. Jak donosi firma doradcza Morning Consult, aż 43% republikanów wyraża pozytywną opinię o ostatnich działaniach portalu. Co ciekawe, gdy w badaniu nie ujawniano źródła wycieku, liczba pozytywnych odpowiedzi wynosiła jedynie 39%. Przy takim klimacie politycznym walka nie tylko o bezpieczeństwo w sieci, ale również o zaufanie Amerykanów i eliminację postprawdy może być trudniejsza niż kiedykolwiek. ■

„Nie strzelajcie do posłańca" – to hasło jednej z akcji poparcia dla Juliana Assange'a.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl ab0a4c82c6

ŚWIATŁA NIE GAŚCIE!

Między PiS i PO jest sporo wolnego miejsca, w które mogłaby wskoczyć lewica

Rozmawia Krzysztof Pilawski

Ile dziś dałaby pani procent szans, że po następnych wyborach lewica wróci do Sejmu?

– 50, jednak ze wskazaniem, że uzyska samodzielną reprezentację w parlamencie.

Sondaże na to nie wskazują.

– SLD i Razem mają kilkuprocentowe poparcie, a to znaczy, że sympatycy lewicy ciągle nie tracą nadziei. Do wyborów pozostało jeszcze sporo czasu. Zmęczenie dychotomią na scenie politycznej – walką między PiS i PO – może istotnie powiększyć grono deklarujących chęć zagłosowania na lewicę. Nie wolno też wykluczać jakiegoś wydarzenia, które wywoła zwrot wyborców w kierunku ugrupowań lewicowych.

SLD W ROZKROKU

Partia lewicy musiałaby mieć w sondażach stabilne poparcie na poziomie 8-10%, by poważnie myśleć o wejściu do Sejmu. Wielu wyborców sparzyło się w 2015 r., popierając Zjednoczoną Lewicę, nie będą chcieli znowu marnować głosu.

– To prawda, ale problem dotyczy głównie SLD. Moim zdaniem szanse tej partii na wejście do Sejmu wciąż topnieją. I to nie ze względu na konkurencję Razem, ale z powodu słabości Sojuszu, właściwie jego atrofii.

Co pani czuje, oglądając telewizyjne popisy Magdaleny Ogórek?

– Muszę odpowiadać?

Zadam inne pytanie: jak pani ocenia Leszka Millera wielokrotnie przymilającego się do PiS?

– Leszek Miller zasłynął z wypowiedzi, że prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, ale po tym, jak kończy. To on sprowadził na SLD katastrofę w postaci m.in. kandydatury Magdaleny Ogórek na prezydenta Polski, podziałów na lewicy i jej rozproszenia. Trzeba wiedzieć, kiedy odejść z polityki.

Grzegorz Napieralski, inny były przewodniczący SLD, został senatorem dzięki poparciu Platformy Obywatelskiej. Pojawiły się spekulacje, że przed wyborami parlamentarnymi skupi wokół siebie działaczy SLD – obecnych i tych, którzy przeszli do Inicjatywy Polskiej Barbary Nowackiej. To byłaby lewa noga PO. Czy ten scenariusz jest prawdopodobny?

– Jeśli przyjmiemy poważnie oświadczenie, że Platforma staje się partią chadecką, to obecność w niej działaczy SLD nie wydaje się potrzebna. Jeżeli zaś rozważamy odbudowę lewicy, podobny pomysł wydaje się pozbawiony sensu. Po co tworzyć byty zależne, skoro istnieje podkreślające bardzo mocno własną podmiotowość Razem?

Ale dla działaczy SLD nie ma miejsca w Razem. Deklaracja Grzegorza Schetyny o chadeckości Platformy spotkała się z polemiką skrzydła bliższego socjaldemokracji, kojarzonego z Ewą Kopacz. Kształt ideowy PO nie został przesądzony.

– To prawda, zresztą chadecja nie wyklucza wrażliwości społecznej, przywiązania do państwa opiekuńczego. Ale nie widzę ani w Platformie Ewy Kopacz, ani w Platformie Grzegorza Schetyny lewicowości w sferze kulturowej, światopoglądowej, progresywnej.

Jednak m.in. w Warszawie współpraca działaczy SLD – obecnych i byłych, którzy znaleźli się w Inicjatywie Polskiej – z PO jest faktem.

– Sądzę, że będzie ona trwała, ale jako współpraca nie instytucjonalna, lecz personalna. Byli i obecni działacze SLD mogą uzyskać miejsca na listach PO w wyborach samorządowych i parlamentarnych. Pytanie tylko, czy będzie to korzystne dla

> Ani w PO Ewy Kopacz, ani w PO Grzegorza Schetyny nie widzę lewicowości w sferze kulturowej, światopoglądowej, progresywnej.

DR ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA

– adiunkt w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

eprasa.pl ab0a4c82c6

lewicy, czy jedynie dla zainteresowanych osób.

ŻAL ZJEDNOCZONEJ LEWICY

Głównym atutem SLD są struktury i pozycja w samorządach. Rządzona przez prezydenta Krzysztofa Matyjaszczyka Częstochowa to pierwsze miasto w Polsce, które zaczęło dofinansowywać in vitro. Może wybory samorządowe pokażą, że w SLD drzemie jeszcze jakaś siła?

– Nie dostrzegam w Sojuszu potencjału ani perspektyw. Czy prezydent Częstochowy wygrywa wybory ze względu na przynależność do SLD, czy zawdzięcza to własnym dokonaniom i osobistej popularności? Dziś szyld partyjny Sojuszu nie jest wartością, która wzmacnia i niesie; w najlepszym razie nie przeszkadza. SLD po klęsce wyborczej nie zaproponował żadnego nowego otwarcia: ani kadrowego, ani ideowego, ani programowego. A przecież czuje na plecach oddech partii Razem, która w wyborach odebrała część głosów Zjednoczonej Lewicy.

Czy pozostawienie po wyborach szyldu Zjednoczonej Lewicy mogłoby się okazać korzystne?

– Z pewnością, bo przy obecnej ordynacji tylko łączenie się niewielkich partii ma sens i daje realne szanse na życie parlamentarne.

Jak pani ocenia działania Barbary Nowackiej, twarzy Zjednoczonej Lewicy, po wygaszeniu koalicji – jako liderki IP, współprzewodniczącej Twojego Ruchu i aktywnej działaczki społeczno-politycznej?

– Główna ocena zawarta jest w pytaniu – Barbara Nowacka to przede wszystkim aktywna działaczka społeczno-polityczna. Niewiele osób na lewicy ma taki potencjał łączenia, budowania szerszych porozumień. Pytanie, jak te możliwości wykorzysta i czy czasem ktoś nie będzie chciał wykorzystać jej.

W IP znalazło się grono byłych działaczy SLD, których bardziej niż polityka krajowa interesuje pozostanie w układzie samorządowym. Czy ta organizacja ma potencjał?

– Jako samodzielna siła z pewnością nie. Zaczepienie się w samorządzie może być trampoliną do polityki ogólnopolskiej, ale nie dostrzegam większych szans IP w wyborach samorządowych.

> Dziś szyld partyjny Sojuszu nie jest wartością, która wzmacnia i niesie; w najlepszym razie nie przeszkadza.

Aktywność Barbary Nowackiej po wyborach była ściśle związana z manifestacjami KOD. Czy to jej pomogło czy wręcz przeciwnie?

– To niesprawiedliwa opinia, Barbara Nowacka nie jest działaczką znaną tylko z trybuny Komitetu Obrony Demokracji, odgrywa samodzielną rolę polityczną. Aktywność w ramach KOD dała szansę pobudzenia i mobilizacji części elektoratu lewicowego niechętnego obecnej władzy. Myślę głównie o osobach starszych, mających umiarkowane poglądy, a zatem nie bardzo pasujących do Razem.

Największy sukces Barbary Nowackiej to zebranie 200 tys. podpisów pod projektem liberalizacji przepisów antyaborcyjnych. Byliśmy świadkami masowych protestów kobiet, może to one, a nie starsi wyborcy, okażą się głównym zapleczem liderki IP? Barbara Nowacka jest przecież obrończynią praw kobiet przynajmniej w drugim pokoleniu.

– Zgadza się, jest niezwykle konsekwentna w działaniu na rzecz kobiet, a przy tym nie wykorzystuje ich instrumentalnie do robienia kariery politycznej. Otwarte pozostaje pytanie, na ile kobiety są zdecydowane szukać reprezentacji politycznej do realizacji swoich postulatów. Jeszcze nie dostrzegam bezpośredniego przełożenia spontanicznie organizowanych wystąpień ulicznych na zachowania wyborcze. Jednak nawet jeśli Barbara Nowacka nie znajdzie się w następnym Sejmie, to i tak nie zniknie z życia publicznego, pozostanie jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy polskiej lewicy. Swoją drogą żałuję, że nie ona została kandydatką lewicy na prezydenta Polski w 2015 r.

Barbara Nowacka ma zatem przyszłość polityczną, a stowarzyszenie Inicjatywa Polska – niekoniecznie?

– Tak bym to ujęła.

RAZEM CZY OSOBNO

Barbara Nowacka kojarzy się bardziej z lewicą kulturową niż społeczną. Ten nurt ma jeszcze jednego wyrazistego przedstawiciela – Roberta Biedronia. Pojawiają się opinie, że to przyszły prezydent Polski.

– Nie, Barbara Nowacka jest spójna w swoim przekazie zarówno kulturowym, jak i społecznym. Ponadto chyba coś jest na rzeczy, skoro telewizja publiczna bezpardonowo atakuje Roberta Biedronia. Lewicowe strumyki Nowackiej i Biedronia płyną blisko siebie, mogą się połą-

> SLD po klęsce wyborczej nie zaproponował żadnego nowego otwarcia: ani kadrowego, ani ideowego, ani programowego.

CZY TO JUŻ DNO?
SLD i Razem w sondażach

Ośrodek badawczy	Czas wykonania sondażu	Wynik partii (w %)	
		SLD	Razem
CBOS	2-9 marca	4	2
Kantar Public	3-8 marca	4	2
Pollster	7-8 marca	10	5
Kantar Millward Brown	7-8 marca	3	3
IBRiS	3 marca	3	
TNS	17-22 lutego	3	1

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWKI

eprasa.pl ab0a4c82c6

czyć i popłynąć razem. Nie wiem, czy Robert Biedroń zostanie prezydentem Polski, ale wyobrażam go sobie w roli lewicowego kandydata na prezydenta.

Wcześniej powinien potwierdzić swoją pozycję w Słupsku.

– Pytanie tylko, czy zdecyduje się na walkę o reelekcję. To z pewnością będzie moment, który zaważy na jego pozycji w polskiej polityce. Niezależnie od tego, czy wystawi swoją kandydaturę w Słupsku, i on, i Barbara Nowacka powinni się zastanowić nad kluczowym problemem współczesnej lewicy – jak organicznie połączyć bliskie przede wszystkim klasie średniej kwestie równościowe, kulturowe, światopoglądowe z problemami nurtującymi tzw. zwykłych ludzi: sprawiedliwością społeczną, prawami pracowniczymi, aktywną rolą państwa w polityce społecznej.

Partia Razem zdecydowanie postawiła na lewicę społeczną, ale ma problem, bo PiS, uruchamiając program 500+, przywracając dawny wiek emerytalny, podnosząc minimalną płacę miesięczną oraz godzinową i zapowiadając program dostępnych mieszkań, usuwa jej grunt spod nóg.

– Znany nam klasyczny podział na lewicę i prawicę przechodzi do historii. Dzisiejsza prawica, nie tylko w Polsce, ma wrażliwość społeczną. Wielka koalicja w Niemczech była możliwa, bo chadecy zgodzili się z wieloma postulatami społecznymi socjaldemokratów. W przypadku Polski programy społeczne służą prawicy do zapewnienia poparcia dla zasadniczej przebudowy państwa w kierunku, który ma niewiele wspólnego z ideałami lewicy. Jestem przekonana, że kwestie społeczne, a tym bardziej kulturowe, nie stracą aktualności ani mocy. Trudno przewidzieć, co się stanie z polską gospodarką za kilka lat. Zresztą cały świat stoi w obliczu ogromnych wyzwań, sądzę, że miejsce na socjaldemokrację będzie się kurczyć, natomiast nadejdzie czas na bardziej wyrazistą lewicę, jak Razem.

Miejsce na socjaldemokrację będzie się kurczyć, natomiast nadejdzie czas na bardziej wyrazistą lewicę.

Tymczasem Razem odwołuje się głównie do młodych, czyli najbardziej prawicowej i konserwatywnej grupy wiekowej.

– To prawda, ale właśnie dzięki Razem w tej grupie pojawił się element pluralizmu politycznego.

U początków Razem leży światowy kryzys gospodarczy, który szczególnie boleśnie uderzył w młodych. Obecnie jednak bezrobocie w Polsce jest najmniejsze od początku lat 90., stosunek płacy minimalnej do przeciętnego wynagrodzenia – najwyższy, zmniejsza się procent umów śmieciowych. Gleba dla Razem jest coraz mniej żyzna.

– Patrzę na Razem szerzej, to nie jest jedynie partia haseł pracowniczych, drastycznego opodatkowania najbogatszych, podniesienia stawki godzinowej. To środowisko mające program innego urządzenia świata zgodnie z wartościami lewicy.

Razem zapowiadało utworzenie sieci świetlic w mniejszych, biedniejszych miejscowościach. Niczego takiego nie dostrzegam. Czy nie obawia się pani, że miliony złotych z państwowej subwencji mogą zamieszać w głowie działaczom, których sytuacja zawodowa nie jest ustabilizowana?

– Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Rozumiem też, że Razem musi kumulować środki na zbliżające się kampanie wyborcze – samorządową i parlamentarną. Od tych wyborów zależy los partii. Poza tym budowanie zaplecza, środowisk po prostu wymaga czasu.

Z pani słów wynika, że najlepsze perspektywy na lewicy mają Barbara Nowacka i Robert Biedroń jako samodzielne podmioty polityczne oraz partia Razem jako całość.

– Tak to wygląda, kiedy patrzy się dziś na polską scenę polityczną.

Ważne jest słowo dziś. Jutro może być zupełnie inaczej. Ruch Palikota zarejestrowano 1 czerwca 2011 r., a w październikowych wyborach do Sejmu zdobył ponad 10% głosów. Może na lewicy pojawi się jakiś nowy ośrodek, który zburzy obecny układ?

– Nie da się wykluczyć podobnego rozwoju wydarzeń, zwłaszcza przy zmęczeniu wyborców walką PiS i PO, którego konsekwencją może być zapotrzebowanie na zupełnie nową siłę. Janusz Palikot odniósł sukces nie dzięki hasłom antyklerykalnym, lecz za sprawą właściwego odczytania nastrojów społecznych. Wyczuł, że najwięcej wolnej przestrzeni między PO i PiS jest na lewicy, i na to miejsce wskoczył.

Nie gaśmy świateł na lewicy?

– To, że można zgasić światła nad SLD, nie znaczy, że trzeba je wygasić nad całą lewicą. Ona ma jeszcze rolę do odegrania.

Krzysztof Pilawski

eprasa.pl ab0a4c82c6

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej
„Porozumienie Bez Barier" działa nieprzerwanie od 20 lat.

Od 2013 roku Fundacja prowadzi na terenie całego kraju autorski program pod nazwą ,,Oswajanie Starości''.

STAROŚĆ MA WIELE POTRZEB !

Wejdź na naszą stronę internetową:
www.fpbb.pl

Odwiedź nas na Facebooku:
www.facebook.com/fundacjapbb

Przekaż **1%** **podatku**

NA PROGRAM OSWAJANIE STAROŚCI !

Pobierz darmowy program PITax.pl 2016

KRS 0000**167578**

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej
„Porozumienie Bez Barier"
Al. Przyjaciół 8/1a, 00-565 Warszawa
tel./fax: 22 849 96 62
e-mail: radafundacji@fpbb.pl

FUNDACJA JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ
Porozumienie Bez Barier

eprasa.pl ab0a4c82c6

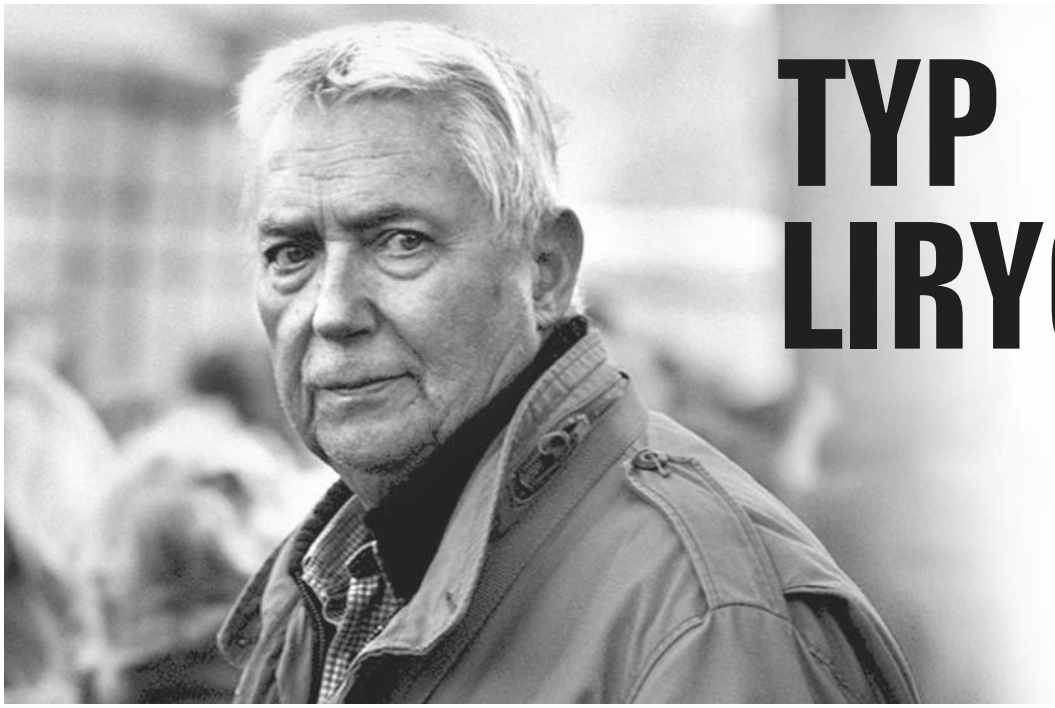

TYP LIRYCZNY

WOJCIECH MŁYNARSKI 1941-2017

Wiesław Kot

To był artysta wprost od Prusa, od Żeromskiego. Bard inteligencji polskiej. Tylko dla kogo tu śpiewać, gdy inteligencja zmieniła się w budżetówkę?

W rodowodzie miał inteligencję z metryką. Ostatecznie stryj ojca to Emil Młynarski, współzałożyciel i dyrektor Filharmonii Warszawskiej, dyrektor Opery Warszawskiej, a kuzyn Wojtka to sam Artur Rubinstein. Wychował się w rodzinnej willi w Komorowie, tuż przy kolejce EKD. Wieczorami schodzili się sąsiedzi – w tym młodziutka Maja Komorowska – by posłuchać Norwida do pasaży fortepianowych. Wiedział, o czym pisze, gdy w „Truskawkach w Milanówku" rymował: „Truskawki w Milanówku, / Pogodny wuj reakcjonista, / Który Brygadę Pierwszą świstał, / Słuchając BBC".

Mama Wojtka pracowała w radiu i co rusz zabierała synka do studia. Gdy raz na Myśliwieckiej miał w audycji dla dzieci zagrać kózkę, beczał z takim przejęciem, że pani reżyser prosiła, by nie zagłuszał innych dzieci. Ale do właściwego debiutu doszło w liceum w Pruszkowie (ciągle dojazd EKD). Wojtek w zabawnej rymowance skrytykował dyrekcję za zmuszanie młodzieży do ciągłego glansowania szkolnych parkietów. I od tego momentu ani on, ani żaden inny uczeń nie mógł na szkolnym apelu wygłaszać tekstów „nieuzgodnionych" wcześniej. To Wojtka naprowadziło na myśl, że inteligentna piosenka satyryczna ma niebywałą siłę rażenia. I kiedy sam prof. Stefan Żółkiewski na zakończenie polonistyki na UW zaproponował mu asystenturę, Wojciech grzecznie podziękował. On już był jedną nogą w klubie Hybrydy. Z tym że tamtejsze teatrzyki poetyckie były okropnie nabzdyczone. Recenzent „Życia Warszawy" postulował nawet: „Nie metaforyzować kaloryferów!". Z tych wszystkich Orfeuszy i Eurydyk pokpiwał również Młynarski, aż Janek Pietrzak wypalił: „Jak umiesz, to zrób lepiej".

> *Gruz do wywózki jest, kochani, gruz zaległ polski mózg i ziemię.*

Zrobił. W programie „Radosna gęba stabilizacji" (1962) dostało się jak leci: badylarzom, Violetcie Villas, Wajdzie, „Matysiakom", KTT i Tyrmandowi (ten nawet osobiście pogratulował). Poza tym w Hybrydach Krzyś Zanussi pokazywał filmy zza żelaznej kurtyny, wpadali Zbyszek Cybulski z Bobkiem Kobielą. Hybrydowcy pijali ziołowy wermut, grali w trambambulę (później zwaną piłkarzykami) i szlifowali sztukę błyskawicznej riposty. To zaprocentowało w drugim programie „Ludzie to kupią" (1963). Było o snobizmie, o umysłowej ciasnocie i wystarczy.

Bo już startowało Opole, a tam Młynarski planował pisać dla najszerszej widowni, a więc o miłości. Piosenki „Z kim tak ci będzie źle jak ze mną" nie chciała zaśpiewać Kalina Jędrusik, bo był tam wers: „Kto będzie zdrowie miał i nerwy na takie ścierwo jak ty". Na to Młynarski, że zdenerwowane damy nie takich sformułowań używają. Jędrusik do Osieckiej: „Widzisz, kurwa, on nic nie rozumie".

Kłopoty z wykonawcami? No to Młynarski zaśpiewa sam. Na przykład: „Na wszystkie smutki – niedziela na Głównym, / Na oddech krótki – niedziela na Głównym". Najwyższy był zresztą czas się usamodzielnić. Wszak prof. Bardini przestrzegał: „Proszę pana, niebezpieczni są ludzie, którzy w dowodzie osobistym w rubryce »zawód« powinni mieć wpisane »młodzież«".

Dokąd idziemy, drodzy panowie?

I Młynarski przeszedł na zawodowstwo. Pokręcił się z estradą po kraju, ale osiadł w kawiarni na Nowym Świecie 63, w Dudku. Na zaproszenie Edwarda Dziewońskiego: „Robię, dziecko, kawałek kabaretu…". Młynarski z miejsca dostroił się do kpiarskiego tonu: „Światowe życie, szum i gwar, / Feerią neonów błyszczy mleczny bar". Przy tym trafił na zjawiskowego interpretatora – Wiesława Gołasa. Ten zaśpiewał mu jeszcze

eprasa.pl ab0a4c82c6

„W co się bawić", z czego cenzura wycięła zdanie: „Sekretarz dawno nie gra w dziewiątego wała, / dziewiąty wał już się nie bawi w sekretarza".

Gołas przydał się jeszcze w jednym – nauczył Wojtka pić wódkę. Zwłaszcza w czasie podróży „Batorym" na występy dla Polonii. Kiedy rankiem kac morderca nie dawał żyć, Wojtek zrymował do piosenki Franka Sinatry słynny „Tupot białych mew o pusty pokład". A w kraju dał piosenkę, która narobiła nieco szumu: „Tata zasię manko w kasie / miał i siedzi w kiciu, / były o tym wzmianki w prasie, / w »Expressie« i w »Życiu«, / ale fakt ten się nie stanie / dla babci udręką, / bowiem się drukuje dla niej / osobne pisemko". Cenzura jakoś to łyknęła, ale Andrzej Szczepkowski w Dudku huknął na całą widownię: „Jezus, przecież to Gomułka". I ta widownia pokładała się jeszcze mocniej. Piosenkę wrócono do cenzury, ale już było za późno, zresztą nadszedł rok 1970 i Gomułka miał już całkiem co innego na głowie.

A Gołas dostał nowe zadanie na koncert w Opolu. I wywiązał się koncertowo: „W Polskę idziemy, drodzy panowie, / W Polskę idziemy. / Nim pierwsza seta zaszumi w głowie, / Drugą pijemy". To już był strzał z grubej rury – taka naprawdę jest ta „nasza mała stabilizacja" w sobotni wieczór. Zapijaczony ryj ze skłonnościami do recytacji Broniewskiego.

Droga wyboista, ale kierunek słuszny

Następna, gierkowska, dziesięciolatka – tzw. coraz bardziej otaczająca nas rzeczywistość – też była koślawa, ale już inaczej. Teraz tym od wizerunku bardzo zależało, żeby to ustrojowe kalectwo przypudrować. Młynarskiemu dopiero zaczęło to świtać, a już napisał refren: „Przyjdzie walec i wyrówna". Sam też nie od dziś rozumiał, że bez telewizji, medium, które pod rządami prezesa Szczepańskiego zaczęło się rozdymać, jego kariera stanie w miejscu. Był zresztą w telewizji na etacie od 1965 r. Zrobił tam przynajmniej jeden ważny, dobry uczynek. Otóż wykradł ze studia nagranie audycji o balladach amerykańskich (Boba Dylana i Pete'a Seegera), by wspomóc pewną początkującą wokalistkę. Wróciła ze studenckiego festiwalu w Krakowie z nagrodą, a tu cienia pomysłu na repertuar. Więc Młynarski radził, by włożyła wzorzystą spódnicę, wzięła gitarę i spróbowała hipisowskich ballad. I wręczył jej wyniesione nagrania. Wzięła i posłuchała. Nazywała się Maryla Rodowicz.

Tyle że z tą telewizją, w miarę „jak Polska rosła w siłę", Młynarskiemu szło jak po grudzie. Tłumaczył to tak: w latach 60. „tam pracowali inteligenci. To znaczy mieli inteligentne pomysły, angażowali inteligentnych artystów, po to żeby inteligentna publiczność ich oglądała. I ten obieg funkcjonował". Oczywiście do czasu. Za Gierka program robili już inni ludzie. Szefowi telewizyjnej rozrywki Witoldowi Fillerowi nie podobały się polskie słowa do standardu Franka Sinatry „My Way": „Gdy tak zrządzi traf, / Że świata praw nie zechcesz zmieniać, / I gdy kark umiesz zgiąć…". Rzecz była o przykrościach wynikających z konformizmu, ale Filler przypiął się nie o to, lecz że piosenka jest zbyt wolna. Uparł się na nie, Młynarski uparł się na tak. W redakcji jednak rządził Filler i Młynarski musiał podziękować telewizji za etat. Telewizja rozstała się z nim bez żalu – takiego zwierzaka trudno było sformatować.

Żeby wyczuć, kiedy w szatni płaszcz pozostał przedostatni.

Zaczął wtedy – jak od połowy lat 60. – dawać regularne recitale. Zasadą było mieć 120 oszlifowanych piosenek. Z tego na recital wybierało się „oczko", czyli 21 – i w Polskę. Zresztą jakkolwiek ten repertuar by ustawiać, publiczność i tak klaskała, dopóki nie usłyszała „Pucio-pucio!". Młynarski: „W mym recitalu starałem się reagować na polski »stan umysłów«, komentować naszą społeczno-polityczną rzeczywistość". Jak w tym komentowaniu się zagalopował, to nie dostawał pozwolenia na następny objazd kraju.

1975 r., XIII Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu.

Śmiech i płacz: te trzy elementy

Stan wojenny zastał Młynarskiego na występach w Szwajcarii. I może by się tam przytulił na jakiś czas. Wrócił jednak, gdy usłyszał, jak podczas kolacji tamtejszy zaprzyjaźniony kompozytor strofuje żonę: „Jakie ty nam kieliszki podałaś? Będziemy pić czerwone, a ty nam podałaś do białego wina". Nie, Szwajcaria to stanowczo nie był kraj dla Młynarskiego. Wrócił. Kiedy wysiadał z samolotu na Okęciu, żołnierz straży granicznej poprosił go o autograf.

W latach 80. stało się jasne, że Młynarski dorobił się stałego bohatera swoich piosenek. Na wpół inteligenta, na wpół cwaniaczka, ogólnie typa lirycznego, jak ten przypadkowo spotkany na przystanku w Sochaczewie, który „nie miał jasności w temacie Marioli". Typek może najpełniej ujawnił się w piosence „Jesteśmy na wczasach". Taki wiedział, że jest tylko skromnym dansingowym basistą i nigdy nie doskoczy do „panny Krysi z turnusu trzeciego", która w ekskluzywnym zakopiańskim lokalu mogła być w tamtych czasach zagospodarowana wyłącznie przez sekretarzy albo ginekologów. Nie niżej. Jednak basista wyznał jej miłość, choć tylko w marzeniach. „Bo miewamy często głupie sny, / ale potem się budzimy i: / Dla sympa-

eprasa.pl ab0a4c82c6

tycznej panny Krysi z turnusu trzeciego / od sympatycznego, niewątpliwie, pana Waldka: / pucio-pucio!”.

Ten jego bohater przechodni w latach 80. przybrał postać drobnego pijaczka, który zainkasowawszy od autora drobne na wino, przestrzegał: „Młynarczyk, pamiętaj: dla kurwów nie śpiewaj!”. Nie śpiewał. Kiedy zaczął bywać częściej w Ateneum, gdzie wystawiał recitale piosenek Brela czy Wysockiego, ulubiony bohater z twarzą koloru fioletu przypominał: „A wiesz pan, dlaczego / teatr ogólnie

jest piękny? / Bo teatr to jest śmiech, kolego, / bo teatr to jest płacz, kolego! / To są te trzy elementy!”. A kiedy na ulicach było zielono od mundurów, rymował pozornie całkiem nie na temat: „Róbmy swoje, / Pewne jest to jedno, że / Róbmy swoje, / Póki jeszcze ciut się chce”.

W 1984 r. Młynarski poszedł do Jerzego Wasowskiego, który już wówczas czuł się źle (niebawem zmarł), z prośbą o muzykę do wierszyka o dwóch koniach: jednym pokornym, który dostawał baty, i drugim zuchwałym, któremu hardość uchodziła płazem. „Kto się stawia, ten ma z tego / mimo wszystko jakiś zysk, / a kto słucha i ulega, / ten najpierwszy bierze w pysk”. Wasowski opatrzył to melodią *country* i właśnie do niej – dla niepoznaki – przyczepił się cenzor. *Country* w socjalistycznej Polsce?! Piosenka powędrowała na półkę.

Bo miewamy często głupie sny, ale potem się budzimy i…

Wróć, pełny półinteligencie!

Kiedy nastała wolna Polska, wszystko zaczęło iść raczej krzywo. W roku 1991 pojechałem do pana Wojtka po wywiad. Pierwsze pytanie: „Jest śmiesznie?”. Odpowiedział: „Wie pan, to zależy, co kogo śmieszy”. A rekordy „śmieszności” biły wtedy dowcipy o Masztalskim. Pan Wojtek starał się tego nie zauważać, nadal pewny, że ma swoją inteligencką publiczność. I miał. Od 1988 r. objeżdżał kraj ze swoimi corocznymi „okrągłymi jubileuszami”. Z tym że ta publiczność była coraz starsza, z latami coraz bardziej przetrzebiona, nie śmiała się już tak beztrosko jak dawniej. Czy ktoś widział śmiejącą się pogodnie budżetówkę? W trakcie kolejnego spotkania pan Wojtek dał mi do pierwodruku wiersz z refrenem: „gruz do wywózki jest, kochani / gruz zaległ polski mózg i ziemię / i raczej woźmy go taczkami / miast ciskać w siebie odpryskami / które zostały po systemie”. Ale kto go tam słuchał!

Jeszcze sól będzie mądra, a oliwa sprawiedliwa.

Młynarski piętrzył te swoje metafory, tkał inteligentne frazy, a publiczność miała radary nastawione na okładanie się przez polityków cepami po wieczornych wiadomościach. „Kiedy runęła cenzura, my, autorzy, przyzwyczajeni do tych piruetów, do tych wygibasów, zaczęliśmy sobie zadawać pytanie, czy w czasach, kiedy wszystko wolno, aluzja ma jeszcze sens. Czy ma sens metafora? Przecież można wszystko wyrąbać wprost. Ja odpowiadałem: tak, można, ale to będzie strasznie prymitywne, to będzie płaskie”.

Tylko nikomu już nie przeszkadzało, że tekst piosenki jest płaski. Kasety z piosenkami disco polo sprzedawały się z łóżek polowych w milionowych nakładach. Agnieszka Osiecka odeszła, następców nie było widać. Zresztą i pani Agnieszka parę lat przed śmiercią mówiła piszącemu niniejsze, wyraźnie rozgoryczona, że potrafi pisać tylko te swoje „snuje”, a na to publiczności już nie ma. Młynarski: „Wracaj do nas, ratuj nas, / Pełny półinteligencie, / Bo się strasznie plenią mi, / Łypiąc znad herbaty plujki, / Ćwiartki… i szesnastki… i / Czy ja wiem? Trzydziestkidwójki…”.

I co z tego, że tymczasem Młynarski klasyczniał? Prof. Henryk Markiewicz umieścił w swoich „Skrzydlatych słowach” kilka jego nieśmiertelnych fraz: „Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie”; „Dziewczyny, bądźcie dla nas dobre na wiosnę”; „Róbmy swoje” (któremu przypisał rodowód platoński). Kiedy jego piosenki przypomniał (i uprzystępnił) zespół Raz Dwa Trzy, płytę już przed premierą sprzedano w platynowym nakładzie 30 tys. egzemplarzy. To wynik dwa razy lepszy od tego, jaki solowym albumem osiągnęła Doda.

Pamiętam jeszcze jedną rozmowę z panem Wojtkiem, z końcówki lat 90. Był wyraźnie przygaszony. Pokazał mi kolejny rymowany felietonik wydrukowany w „Życiu” Tomasza Wołka. Stało w nim, że w trakcie nieśpiesznego spaceru Młynarski przeczytał ogłoszenie zapraszające na uroczystą mszę. W zaproszeniu były wyszczególnione liczne osobistości państwowe, które zapowiedziały przybycie. Autor felietoniku spuentował: „Obecność Pana Boga nie jest wykluczona”. Uśmiechnął się, ale gorzko: „Myśli pan, że ktokolwiek to czyta?”.

Z tej epoki pochodzi jego klasyczny, angielski walc, w którym starszy pan nuci z gorzkim sentymentem: „I tak chciałbym – psia go mać! – kochani, / Żeby wyczuć, kiedy wstać / I wyjść…/ Żeby wiedzieć, kiedy w szatni / Płaszcz pozostał przedostatni…”.

Ale to fatalnie dobrana fraza na finał wspomnienia o Wojciechu Młynarskim. Bo my, starsi państwo, kiedy wspominamy pana Wojtka, nucimy coś całkiem odwrotnego:

Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy
Jeszcze się spełnią nasze piękne dni, marzenia plany
Tylko nie ulegajmy przedwczesnym niepokojom
Bądźmy jak stare wróble, które stracha się nie boją
Jeszcze w zielone gramy, choć skroń niejedna siwa
Jeszcze sól będzie mądra, a oliwa sprawiedliwa
Różne drogi nas prowadzą, lecz ta, która w przepaść rwie
Jeszcze nie, długo nie.

Wiesław Kot

FOT. JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS, LESŁAW SAGAN/EAST NEWS, AKPA

eprasa.pl ab0a4c82c6

Loteria Glińskiego

Edward Mikołajczyk

Program rytualnych starań o nową ustawę abonamentową w Polsce uświetnią w tym roku aż dwa pierwszego sortu projekty ministra kultury. W całym minionym ćwierćwieczu zmagań nikt inny nie może się wylegitymować równie imponującą liczbą propozycji.

Projekt pierwszy przewiduje, że kablarze i operatorzy satelitarni zaniosą na pocztę pesele, nazwiska i adresy swoich klientów, a ta już sama będzie wiedziała, co z nimi dalej zrobić.

Watson by na to nie wpadł, że jak ktoś ma w domu gniazdko albo kupił sobie talerz, to znaczy, że ma też telewizor, a z tego automatycznie wynika, że winien jest jakieś pieniądze Telewizji Polskiej. Mój Watsonie – zareagowałby na to Holmes – nawet gdyby jakaś suma się należała, to po co gonić kablarzy z kasą na pocztę, skoro można ją zostawić portierowi na Woronicza? Pamiętasz, to pierwsza przecznica od Baker Street, kiedy mieszkaliśmy na Mokotowie za króla Maćka!

Dokument zawiera wszystkie założenia doktrynalne pisowskiego państwa: nie przyjmuje do wiadomości, że danina publiczna nie może przysługiwać nadawcy partyjnemu, nie nazywa abonamentu nowym, obowiązkowym podatkiem państwowym, a do najczarniejszej roboty zaprzęga prywatne firmy zbudowane na zaufaniu klientów, teraz zmuszane do składania donosów.

Planowano, że ustawa, a więc i nowy pobór, zaczną obowiązywać za pół roku, ale minister Piotr Gliński podjął zobowiązanie skrócenia terminu o dwa miesiące. Gdyby przeczytał rzecz oczami teoretyka i badacza społeczeństwa obywatelskiego, profesora PAN, z którym miałem okazję rozmawiać w latach 90., musiałby coś brzydkiego powiedzieć sobie po francusku i zaordynować: Po moim trupie; nie podłożę takiego trotylu na własnym bazarku medialnym! Niestety, prof. Gliński odwołał się z funkcji odpowiedzialnego badacza. Teraz już nawet nie miewa wątpliwości, że co jest dobre dla PiS, może być niedobre dla społeczeństwa. Wielkie, ale ludzkie panisko – bez oglądania się na kogokolwiek zarządził abolicję dla tych, co do tej pory nie płacili abonamentu radiowo-telewizyjnego, a teraz zaczną, oraz urządzi loterię fantową dla abonentów, którzy płacili od zawsze i całe życie.

Jeszcze w proszku jest druga ustawa abonamentowa, która ma wejść w życie od stycznia przyszłego roku. Ta pierwsza długo więc nie porządzi, nawet gdyby prezydent dostał ją już na Wielkanoc. Ten dokument przewiduje, że miesięczny abonament wyniesie 6-8 zł i będzie pobierany jak PIT, CIT i KRUS, czyli jako podatek TVPiS. Mnie już się podoba, ale ważniejsze, czy spodoba się skarbówkom.

Potencjał legislacyjny ministra kultury zasługuje na szczery podziw. O najświeższych projektach nie da się więcej nic dobrego powiedzieć ponad to, że dają wielkie szanse na kolejne obchody, rocznice i miesięcznice starań o uchwalenie nowej ustawy abonamentowej.

Czy Polskie Radio i Telewizja Polska umrą bez zasilania budżetów opłatami abonenckimi?

Media publiczne funkcjonują dzisiaj jak pisowskie komisariaty do spraw propagandy. Taki status pozbawia je prawa do pieniędzy z publicznych, obowiązkowych zbiórek. PiS buduje w Polsce wszystko od zera i od nowa, bo, jak wiadomo, odziedziczyło gruzy po Niemcach i Ruskich, Bierucie i Tusku, dlaczego nie miałoby zafundować sobie czegoś tak prostego jak baza abonentów własnej telewizji? Partia jest właścicielką całego majątku państwowego i może z reklam swoich spółek wyżywić dwa razy tyle kanałów, niż Telewizja Polska ma teraz.

Ludzie płacą abonament od samego początku radiofonii w Polsce i od początku abonenci radia dostawali wykazy, na co przeznaczano każdy grosz z 3 zł miesięcznego abonamentu. A kiedy w roku 1934 liczba abonentów (300 tys.) przestała

Media publiczne funkcjonują dzisiaj jak pisowskie komisariaty do spraw propagandy.

rosnąć, obniżono stawkę dla rolników do złotówki. W kilka miesięcy odnotowano prawie 50-tysięczny wzrost na wsi. Długo i karnie płacili abonenci za radio i telewizję po wojnie. Topniały rzesze chętnych do płacenia, kiedy na rynku pojawiła się konkurencja. Im bardziej telewizja udawała, że jest publiczna, tym mniej dostawała pieniędzy od widzów. Miarka się przebrała za PiS, kiedy reklam przybyło, a program zastąpiła propaganda.

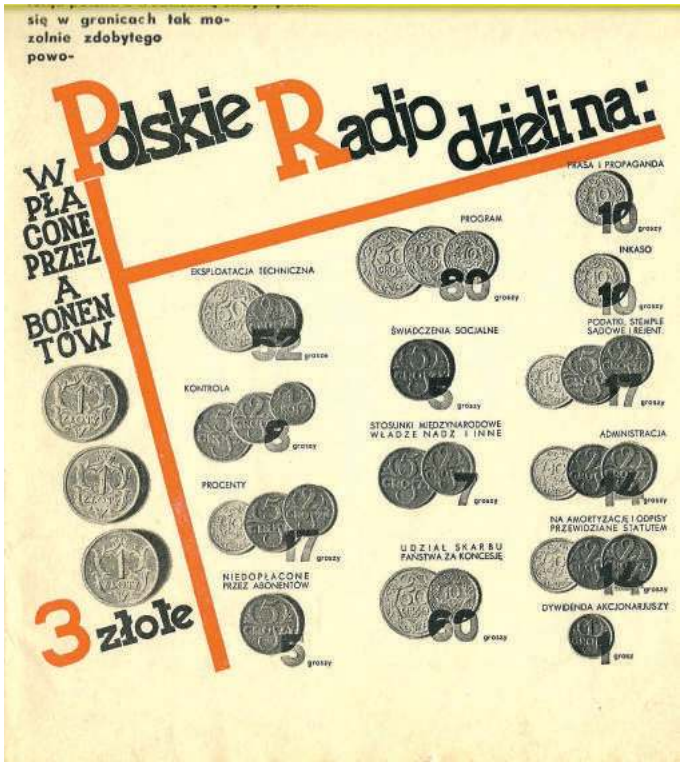

Od publicznej telewizji mógłbyś zażądać, abonencie, aby w transmisji z historycznego powitania delegacji rządowej przez partyjną delegację nadrzędną zaistniał także kontrplan i było widać, do kogo przemawia Jarosław Kaczyński, wysławiając z krawężnika polską wiktorię 1:27 w Brukseli. Nadawcy partyjnemu, który robi program dla tego jednego widza, możesz nagwizdać. ■

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl ab0a4c82c6

JEST MNÓSTWO MOŻLIWOŚCI, PROSZĘ PAŃSTWA, ŻEBY TEN SYSTEM SIĘ ROZPADŁ, ZMIENIŁ, BO TO MY JESTEŚMY SYSTEMEM

KAŻDY CZŁOWIEK TO ARTYSTA

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Teatr im. C.K. Norwida w Jeleniej Górze, otwarcie Międzynarodowego Festiwalu Filmowego ZOOM-ZBLIŻENIA. Leszek Możdżer uprzejmie się wita, zaskakuje głębokim ukłonem i tradycyjnym pocałunkiem w dłoń. Nie tracimy czasu na słowną rozgrzewkę, czas i energia Możdżera są zbyt cenne, aby je rozmieniać na drobne. Uprzejmie pozuje do zdjęć z fankami, podpisuje płyty, bilety. Półtorej godziny później zasiada za własnym fortepianem, w garniturze, boso. Obok Zohar Fresco przy perkusji oraz Lars Danielsson z kontrabasem. Zabrali nas w wibrującą podróż muzyczną.

Porozmawiajmy nie o pana muzyce, bo ta mówi sama za siebie, ale o roli artysty. Jaka jest tu i teraz w niespokojnej społecznie Polsce, zmieniającej się Europie, poddawanej nowym wyzwaniom?

– Uważam, że każdy człowiek jest tak naprawdę artystą. W każdym człowieku jest potencjał twórczy. Każdy chce być twórczy: stolarz chce być twórczy i budowlaniec, i kucharz, pielęgniarka i lekarz też chcą być twórczy. Teraz rola artysty, czyli każdego z nas, jest taka, żeby obudzić w sobie potencjał twórczości i zwyczajnie zacząć zmieniać system, w którym żyjemy. Chodzi o to, żeby nie przyjmować obowiązkowo pewnych procedur czy zachowań, sposobu myślenia albo odnoszenia się do siebie nawzajem. Uważam, że rolą każdego człowieka jest stać się artystą w dzisiejszych czasach – wbrew skostniałości systemu, który narzuca procedury, a te bywają nieludzkie, powodują dużo cierpienia, a przede wszystkim są niezgodne z prawdą. I to w każdej dziedzinie, od nauki przez medycynę, genetykę czy językoznawstwo.

W każdej dziedzinie widać, że wyznajemy nowe skostnienie, tzw. naukowizm, czyli wiarę w jakieś przekonania, które niewiele mają z nauką wspólnego, nie mają potwierdzenia. A my ulegamy jakiejś zbiorowej hipnozie. Dlatego właśnie teraz jest czas na to, żeby każdy stał się artystą.

Czy muzyka może dziś przejąć rolę religii, duchowego schronienia? Wiele osób odchodzi np. od Kościoła, poszukuje. Pańska muzyka ma „wyznawców" – tak o sobie mówią.

– Między religią a duchowością nie zawsze można postawić znak równości. Religia często jest także skostniałym zestawem zachowań i bywa, że ludzie bardzo religijni są o wiele bardziej agresywni niż ateiści. I tu powstaje pytanie, kto jest bliżej duchowości, kto ma te cechy Ducha Świętego: człowiek religijny czy człowiek uduchowiony, łagodny, współczujący, rozumiejący świat, który go otacza, i patrzący na niego z miłością. Religia może być narzędziem duchowego rozwoju, ale wcale nie musi. Religią może się stać TVN, jedzenie jakichś suplementów diety, nauka. Wszystko może się stać jakąś religią. Czy zatem artysta może się stać inspiracją duchowego rozwoju? Wszystko zależy od tego, kto wychodzi na scenę, dlatego że artysta może się stać „portalem" przekazującym tajemniczą energię, ale przede wszystkim świadczy swoją postawą o tym, jak można żyć.

Jeśli człowiek żyje światem zewnętrznym, to nie ma własnego życia.

***À propos* postawy – muszę wspomnieć o pańskich koncertach w więzieniach i przekazywaniu osadzonym instrumentów. Umożliwia im pan spotkania z muzyką, rozwijanie talentów, chwilową wolność.**

– Raczej zagłębienie się w siebie. Uprawianie muzyki jest zagłębieniem się w samego siebie i to jest niezbędne do odzyskania własnego życia. Jeśli człowiek żyje światem zewnętrznym, to nie ma własnego życia. Własne odbywa się w środku psychiki, w środku świadomości; uprawianie muzyki jest jednym z narzędzi, dzięki którym można się zapoznać z własnym wnętrzem i zacząć walczyć z wewnętrznymi słabościami. Jedynym sukcesem, który możemy odnieść, jest spotkanie z samym sobą.

Pewnie nie były to lekkie spotkania?

– Po tej trasie w więzieniach musiałem wyjechać na wakacje, dlatego że to było olbrzymie obciążenie psychiczne. Musiałem odpocząć. Nie wiem, co się dzieje z tymi pianinami w tej chwili. Teraz jest nowy szef więziennictwa na Pomorzu, jeszcze nie miałem okazji ani czasu się z nim skontaktować. Mam nadzieję, że jest

eprasa.pl ab0a4c82c6

równie życzliwie nastawiony do tej pracy jak ja. Z drugiej strony, wie pani, nie mogę poświęcić się pracy w więzieniach, chociaż ci ludzie być może najbardziej potrzebują właśnie tego rodzaju działań. Zdaję sobie sprawę z tego, że koncert w więzieniu to trochę za mało, żeby zmienić człowieka, ale na pewno może zostawić w psychice pewien punkt odniesienia. Tak naprawdę resocjalizacja jest terminem jałowym, biorąc pod uwagę to, że społeczeństwo jako całość jest chore.

Czy takie działania są wyrazem pana społecznej odpowiedzialności jako artysty, obywatela, człowieka, który ma świadomość tego, że może się czymś podzielić, coś dać?

– No tak, nie ma większej radości niż podzielić się czymś, co się ma, a ja akurat tego mam dosyć dużo, to znaczy umiem grać na instrumencie i po to zostałem powołany do istnienia w społeczeństwie. Kultura wytworzyła artystów i ja po prostu realizuję misję źródłową, misję artysty od korzeni, czyli granie dla ludzi. Kultura wykształciła też przestępców. To my, jako społeczeństwo, ich wytworzyliśmy.

Jak pan odbiera ten skręt na prawo, ku nacjonalizmowi, w Polsce i w Europie, wybór prezydenta Trumpa?

– Coś pani powiem – obawiam się, że lewica i prawica z jednego tułowia wychodzą. Skupiamy się na tym, że prawica to jedno, a lewica drugie, a trzeba zobaczyć, gdzie jest tułów, i przede wszystkim, gdzie jest głowa. Bo trochę zapominamy o tym, że jesteśmy w szponach prawicy i lewicy i że jest to taki zabieg, takie właśnie ustawianie nas w dualnym świecie, który jest iluzją. Dlatego, że te wszystkie partie tak naprawdę między sobą się nie różnią. Ściągają z nas podatki dokładnie tak samo.

Zostawmy podziały. Niewątpliwie wzrasta populizm. Kulturę, muzykę próbuje się cenzurować na Węgrzech i w Polsce, zaprzęgać je w służbę polityki. Określona muzyka idzie za określonym wodzem.

– To są procesy makrosocjalne, na które nie do końca mam wpływ. Wie pani, co ja mogę zrobić? Mogę się im tylko jakoś przeciwstawić, chociażby tym, że gram na fortepianie w stroju 432 Hz częstotliwości. Wożę fortepian, który jest nastrojony nieco niżej niż standardowo, bo Adolf Hitler wprowadził standard strojenia 440 Hz i ten standard wciąż obowiązuje w Europie. To standard strojenia instrumentów, który być może jest jakąś makrosocjalną manipulacją, nie wiemy tego, w każdym razie może dziwić, że Hitler majstrował przy stroju instrumentów. Pojawił się on w latach 20. XX w. w Stanach Zjednoczonych i naziści wprowadzili go w Europie jako obowiązujący. Nie można wykluczyć, że to jakaś część planu stworzenia społeczeństwa konsumpcyjnego, oderwanego od natury, bo ten strój jest ponoć właśnie niezgodny z naturą.

Ja ostatnio gram w stroju 432 Hz, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jest lepszy. To mogę zrobić jako artysta. Przeciwstawić się procesom zachodzącym ponad jednostką, próbując przynajmniej pójść inną drogą. Właśnie dlatego uważam, że każdy powinien być artystą i szukać innych dróg. Jest mnóstwo możliwości, proszę państwa, żeby ten system się rozpadł, zmienił, bo to my jesteśmy systemem.

> Obawiam się, że lewica i prawica z jednego tułowia wychodzą. Trzeba zobaczyć, gdzie jest tułów i przede wszystkim głowa.

Dla wielu osób jest pan guru – pana muzyka, poglądy.

– Jest mi to w zasadzie obojętne, bo guru po hindusku oznacza kogoś, kto rozproszył własny mrok, więc po prostu zrozumiał jakieś przestrzenie własnego umysłu. Ja jestem takim samym idiotą jak każdy, kto się wypowiada w prasie i w telewizji.

Jest pan szczęśliwym człowiekiem?

– Tak, jestem bardzo szczęśliwy, co nie zmienia faktu, że czasami życie okazuje się bardzo bolesne. Ale jestem szczęśliwy. ■

LESZEK MOŻDŻER – pianista i kompozytor, twórca nowej stylistyki w muzyce jazzowej, jego dyskografia to ponad sto albumów. Nagrywał i koncertował m.in. z Davidem Gilmourem, Marcusem Millerem, Patem Methenym i Adamem Makowiczem.

FOT. PODLEWSKI/AKPA

eprasa.pl ab0a4c82c6

GRZESIUK – SYN ULICY

Dopiero w ostatnich kilku latach życia stał się tym Grzesiukiem, którego znamy

Małgorzata Kąkiel

Nogawki na dole jaśniejsze od reszty materiału – czyli spodnie dziedziczone, bo spuszczane mankiety – na grzbiecie stara marynarka z łatami na łokciach, pod nią koszulka gimnastyczna z dużym wycięciem na piersiach, a na głowie kraciasta czapka. Tak wyglądał Stanisław Grzesiuk w swoim pierwszym miejscu pracy – w Państwowych Zakładach Tele- i Radiotechnicznych w Warszawie, przy ul. Grochowskiej. Brygadzista Stefan Helmut zobaczył, że ten biedny cudak ma niełatwy charakter i zaraz komuś podskoczy. A wtedy wyrzucą go z roboty i koniec – ponownie niełatwo się dostać do fabryki. Żal mu się zrobiło chłopaka i postanowił go chronić. Bo Helmut rozumiał, jak trudno wyrwać się z biedy. Był komunistą, który dobrze sobie zdawał sprawę z nierówności klasowych – nawet fabryczny urzędnik, zarabiający mniej od wykwalifikowanego robotnika, miał „czarnoroboczy naród" w pogardzie. „Żeby się z nami nie stykać, przychodzą do pracy pół godziny później, a wychodzą pół godziny wcześniej. Do stołówki też chodzą osobno", wykładał Staśkowi. Dla chłopaka to nie były prawdy objawione, bo bystro obserwował i rozumował, poza tym podobnie mówił ojciec.

Franciszek Grzesiuk – ślusarz, członek PPS, nieraz jako delegat robotniczy rozmawiał z dyrekcją zakładów. Kiedy w 1933 r. w fabryce parowozów (późniejszy Bumar-Waryński) chcieli zwalniać dużą część załogi, wystąpił z propozycją, żeby zamiast codziennie, pracować trzy razy w tygodniu po sześć godzin – zarobek mniejszy, ale ludzie utrzymają stałe zatrudnienie. Dyrekcja na to przystała. Stasiek odziedziczył po ojcu wrażliwość na ludzką krzywdę.

CHŁOPAK Z FERAJNY

Od drugiego roku życia Stanisław Grzesiuk (urodzony 6 maja 1918 r.) mieszkał przy ul. Tatrzańskiej 10 na Sielcach. Najczęściej kręcił się po Wójtówce, czyli w rejonie skrzyżowania Chełmskiej z Czerniakowską. Rodzina Grzesiuków miała w drewnianym domu jedną izbę (4,5 x 3,5 m). Wychodek był na podwórku, przy ulicy rynsztokami płynęły nieczystości – ówczesna norma w biednych dzielnicach. Co prawda, niedaleko, bo przy Tureckiej, mieszkał gen. Sikorski, a przy Grottgera – Kornel Makuszyński, ale te dwa nieodległe światy, elit i dołów, w ogóle się nie stykały. Przy Nabielaka i Sieleckiej od lat 30. powstawały domy z bieżącą wodą i elektrycznością, ale na przeprowadzkę tam nie było stać nawet rodziny robotnika mającego fach w ręku i stałą pracę jak Grzesiuk senior.

Po 1989 r. zaczęły się pojawiać głosy, że Stanisław Grzesiuk, zabiegając o przychylność peerelowskiej władzy, zohydził wizerunek sanacyjnej Polski. Bo przecież aż tak źle nie było i w tak złych warunkach jego rodzina nie żyła. Odnosząc się do tych zarzutów wobec nieżyjącego od wielu lat warszawskiego barda i autora trzech książek, jego przyjaciel, profesor polonistyki Józef Rurawski, powiedział: „Stasiek nie znosił kłamstwa. Dosłownie nie znosił. Myślę, że to pochodziło z dzieciństwa, z Tatrzańskiej. Każdy chłopak wychowany »na dole« znał biedę tak samo jak Stasiek. Żadnemu z nich ta bieda się nie podobała".

> Na dzielnicy obowiązywał kodeks honorowy: kapować nie wolno, skarżyć nie wolno, odegrać się wolno.

Jako dzieciak i nastolatek Grzesiuk należał do ferajny. Nazywali go „Kozak". Razem z kolegami zarabiał, podając piłki tenisowe na korcie przy Belwederskiej, i wystawał na ulicy, gdzie można było pohecować albo zaplanować wyskok „w miasto", np. na zabawę. Na dzielnicy obowiązywał swoisty kodeks honorowy: kapować nie wolno, skarżyć nie wolno, odegrać się – wolno, na co dzień trzeba było być grzecznym (przepraszam, proszę, dzień dobry), a już absolutnie

eprasa.pl ab0a4c82c6

nie wypadało kląć „w mieście”. Kto nie przestrzegał zasad, był niecharakterny i otoczenie go bojkotowało.

Harmonia na trzy czwarte z cicha rżnie,
Ferajna tańczy, wszystko z drogi!
Z szaconkiem, bo się może skończyć źle,
Gdy na Gnojnej bawimy się.

Kto zna Antka, czuje mojrę
Ale jeden nie znał jej
I naraził się dlatego na dintojrę,
Skończył się z przyczyny tej.

To cytat z „Balu na Gnojnej”. Grandy wśród swoich często się odbywały, ale musiały być ku temu przyczyny. Stasiek też, gdy wiedział, że ktoś ma do niego sprawę, wychodził ze szpadryną i nożem w kieszeni, za paskiem miał „paragraf” (sprężynę z ołowianą gałką na końcu), a w skarpetce mały fiński nóż.

Różnie układały się losy. Czasem z biedy chłopak coś ukradł, a jak wpadł i odsiedział wyrok, stałej pracy nigdy nie dostał. No to musiał kraść już ciągle. Temperament Staśka trzymał w ryzach ojciec, a matka kazała mu oddać chustkę, którą kiedyś skądś przyniósł. Jemu kraść się nie opłaciło. Charakterny był, ale pojętny, zrozumiał, że ucząc się i solidnie pracując, może do czegoś dojść. Wzór stanowił brygadzista Stefan Helmut, który dorobił się dwupokojowego mieszkania, radia i wyjeżdżał nad morze lub w góry. Że „oni”, bogaci, tak mają – wiadomo, ale że swój z fabryki też ma szansę – to dla Staśka było coś nowego.

Posłuchajcie, bracia mili, o Okrzei powieść znaną,
Ażebyśmy tak walczyli za ideę ukochaną. (...)
Jam za wolność ciągle walczył.
Wiem, co polska konstytucja
I ostatni okrzyk wznoszę:
Niechaj żyje rewolucja!

Tak śpiewał Stanisław Grzesiuk w mało dziś znanej „Balladzie o Stefanie Okrzei”. Sam ani nie rozwinął się w robotniczym fachu, ani nie został – wzorem ojca choćby – działaczem robotniczym, bo wybuchła wojna. W 1940 r. został wywieziony na roboty do Niemiec, a potem do Dachau i Mauthausen-Gusen. Obozowe przeżycia opisał w pierwszej książce, „Pięć lat kacetu”. Podobnie jak wcześniej Tadeusz Borowski nie mitologizował ofiar, tylko w naturalistyczny sposób opisywał lagrową rzeczywistość. Po opublikowaniu książki (pisanej głównie z myślą o córce i synu – żeby wiedzieli, co przeżył ojciec) część środowiska byłych więźniów poczuła się obrażona. Grzesiukowi zarzucano profanację męczeństwa, miał nawet proces o zniesławienie, ale zyskał niezwykle silne poparcie innych kolegów i sprawa zakończyła się polubownie.

Po publikacji „Pięciu lat kacetu” część środowiska byłych więźniów poczuła się obrażona.

WIECZNY CHŁOPIEC

Wyzwolony z piekła obozu przez amerykańskich żołnierzy (od tego czasu za symbol wolności uznawał Myszkę Miki i Kaczora Donalda – bo chłopcem pozostał do śmierci) wrócił do Polski w lipcu 1945 r. Łatwo nie było. Nikt wtedy nie znał pojęcia zespołu stresu pourazowego, toteż wielu uważało Grzesiuka za wariata i chuligana, który rzuca się z pięściami na każdego, kto mówi po niemiecku. Tę reakcję dość szybko opanował, ale nagłe napady obezwładniającego lęku dręczyły go bardzo długo.

We wszystkich złych i dobrych chwilach towarzyszyła mu od lat 30. bandżolka. Bardzo chętnie grał i śpiewał. Sobie, bliskim, znajomym, współkuracjuszom sanatoriów gruźliczych.

W 1946 r. ożenił się z koleżanką młodszej siostry Krystyny, Czesławą Żurawską. Na trzecią rocznicę ślubu napisał dla niej piosenkę (być może zapomniał kupić kwiatek czy prezent i szybko ratował sytuację):

Gdybym był bogaty, wszystko bym ci dał.
Piękne auto, piękne szaty i brylanty miałabyś.
Ale nie mam nic, więc piosenkę daję ci.
W tej piosence jest radość ma,
W tej piosence jest smutek mój.

Na razie rzeczywiście nie był bogaty. Po ślubie młodzi zamieszkali w piwnicznym pomieszczeniu domu przy Grottgera 4. Tam urodziła się im córka Ewa. Stanisław Grzesiuk pracował przy odbudowie Warszawy, ale po obozowych kamieniołomach kamieni miał już dosyć. W Gusen odmroził ręce, więc nie mógł się podjąć precyzyjnej roboty, jaką znał z przedwojennej fabryki radiotechnicznej. Trochę śpiewał tu i ówdzie dla przyjemności, dużo pił, cieszył się odzyskanym życiem. Któregoś dnia kolega z Czerniakowa, teraz działacz PPR, załatwił mu funkcję instruktora w komitecie dzielnicowym PPR. Zobaczył, że Stasiek ma duży talent organizacyjny i rozpiera go chęć działania. Potem Grzesiuk poszedł na kurs dla wicedyrektorów, skończył go i pracował na stanowiskach administracyjnych w warszawskich szpitalach – na Woli, przy Chocimskiej, Anielewicza, w poradni zdrowia przy Lwowskiej.

Nie był banalnym urzędnikiem. Ciągle w ruchu, bez zrozumienia dla papierkowej roboty, z bandżolą pod pachą zamiast teczki z dokumentami. Kiedyś zrobił dziką awanturę lekarce, że wychodzi do domu i nie chce przyjąć chorej kobiety. Lekarka pacjentkę zbadała, ale potem poskarżyła się na dyrektora furiata i Grzesiuk wyleciał z pracy. A już było nieźle, bo i pensja nie najgorsza, i służbowy pokój przy szpitalu, gdzie mieszkał z żoną i córką i gdzie w 1950 r. urodził się syn Marek.

To był czas, kiedy Grzesiuk dowiedział się o swojej zaawansowanej gruźlicy płuc (zaraził nią małego syna). Rozpoczął się okres pobytów w sanatoriach i szpitalach. Odma, usuwanie żeber, specjalnie sprowadzana ze Szwecji streptomycyna. Nic nie pomagało. Choroba postępowała, a Stanisław Grzesiuk twórczo kwitł. Dopiero w ostatnich kilku latach życia stał się tym Grzesiukiem, którego znamy.

Podczas jednego z pobytów w sanatorium spotkał liczącą się wówczas krytyczkę literacką Janinę Preger. Ta, słysząc, jak opowiada, namówiła go, żeby spisał swoje historie. Tak po-

eprasa.pl ab0a4c82c6

wstało „Pięć lat kacetu” (umowę wydawniczą podpisał w Książce i Wiedzy 7 października 1957 r.). Jako autor dobrze przyjętej przez czytelników książki udzielał wywiadów i kiedyś przy okazji zaśpiewał w radiu piosenkę. Spodobała się słuchaczom, a Zenon Wiktorczyk zaproponował mu udział w „Podwieczorku przy mikrofonie”. Polacy zaczęli poznawać barda Warszawy. Potem przyszły koncerty – np. dwa razy Grzesiuk występował z całą ówczesną śmietanką estradową w Sali Kongresowej (rok 1959 i 1961).

Ponieważ gruźlica galopowała, przyszły kolejne pobyty w sanatorium, przymusowe leżenie w łóżku i... powstało „Boso, ale w ostrogach”. Nieoczekiwanie sprzeciw wyraziła cenzura. Uznano, że książka propaguje złe wzorce: chuligaństwo, złodziejstwo, cwaniactwo. Bardzo pozytywną recenzję wewnętrzną napisał Wojciech Żukrowski, ale nie pomogła. Nagle przyszło wsparcie od sióstr Woźnickich – Zofii oraz Ludwiki, krytyczek literackich, pisarek i tłumaczek (notabene obie były przyjaciółkami ze studiów Jadwigi Kaczyńskiej). Książka się ukazała i odniosła sukces.

Za symbol wolności Grzesiuk uznawał Myszkę Miki i Kaczora Donalda.

POD ROBOTNICZYM SZTANDAREM

Grzesiuk jeździł po Polsce na spotkania autorskie, śpiewał i coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Ale nie zapomniał o kolegach z ferajny. Spotykał się z nimi w Sielance przy Czerniakowskiej (potem była tam Karczma Słupska, a później restauracja Sowa i Przyjaciele).

Syn ulicy, przeklęty apasz, zbój,
który od najmłodszych lat
postrach siał,
rabował, kradł,
aż w urocze sidła pięknej ulicznicy
wpadł.
(...)
Dla ciebie pragnę żyć, dla ciebie też
kraść.
Dla ciebie walczyć z całym światem.
Dla ciebie, gdy czas przyjdzie,
Zgodzę się paść
i schylić kark przed katem.

To jedna z ulubionych ballad Grzesiuka – o romantycznym, ludzkim członku ferajny, któremu się nie powiodło. Artysta chyba lubił w pewien sposób z nim się utożsamiać. Czerniaków, dzieciństwo, młodość ciągle były ważne w jego życiu, mimo że łatwo wchodził w środowiska aktorów, literatów, pisarzy, profesorów.

Najbliżsi bezskutecznie prosili, żeby zwolnił tempo życia, przestał pić. Odpowiadał: „Całe życie niczego nie unikałem, to teraz, przed samą śmiercią, mam odpuścić najlepszą imprezę?”. I plując krwią, występował w setnym po wojnie „Podwieczorku przy mikrofonie”, a w maju 1962 r. uczestniczył w Dniach Oświaty, Książki i Prasy. Szybko oddał do wydawnictwa „Na marginesie życia” (książka ukazała się w 1964 r.), załatwiał umowę na wydanie płyty – chciał zdążyć

eprasa.pl ab0a4c82c6

Murale na warszawskim Mokotowie.

pozałatwiać wszystkie sprawy i zabezpieczyć byt rodziny.

Wigilię w 1962 r. spędził w swoim mieszkaniu przy Franciszkańskiej 10 (47 m kw.). Lekarze dali przepustkę, bo wiedzieli, że następnych świąt Bożego Narodzenia już nie doczeka. Potem znów był szpital na Płockiej. I tłumy znajomych, śmiech, ale też świadomość kresu. Kiedy umarł (21 stycznia 1963 r.), noc przy jego zwłokach w szpitalnej kostnicy spędził przyjaciel z obozu Stefan Krukowski. Jeszcze chciał pobyć z Grzesiukiem – oddać mu hołd, wyrazić wdzięczność? Spanie przy nieboszczyku to dla byłego więźnia Konzentrationslager nic niezwykłego.

Sława Przybylska, która znała warszawskiego barda ze wspólnej trasy koncertowej, mówiła, że pochodził ze świata, gdzie nie było radia ani telewizji i gdzie ludzie mieli potrzebę wyśpiewania siebie. Muzyka przybliżała się do nich, wchodziła na podwórka; kucharki stały w oknach, słuchały piosenek, rzucały pieniądze, płakały – bo dostawały opowieść o człowieku takim jak one, a nie jakieś abstrakcyjne historie o arystokracji.

Pogrzeb na Powązkach nie trwał długo. Władze nie zgodziły się na żadne granie czy śpiewanie piosenek. Córka włożyła zmarłemu do kieszeni marynarki obrazek z Myszką Miki i Kaczorem Donaldem. Księdza nie było. Nie tylko dlatego, że to oficjalny pogrzeb w PRL. Stanisław Grzesiuk decyzję podjął już w dniu, w którym chował swojego ojca (rok 1938). Wtedy ksiądz postawił ultimatum: albo on, albo robotnicze sztandary. Syn wybrał sztandary. Myślał: „Robotnikiem wolno ci być, ale nie należy tego zaznaczać nawet po śmierci, bo »dusza zbawiona nie będzie«. Przecież to sztandary robotnicze, fabryczne, pod którymi stają robotnicy o różnych przekonaniach politycznych, wierzący i niewierzący”.

Przy północnej bramie cmentarza Powązkowskiego stali członkowie obozowej orkiestry Warszawa. Zaczęli grać koledze. Z daleka. Zapewne przypomnieli sobie wtedy czterowiersz, który śpiewali często w obozie, a który można uznać za kredo Stanisława Grzesiuka:

Nie warto smucić się, smucić się,
Gdy wolność ku nam mknie, ku nam mknie,
Lecz śmiać się w cały głos
I nie narzekać na swój los.

Małgorzata Kąkiel

Trochę śpiewał tu i ówdzie dla przyjemności, dużo pił, cieszył się odzyskanym życiem.

Pisałam na podstawie książek: „Boso, ale w ostrogach” i „Na marginesie życia” Stanisława Grzesiuka oraz „Grzesiuk. Król życia” Bartosza Janiszewskiego, Prószyński i S-ka, Warszawa 2017.

FOT. ARCHIWUM RODZINNE, DZIĘKI UPRZEJMOŚCI PRÓSZYŃSKI MEDIA, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl ab0a4c82c6

KURTYNA W GÓRĘ

DOM, KTÓREGO NIE MA?

Sztuka Sharra White'a to przejmująca opowieść o spustoszeniu, jakie sieje w człowieku demencja. Rzecz szczególnie bolesna, kiedy dotyczy kobiety w pełni sił (50 lat), w dodatku uczonej, która zajmuje się zapobieganiem tej destrukcyjnej chorobie. Tak właśnie jest z Julianą (Agnieszka Wosińska), która przechodzi katusze rosnącej dezorientacji. W świat rzeczywisty wkradają się powidoki, projekcje, sytuacje nierzeczywiste, urojone albo tylko pomyślane. Coraz trudniej nad tym zapanować bohaterce, a jeszcze trudniej jej mężowi (Sławomir Grzymkowski).

Sztuka przypomina monodram – główna odpowiedzialność za przedstawienie spoczywa na barkach odtwórczyni roli Juliany, funkcje pozostałych są wobec niej dopełniające. Wosińska panuje nad tym ogromnym materiałem, budząc silne emocje zwłaszcza w drugiej części spektaklu, kiedy dolegliwości bohaterki gwałtownie się nasilają. Spektakl rozgrywa się w przestrzeni anonimowej, przypominającej wnętrze szpitalne albo „komorę pamięci". Dramat zaczyna się, jak powiada Juliana, od „epizodu". Podczas wygłaszania wykładu dla lekarzy nagle widzi kobietę w żółtym bikini, nie może się skupić, czuje się osaczona, traci panowanie nad tokiem wypowiedzi. Kobieta w bikini będzie pierwszym sygnałem, a potem powtarzającym się znakiem postępującej zapaści. Taki drobiazg, który niweczy wszystko.

Autor stawia pytanie o granice między tym, co zwyczajne, normalne, a tym, co tę normalność komplikuje, a nawet przekreśla. Niewiele trzeba, aby stanąć nad przepaścią, w której nie znajdzie się już żadnego oparcia.

Tomasz Miłkowski

Sharr White, „Ten drugi dom", tłumaczenie Małgorzata Semil, reżyseria Agnieszka Lipiec-Wróblewska, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, Scena im. Haliny Mikołajskiej, premiera 3 marca 2017

FARSA Z PIENIĘDZMI

Czy nie lepiej było nie przerabiać starego Szolema Alejchema – klasyka literatury jidysz? Ale stało się. Marta Guśniowska napisała tekst „Wielkiej wygranej", wykorzystując ogólny pomysł, ale umieściła akcję może we współczesnej Polsce, bo wygrana w teleturnieju jest w złotych, a może we współczesnym Izraelu, bo główny bohater nazywa się Szymełe Sorokier (dobra rola Marka Węglarskiego), jego żona zaś to Eti Meni (Barbara Szeliga). Ale to są drobiazgi, gdyż przesłanie tej farsy z piosenkami jest pozytywne – pieniądze szczęścia nie dają. Publiczność bawi się niewybrednymi żartami ze skarbnicy żydowskich anegdot, ale musi też wysłuchać równie niewyszukanych numerów śpiewanych. Więcej pomysłów miała odpowiedzialna za tańce Aleksandra Dziurosz. Przedstawienie jest lekkie. Pytanie, czy nie zanadto.

Bronisław Tumiłowicz

Marta Guśniowska, „Wielka wygrana", reżyseria Tomasz Szczepanek, Teatr Żydowski na scenie Klubu Dowództwa Garnizonu Warszawa, premiera 10 marca 2017

NA EKRANACH

KONG: WYSPA CZASZKI

reż. Jordan Vogt-Roberts, już w kinach

Wietnam to przy tym pikuś. Druga połowa lat 70. Do kraju wracają amerykańscy żołnierze zasłużeni w boju z komunistami w Azji, Waszyngton zalewa fala antywojennych protestów, w muzyce rządzi kontrkultura. Wszyscy pragną spokoju poza opętanym ideą nieodkrytego lądu Billem Randą (John Goodman), który z pomocą nieopierzonego geologa dostaje zgodę na skorzystanie z eskorty wojska i przeprowadzenie badań na tytułowej Wyspie Czaszki, gdzieś na południu Pacyfiku. Nie będzie spoilerem powiedzenie, że ten skrawek ziemi ma już swojego króla. Reżyser nie bawi się w podchody. Już pierwsze spotkanie Konga i Amerykanów jest tak spektakularne, że z powodzeniem mogłoby wieńczyć film. A to dopiero początek, bo po drodze dostaniemy kolejne przyprawiające o zawrót głowy komputerowe atrakcje, z gigantycznym pająkiem o nogach długości leśnych drzew na czele. Jest spektakl i są emocje, sprawdzian z kina rozrywkowego ekipa zdała na piątkę. Ale „Kong" to także aktualna refleksja – nad tym, na ile wolno człowiekowi podporządkować sobie naturę.

Artur Zaborski

eprasa.pl ab0a4c82c6

ZAJRZYJ TU

GORDON PARKS: Aparat to moja broń

„Uczyniłem ze swojego aparatu fotograficznego narzędzie świadomości społecznej. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że muszę mieć wystarczające zrozumienie, co jest dobre, a co złe, inaczej aparat stałby się w końcu moim wrogiem", mówił Gordon Parks. Jakim był fotoreporterem, jak szukał tematów? W jaki sposób fotografował ludzi i jak traktował swoich bohaterów? Do odpowiedzi zbliży wybór 80 fotografii Parksa, pierwszego czarnoskórego fotografa magazynów „Life" i „Vogue", reżysera w Hollywood, pisarza i poety oraz kompozytora. Ekspozycja będzie następnie prezentowana w Muzeum Współczesnym Wrocław.

WARSZAWA, ZACHĘTA, DO 21 MAJA

BEKSIŃSKI NIEZNANY

Większość kojarzy twórczość Beksińskiego z obrazami z pierwszego okresu fantastycznego oraz późnego warszawskiego. Warto jednak pamiętać, że twórca zaczynał od fotografii, a po 1997 r. działał również w obszarze fotomontażu i grafiki komputerowej. I do tego aspektu pracy Beksińskiego nawiązuje wystawa ponad 100 fotografii, fotomontaży i grafik komputerowych. Wydarzeniu towarzyszą wykłady multimedialne, prezentacje filmów dokumentalnych o artyście oraz pokazy VR, czyli wirtualnej rzeczywistości.

WARSZAWA, BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA, DO 9 KWIETNIA

VLADIMÍR BIRGUS
Fotografia

Vladimír Birgus kształcił się na wiodących uczelniach artystycznych, w tym w słynnej FAMU w Pradze, gdzie później został wykładowcą. Tam ukształtowały się jego postawa artystyczna oraz sposób postrzegania świata i człowieka. Początkowo, w latach 70. i 80., uwieczniał społeczeństwo czechosłowackie, skupiając się na portretowaniu ludzi uwikłanych w sytuacje niezależne od ich woli. Z biegiem czasu ewoluowała zarówno tematyka fotografii, jak i ich forma. W Muzeum Śląskim zobaczymy kilkadziesiąt dzieł artysty, będących przeglądem jego twórczości od początkowych projektów do najnowszych prac, niepokazywanych szerszej publiczności.

KATOWICE, MUZEUM ŚLĄSKIE, 25 MARCA-3 WRZEŚNIA

MIĘDZY OKŁADKAMI

Jerzy Sałata
JESTEM JAKI JESTEM
Wydawnictwo W cieniu papierówki, Sępopol 2016

Jeśli mazurski poeta Michał Kajka wstałby z grobu i szukał następcy, z pewnością byłby to Jerzy Sałata z Bartoszyc. Też cieśla i także mocno zakorzeniony w mazurskich realiach, tyle że nie musi walczyć o polską mowę pod pruskim zaborem. Wiersze Sałaty są proste jak uderzenia siekiery o dębowe słoje. Pięknie ubiera w słowa miłość do rodziny, a szczególnie ujmujące są wiersze poświęcone ojcu: „Ojcze / zgrzytu ostrzonej kosy / nie ujmiesz w dłonie / choć radość zboża / pokosami kładzie / przed każdym posiłkiem / zdejmowałeś czapkę na słońcu / suszyłeś czoło / zroszone potem". Autor nie ma wyższego wykształcenia, ale wrażliwością przebija „uniwersyteckich poetów". Nie wypiera się wiejskiego, robotniczego rodowodu, przeciwnie, czyni z tego atut. A przede wszystkim pisze sercem, zdobywając tym serca czytelników. Z okazji 40-lecia twórczości wydał siódmy tomik poezji, nadal pachnący świeżością.

Marek Książek

Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KATARZYNA CHMURA-CEGIEŁKOWSKA, ANDRZEJ WENCEL – MAT. PRASOWE TEATRU ŻYDOWSKIEGO

eprasa.pl ab0a4c82c6

AK BLIŻEJ I DALEJ MOSKWY

Realiści związani z Mikołajczykiem uważali, że trzeba się dogadać ze Stalinem, zanim Armia Czerwona wejdzie na teren Polski

Rozmawia Paweł Dybicz

Czy brak porozumienia z Moskwą był największym błędem Armii Krajowej?

– Trudno to rozpatrywać w kategoriach błędu, skoro nie było szans na zawarcie takiego porozumienia. Na stosunek AK do Moskwy rzutował okres międzywojenny, w którym w Warszawie panowało uzasadnione przekonanie, że ZSRR dąży do uczynienia z Polski kolejnej republiki. Później zaś wpływały skutki agresji Armii Czerwonej z 17 września 1939 r., kiedy połowa Polski, nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Polacy byli tam mniejszością, została zajęta i wcielona do ZSRR. W pierwszym okresie wojny, kiedy istniały struktury wojskowe poprzedzające Armię Krajową (powstałą 14 lutego 1942 r.) – Służba Zwycięstwu Polski i Związek Walki Zbrojnej – opracowano plan powstania powszechnego, w którym Związek Radziecki traktowano jako głównego wroga. Wyobrażano sobie, że kiedy Niemcy zostaną pokonane przez państwa zachodnie, wojska ZSRR, który formalnie był wówczas państwem neutralnym, wkroczą na etniczne ziemie polskie. Wobec tego trzeba będzie stawić im opór. Warto też pamiętać, że do lipca 1941 r. do więzień NKWD trafiło wielu wysokich rangą oficerów ZWZ, m.in. płk Leopold Okulicki i ppłk Józef Spychalski. Prowadzono z nimi jakąś grę, o której mało wiemy.

Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej musiał zmienić te rachuby.

– Po agresji Niemców na Związek Radziecki, a dokładniej po zawarciu 30 lipca 1941 r. układu o wznowieniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy ZSRR a władzami polskimi na uchodźstwie, doszło do pewnej wojskowej współpracy z Armią Czerwoną. ZSRR próbował objąć tą współpracą także polską konspirację wojskową, bo dla niego działania dywersyjne na tyłach frontu były wtedy, szczególnie w pierwszym, niezwykle dramatycznym okresie wojny do grudnia 1941 r., bardzo ważne.

PROF. ANDRZEJ LEON SOWA

– wieloletni wykładowca na Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Pedagogicznym im. KEN w Krakowie. Znawca dziejów Rzeczypospolitej szlacheckiej (XVII-XVIII w.), stosunków polsko-ukraińskich w okresie II wojny światowej oraz dziejów Polski w XX w. Ostatnio opublikował pracę „Kto wydał wyrok na miasto? Plany operacyjne ZWZ AK (1940-1944) i sposoby ich realizacji".

W polskiej armii nie brakowało wówczas opinii, że Niemcy wygrają wojnę na wschodzie.

– Gen. Kazimierz Sosnkowski i wielu innych tak myślało, zresztą trudno było wtedy przewidzieć losy niemiecko-radzieckiego starcia.

DRUGI ŻUKOW

Jak wyglądało współdziałanie polsko-radzieckie w pierwszych latach wojny?

– Kiedy tworzyła się armia gen. Władysława Andersa, jej opiekunem, podobnie jak później kościuszkowców, był komisarz bezpieczeństwa państwowego gen. Gieorgij S. Żukow, nie mylić z marszałkiem oczywiście. Nieprzypadkowo podejmował on próby, na początku w porozumieniu z gen. Andresem, przerzucenia drogą spadochronową na ziemie okupowane przez Niemców tych oficerów ZWZ, którzy siedzieli w więzieniach NKWD, a którzy godzili się na zrzut, w celu prowadzenia dywersji na terenach Polski etnicznej. Ostatecznie ówczesny premier i wódz naczelny gen. Władysław Sikorski tego zakazał, bo prowadziło to do penetracji podziemia przez Rosjan.

Ale jednocześnie Sikorski popierał współpracę polskiego wywiadu z Moskwą.

– I dlatego AK do końca 1942 r. przekazywała jej informacje na temat przemieszczania się wojsk niemieckich. Szkoda, że Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej i sam Józef Stalin z nich nie korzystali. Polacy dokładnie wiedzieli, że ofensywa niemiecka pójdzie w kierunku południowym. Stalin w to nie wierzył, bo cały czas zakładał, że główne siły III Rzeszy zostaną rzucone na Moskwę, i dlatego Rosjanie mieli początkowo tak duże kłopoty pod Stalingradem.

Skoro z tej współpracy niewiele wyszło, to po Stalingradzie i konferencji w Teheranie woli współdziałania było chyba po obu stronach jeszcze mniej.

– Musimy pamiętać, że w tym okresie dochodzi do zerwania stosunków polsko-radzieckich na tle Katynia. Nawet dla tych żołnierzy, którzy chcieli współpracować z Moskwą, mord na internowanych polskich oficerach był szokiem. W tym czasie Stalin jednak uznał, że współpraca z polskim rządem jest tylko przeszkodą w realizacji jego celów politycznych i szukał pretekstu, aby zerwać z nim stosunki dyplomatyczne. Polska reakcja na ujawnienie przez Niemców grobów w lesie katyńskim posłużyła do realizacji tego celu. W tym kontekście trudno zrozumieć wcześniejsze posunięcia Stalina, które można interpretować jako chęć doprowadzenia do trwałej naprawy stosunków z władzami reprezentowanymi przez gen. Sikorskiego. Dla mnie porozumienia z grudnia 1941 r.

eprasa.pl ab0a4c82c6

są tego dowodem – były one wyjątkowo daleko idące. Wobec kogo poza Polakami Rosjanie kiedykolwiek się zgodzili założyć na swoim terytorium całą sieć przedstawicieli obcej ambasady? W zasadzie wszystkie polskie postulaty uzyskały poparcie Stalina, nie porozumiano się tylko w sprawie granic, o których Sikorski nie chciał dyskutować, bo bał się reakcji swoich oponentów w Londynie. Proponowane przez Stalina regulacje graniczne wcale nie były tak niekorzystne dla Polski jak później. Była wówczas możliwość zatrzymania Lwowa. Nie mówię o przypuszczeniach, wiemy to z materiałów przekazywanych w tamtym czasie dyplomatom brytyjskim przez radzieckich oficjeli. Pewnie wszystkie te chwilowe ustępstwa były tylko grą, aby ewentualnie pozyskać Sikorskiego. Jak mówił mi niegdyś mądry człowiek mający za sobą pobyt w ZSRR, kiedy tam władze otwierają okna, to tylko po to, aby sprawdzić, komu jest duszno.

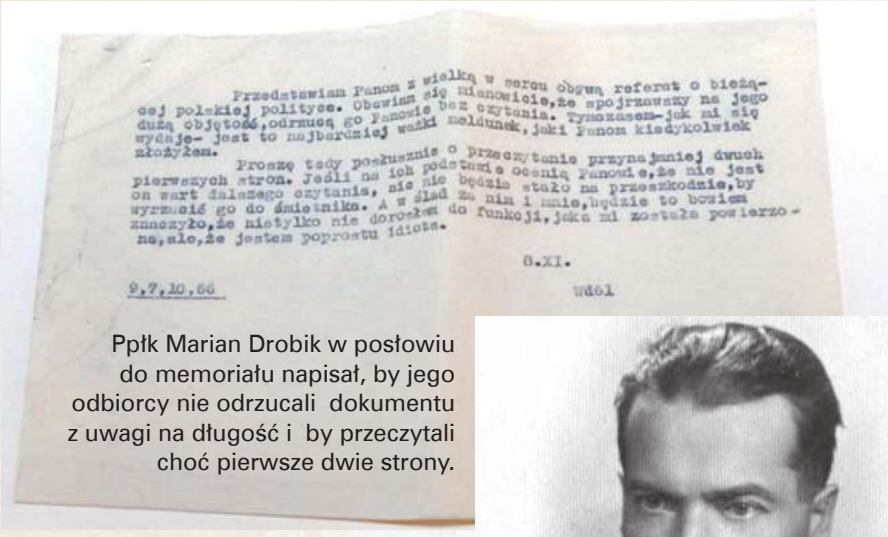

Przedstawiam Panom z wielką w sercu obawą referat o bieżącej polskiej polityce. Obawiam się mianowicie,że spojrzawszy na jego dużą objętość,odrzucą go Panowie bez czytania. Tymczasem-jak mi się wydaje- jest to najbardziej ważki meldunek,jaki Panom kiedykolwiek złożyłem.

Proszę tedy posłusznie o przeczytanie przynajmniej dwuch pierwszych stron. Jeśli na ich podstawie ocenią Panowie,że nie jest on wart dalszego czytania, nie nie będzie stało na przeszkodzie,by wyrzucić go do śmietnika. A w ślad za nim i mnie,będzie to bowiem znaczyło,że nietylko nie dorosłem do funkcji,jaka mi została powierzona,ale,że jestem poprostu idiotą.

8.XI.

9.7.10.66

Wdol

Ppłk Marian Drobik w posłowiu do memoriału napisał, by jego odbiorcy nie odrzucali dokumentu z uwagi na długość i by przeczytali choć pierwsze dwie strony.

DWIE GRUPY

Zerwanie stosunków z Moskwą i śmierć gen. Sikorskiego wpłynęły na zasadniczą zmianę układu sił we władzach na emigracji.

– Można powiedzieć, że na dobre wyłoniły się dwie grupy polityków. Jedna związana była z premierem Stanisławem Mikołajczykiem, który uznał się za kontynuatora gen. Sikorskiego i próbował, z inspiracji Churchilla, pójść drogą dogadania się z Rosją, nawet za cenę ustępstw w sprawach granicznych. Churchill uważał za oczywiste – i to starał się przekazać naszym politykom – że Polska może coś uzyskać jedynie za zgodą Rosjan. Dla Mikołajczyka zasadniczą sprawą było więc ponowne nawiązanie stosunków dyplomatycznych z ZSRR, bo tylko to gwarantowało, że polskie władze wrócą z emigracji do kraju po wypędzeniu z niego Niemców przez Armię Czerwoną.

Druga grupa, z wodzem naczelnym gen. Kazimierzem Sosnkowskim, uważała, że nie należy iść na żadne ustępstwa. Gen. Sosnkowski zakładał, że Stalinowi chodzi nie o rzeczywiste porozumienie, lecz o rozbicie polskiej emigracji. Podejrzewał, że polityka Stalina wobec Polski wzoruje się na działaniach carskiej Rosji, która w XVIII w. po kolejnych rozbiorach wymuszała usankcjonowanie ich przez polskie sejmy. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że pełna uległości wobec Moskwy polityka ówczesnych władz czechosłowackich też nie zapobiegła wprowadzeniu do tego kraju systemu komunistycznego, musimy przyznać, że gen. Sosnkowski nie pomylił się w tych analizach. Natomiast jego dalsze kalkulacje, że przeciwieństwa pomiędzy ZSRR a Zachodem spowodują rychły wybuch III wojny światowej, w rezultacie której Polska odzyska niepodległość, okazały się nietrafione.

Przejdźmy do Armii Krajowej.

– Dopóki jej dowódcą był gen. Stefan Grot-Rowecki, którego się bano i który miał poglądy podobne do gen. Sosnkowskiego, jakakolwiek próba porozumienia się z Moskwą była niemożliwa. Jego następca, gen. Tadeusz Bór-Komorowski był zagubiony w skomplikowanej rzeczywistości okupacyjnej, nie miał autorytetu u podkomendnych i stworzyła się wokół niego przestrzeń do dyskusji, zwłaszcza że Londyn ją zainicjował. Mikołajczyk po Teheranie wiedział, jakie tam zapadły postanowienia, że ziemie wschodnie są stracone. Moskwa uzależniała oficjalne nawiązanie współpracy i stosunków dyplomatycznych od zgody na dwa warunki: na granicę na linii Curzona i na zmiany w rządzie, czyli wyeliminowanie osób, które według Stalina miały prowadzić politykę antyradziecką. Mikołajczyk był skłonny zgodzić się na te warunki, tyle że musiał pozyskać dla swojej polityki nie tylko większość emigrantów, ale też czynniki krajowe. I dlatego swoimi kanałami usiłował przekazać odpowiednio dobrane informacje do Komendy Głównej AK i Delegatury Rządu na Kraj. Ze swej strony takie same działania podejmował Sosnkowski.

> AK do końca 1942 r. przekazywała Moskwie informacje o przemieszczaniu się wojsk niemieckich.

Podział w Londynie miał odbicie w kraju. Tu także wytworzyły się dwie grupy, które można określić jako realistów i romantyków.

– Można je tak nazwać, ale tylko w celu rozróżnienia, bo działania żadnej z nich nie mogły doprowadzić do zamierzonych rezultatów politycznych. Ci pierwsi chcieli realizować politykę Mikołajczyka i zgadzali się na warunki Stalina, zwłaszcza zmiany graniczne. Grupa realistów, którą reprezentowali gen. Stanisław Tatar i – może jeszcze bardziej – ppłk Marian Drobik, pseudonim „Dzięcioł", uważała już jesienią 1943 r., że trzeba się dogadać z Moskwą, zanim Armia Czerwona wejdzie na teren Polski. Należy zawrzeć z ZSRR porozumienie, bo to jedyna szansa, żeby Polska przetrwała jako niepodległe państwo.

Wychodzili z założenia, że gdy wkroczy tu Armia Czerwona, to już nie wyjdzie?

– Takie było ich myślenie, zresztą słuszne.

REFERAT DROBIKA

Kogo jeszcze możemy zaliczyć do grupy realistów?

eprasa.pl ab0a4c82c6

– Myślę, że należał do niej płk Jerzy Kirchmayer. Do tej grupy zaliczyć trzeba płk. Józefa Spychalskiego, brata Mariana, przyszłego marszałka. Animatorzy tej grupy ujawnili się w październiku 1943 r. na odprawie ścisłego kierownictwa Komendy Głównej AK, w czasie kiedy zaczynała się tworzyć koncepcja „Burzy". Na tej naradzie gen. Stanisław Tatar powiedział, że należałoby szukać porozumienia z Rosjanami, a miesiąc później ppłk Drobik wystąpił z referatem rozwijającym jego opinię. Słowa Drobika zostały bardzo źle przyjęte, szczególnie przez gen. Tadeusza Pełczyńskiego. W efekcie grupa Tatara i Drobika została bardzo szybko spacyfikowana. Trzeba też pamiętać o dominujących nastrojach, nie tylko w AK. Nawet jeżeli ktoś myślał jak ppłk Drobik, nie ujawniał za bardzo swoich poglądów, wolał siedzieć cicho, by nie posądzono go lub nie oskarżono o prosowietyzm.

Moskwa razem z armią Andersa wypchnęła z ZSRR taką agenturę, że nam się w głowie nie mieści.

Drobik zajmował dość wysokie stanowisko, był szefem wywiadu i kontrwywiadu KG AK, tzw. dwójki, środowiska uważanego za grupujące najinteligentniejszych oficerów.

– Drobik był człowiekiem najbliższym gen. Tatarowi, skądinąd mało lubianemu ze względu na charakter jako osoba wyjątkowo konfliktowa, okazującą wyższość nawet oficerom wchodzącym w skład KG AK. Drobik był jednym z najważniejszych w niej, co nie przeszkodziło oskarżać go o zdradę. Tych zarzutów nie mógł wytrzymać i usiłował popełnić samobójstwo. Wkrótce potem wpadł w ręce gestapo.

Istnieją przypuszczenia, że został wydany Niemcom.

– Tego chyba nigdy się nie dowiemy, możemy tylko snuć rozważania.

Jak gen. Komorowski zareagował na opinie tak ważnego człowieka w strukturze AK?

– Dla gen. Komorowskiego głównym mentorem pozostawał gen. Pełczyński, należy zatem przyjąć, że podzielał poglądy Pełczyńskiego, a nie Drobika czy Tatara.

Czy zbliżanie się frontu wschodniego, który najpierw przekroczył granicę II RP, a potem Bug, powiększyło grupę realistów?

– Nie ma na to najmniejszych dowodów. Sądząc po tym, co się stało, a myślę tu o powstaniu warszawskim, raczej nie. Nie mówię oczywiście o oddolnych ruchach i inicjatywach. Na terenie Polski była partyzantka radziecka i AK z nią współpracowała w takiej czy innej formie. Chociaż dla strony polskiej na wschodzie, szczególnie na Wileńszczyźnie, ta współpraca skończyła się tragicznie, bo Sowieci podjęli działania zmierzające do fizycznej likwidacji AK. W rezultacie pomiędzy oddziałami AK i partyzantami sowieckimi toczyła się tam otwarta wojna, której front przebiegał na linii Niemna. Dopiero klęska powstania warszawskiego uświadomiła kierownictwu podziemia politycznego i wojskowego, że porozumienie z ZSRR jest konieczne.

Czy w innych strukturach państwa podziemnego również wyłaniały się grupy realistów?

– Przede wszystkim w Batalionach Chłopskich, stanowiących zbrojną formację Stronnictwa Ludowego. Były próby, podejmowane głównie przez Kazimierza Bagińskiego, porozumienia się z PPR. Jeszcze po utworzeniu Krajowej Rady Narodowej 1 stycznia 1944 r. prowadzono takie rozmowy.

Czy ludzie pokroju ppłk. Drobika lub gen. Tatara mieli wsparcie w Biurze Informacji i Propagandy KG AK, w którym były znaczące postacie polskiej nauki, rozumiejące zasady polityki, znające historię nie tylko Polski?

– Nic mi o tym nie wiadomo, chociaż dwóch czołowych pracowników Biura – Jerzy Makowiecki i Ludwik Widerszal – zostało skrytobójczo zamordowanych z oskarżenia o kryptokomunizm.

ŚLADY ROZKAZÓW

Następca ppłk. Drobika zajmował odmienne stanowisko.

– Był nim płk Kazimierz Iranek-Osmecki. To on poinformował gen. Pełczyńskiego, że gen. Tatar na nieformalnych spotkaniach nadal mówi o konieczności porozumienia się z ZSRR. W tym czasie wywiad AK był mocno spenetrowany przez Niemców, którzy dokonywali licznych aresztowań wśród jego oficerów, i zadaniem Iranka była jego odbudowa. Wywiad został bardzo przetrzebiony, ponadto Niemcy dzięki konfidentom rozszyfrowali personalia czołowych oficerów KG AK. Nazwiska znali, mogli jedynie nie wiedzieć, jak do tych ludzi dotrzeć.

Są tacy, którzy twierdzą, że nie chcieli.

– Wysuwa się różne przypuszczenia na ten temat. Niemniej jednak penetracja AK była bardzo głęboka. Polacy, wbrew temu, co się mówi, nie są znakomitymi konspiratorami. Serial „Polskie drogi" dobrze to pokazywał. Siłą polskiej konspiracji była jej masowość, ale nie jakość.

Jakie inne tezy postawiono na naradzie, na której Drobik przedstawił swoją koncepcję?

– Nic na ten temat nie wiemy, bo nie była ona protokołowana. Jak zresztą inne narady czy odprawy. Dlatego np. nie znamy dyrektyw AK wydawanych dla poszczególnych jej okręgów nawet w czasie akcji „Burza". Całe szczęście, że na te odprawy nie przyjeżdżał ppłk Władysław Liniarski „Mścisław", komendant białostockiego okręgu AK, i trzeba było wysyłać mu depeszami ustalenia Komendy Głównej. Gdyby nie te depesze, nie wiedzielibyśmy nawet, jak „Burza" miała być wykonywana w terenie.

W 1941 r. była możliwość zachowania Lwowa.

Czy stanowisko realistów ma jakieś odbicie w dokumentach z tamtego okresu, czy jest obiektem dyskusji pamiętnikarskiej?

– To była sprawa raczej przemilczana, może jest coś w dokumentach w Londynie, ale wątpię, bo gdyby takie były, pewnie już zostałyby opublikowane, tak jak wydano referat ppłk. Drobika. Pierwszy o poglądach Tatara pisał Władysław Pobóg-Malinowski, który odnotował jego wypowiedź, że ziemie wschodnie to rak toczący Polskę (notabene niewiele się mylił). Te słowa to bardzo drobny element dyskusji, jaka miała miejsce w czasie wojny. Jeżeli chodzi o wspomnienia czy pamiętniki, nie mam do nich zaufania, zarówno z uwagi na ich stronniczość, jak i z powodu niepamięci piszących. Weźmy opisy narad przed powstaniem warszawskim – niewiele można z nich wyczytać, do tego są sprzeczne, każdy piszący tworzy inne kalendarium spotkań. Jeżeli są jakieś wartościowe materiały, to tylko w Moskwie. Ciągle operujemy skromną liczbą radzieckich źródeł. Niewiele wiemy, co myślała eki-

eprasa.pl ab0a4c82c6

pa Stalina, co planowała, jakie prowadziła gry i z kim. Na przykład jaki był jej stosunek do gen. Tatara, on w ZSRR był niechętnie widziany. Mikołajczyk, który przed powstaniem warszawskim był w Moskwie, mówił Mołotowowi, że chętnie przywiezie Tatara, na co usłyszał, że nie jest on potrzebny. Moje pokolenie nie zobaczy tych archiwaliów, ale gdy będzie do nich dostęp, historia tamtego okresu zostanie napisana na nowo.

Pewne ślady znajdujemy u prof. Jana M. Ciechanowskiego w najnowszym wydaniu jego książki o powstaniu warszawskim.

– Podejrzewam, że Moskwa razem z armią Andersa wypchnęła z ZSRR taką agenturę, że nam się w głowie nie mieści. Dla mnie cała działalność prowadzona w tej armii do śmierci Sikorskiego, *de facto* zmierzająca do osłabienia autorytetu międzynarodowego premiera i naczelnego wodza oraz skompromitowania Polaków, chociażby poprzez publikowanie mapy nowej Polski w granicach sięgających daleko za Dniepr, mieści się w kategoriach działań dezinformacyjnych i dezintegracyjnych, tak chętnie stosowanych przez sowieckie służby specjalne. A płk Wincenty Bąkiewicz? Czy nie jest dziwne, że człowiek, który był przedwojennym szefem wywiadu na Rosję, został wypuszczony przez Sowietów i stał się najbliższym współpracownikiem gen. Andersa, podczas gdy znany przedwojenny polski agent w Niemczech Jerzy Sosnowski nie wyszedł z radzieckiego więzienia? Ale czy za sto lat, jeśli zostaną otwarte rosyjskie archiwa, te dokumenty będą jeszcze kogoś interesować, wywoływać emocje?

GRANICE STALINA

Moskwa szukała porozumienia z realistami?

– Skąd. Do czego było jej to potrzebne? Miała przecież swój plan związany z PKWN. Po Teheranie polityka Moskwy była już dość skrystalizowana. Znany jest przecież memoriał wiceministra spraw zagranicznych Iwana Majskiego z początku 1944 r., w którym prezentuje on koncepcję, jak później się mówiło, polskiej drogi do socjalizmu, takiej pseudodemokracji, strawnej dla Zachodu, ale z hegemonią PPR. Analogiczny do sugerowanego przez Majskiego ustrój był w Polsce realizowany w latach 1944-1948. Tyle że granice Polski projektowane w memoriale miały obejmować terytorium nieco większe niż Kongresówka, bo – jak twierdził Majski – Polacy zawsze będą wrogami ZSRR. Majski był Wielkorusem. Stalin nie był i tylko on zadecydował o naszych granicach zachodnich i północnych. On, nie Mołotow czy Majski. Dlaczego dostaliśmy te ziemie, łącznie ze Szczecinem, co Stalinem kierowało – tego też do końca nie wiemy.

Komendanci AK, Tadeusz Bór-Komorowski (z lewej) i Stefan Grot-Rowecki, musieli się zmierzyć z problemem zbliżającej się Armii Czerwonej.

Zabrał tę tajemnicę do grobu?

– Tak, choć według mnie wierzył, że Związek Radziecki będzie trwał wiecznie, a do tego te granice były wygodne, wiązały Polaków z ZSRR i jednocześnie osłabiały Niemców.

Jak stosunek do Moskwy wpływał na ogólne koncepcje działalności AK?

– Strach przed nią powodował, że ograniczano walkę bieżącą. Im bliżej było końca wojny, tym bardziej ją ograniczano, np. wysadzano coraz mniej niemieckich pociągów wojskowych. Raz, że dość powszechny był strach przed represjami hitlerowców, a dwa – cały czas liczono na wyczerpanie Sowietów i Niemców. Do tego jednak nie doszło, choć pod koniec wojny jedni i drudzy rzucali do walki ostatnie rezerwy. Opowiadał mi szwagier, że w 1945 r. w mundurach czerwonoarmistów do Kutna wkraczały młode chłopaki, bardziej dzieciaki. Jak oceniał – a był później lekarzem – takie 16-letnie. W tym miejscu trzeba też powiedzieć, że kiedy dowództwo AK ograniczało walkę bieżącą, nabierała znaczenia druga koncepcja, reprezentowana przez PPR i Gwardię Ludową, a potem Armię Ludową – intensywnego wzmożenia walki. I ta koncepcja powodowała, że w terenie dochodziło do współdziałania militarnego oddziałów AK z AL i partyzantką radziecką, bo akowcy na dole chcieli walczyć. O tym dowództwo AK wiedziało i również z tego powodu aktualizowano plany akcji „Burza". Generalnie jednak w KG AK wygrała linia reprezentowana przez oficerów dążących do walki powstańczej mimo braku porozumienia z Moskwą i przekonanych, tak jak ich niegdyś uczył Józef Piłsudski, że akty żołnierskie są ważniejsze niż myślenie czy chłodna kalkulacja.

Historia przyznała jednak rację realistom.

– Historia tak, ale nie im współcześni. Osobiście realiści przegrali, idąc w końcu marca 1945 r. na rozmowy do Pruszkowa, na zaproszenie (w cudzysłowie) gen. Sierowa-Iwanowa. Oni chcieli realizować postanowienia z Jałty. To oznaczało przeciwstawienie się władzom polskim w Londynie, bo w Jałcie uzgodniono, że powstanie nowy rząd, który będą współtworzyć przedstawiciele konspiracji. Reprezentanci linii realistycznej do niego nie weszli, bo zostali aresztowani, przewiezieni do Moskwy i tam skazani w procesie pokazowym, który miał skompromitować Mikołajczyka, lada moment wicepremiera w rządzie kontrolowanym przez komunistów. Paradoksem jest, że w pewnym sensie linię realistów realizowali później ludzie PPR, a potem PZPR – myślę tutaj szczególnie o Władysławie Gomułce – którzy nakierowali działalność na uzyskiwanie coraz większej samodzielności. Ale to już historia Polski Ludowej.

Paweł Dybicz

FOT. ARTUR BARBAROWSKI, MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, WIKIPEDIA (3)

eprasa.pl ab0a4c82c6

DWA OBLICZA BERII

Po śmierci Stalina Beria przejął ster destalinizacji. Zainicjował amnestię uwalniającą ponad milion więźniów GUŁagu i zakaz tortur w śledztwie

Andrzej Werblan

Wydawca umieścił dzieło Françoise Thom, wybitnej francuskiej politolożki, poświęcone Berii w serii biograficznej „Oblicza zła", w towarzystwie sylwetek Hitlera, Stalina, Himmlera, Pol Pota, Bormanna i Mussoliniego. Jeśli brać pod uwagę obraz postaci w powszechnej opinii, jest to umiejscowienie trafne. Jeśli kierować się treścią książki – już niezupełnie. Wydawca opatrzył publikację tytułem „Beria. Oprawca bez skazy". Jest to korekta w duchu poprawności politycznej. Oryginalny tytuł brzmi: „Beria. Le Janus du Kremlin". Nie oprawca, lecz Janus, bóg o podwójnym obliczu. Autorka jest zafascynowana odkrywaniem tego drugiego oblicza Ławrientija Berii. Napisała zdumiewającą książkę. Niezwykle erudycyjną, bogatą informacyjnie i poznawczo. Wykorzystała ogrom źródeł i literatury. Prawie tysiąc stron druku. Mimo to dzieło pozostało przystępne, zajmujące. Jednak wewnętrznie sprzeczne, niespójne. Przeważają partie restrykcyjne pod względem dbałości o poprawność poznawczą, wiarygodność źródeł i interpretacji. Sąsiadują jednak z rozważaniami i hipotezami skądinąd frapującymi, ale zbudowanymi na wątpliwym materiale źródłowym. Autorka z nadmiarem zaufania traktuje świadectwa bardzo stronnicze, takie jak wspomnienia Serga – syna Berii czy pełne konfabulacji memuary gen. Zygmunta Berlinga. Także niebezinteresowne wyznania nawróconych czekistów w rodzaju Orłowa czy Sudopłatowa, nie mówiąc już o zeznaniach wymuszonych w stalinowskich śledztwach. Z ogromu tej pracy możemy przyjrzeć się bliżej jedynie kilku wątkom, ale – jak sądzę – kluczowym.

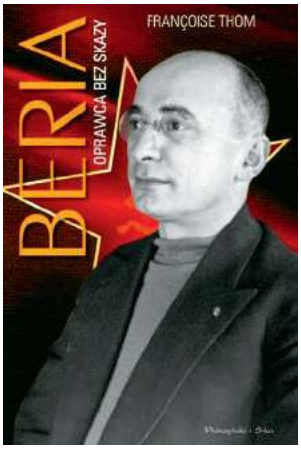

Autorka przekonująco przedstawiła karierę młodego Berii w Rosji bolszewickiej. Rewolucja rosyjska była przede wszystkim chłopska i narodowa. Berii nie urzekł marksizm, nie stał się ideologicznym fanatykiem. Pociągały go szanse emancypacyjne, jakie bolszewizm otwierał przed takimi jak on i przed narodami do niedawna uciskanymi przez carat. W bolszewickich szeregach pełno było „zruszczonych obcoplemieńców" – epitet taki Lenin w złości rzucił w twarz Feliksowi Dzierżyńskiemu. Beria był nieco mniej zruszczony niż jego rodak Stalin, zdobywał pozycję w rejonie Kaukazu, tam stworzył sobie silne zaplecze, oddaną drużynę zwolenników. Tam też wyróżnił się talentami organizacyjnymi i zmysłem praktycznym, czym zwrócił uwagę Stalina. Fascynowała Berię ta sfera, w której ideologia była na drugim planie, na pierwszym zaś – siła, spryt, zmysł praktyczny, a więc policja i wywiad. Tu zbudował osobiste imperium.

Według Françoise Thom odskocznią do olśniewającej kariery Berii okazała się wielka czystka lat 1937-1939, w której z wyroków sądowych i pozasądowych zginęło niemal 900 tys. osób, a drugie tyle trafiło do łagrów. Beria realizował tę czystkę w Gruzji dostatecznie gorliwie, aby się nie narazić, ale z większym niż w innych republikach umiarem. Gdy czystka w apogeum zaczęła zagrażać funkcjonowaniu państwa, a Stalin uznał, że spełniła swoje zadanie, zdewastowała wszelką, nawet potencjalną opozycję i dała mu absolutną władzę, Beria okazał się niezmiernie użyteczny. Wygasił czystkę tak, aby nie narazić na szwank jej głównego autora i zachować sprawność aparatu terroru. Rozprawił się ze swoim poprzednikiem Jeżowem i kilkudziesięcioma tysiącami jego pomocników wedle obowiązującego wzoru. Jeżow przyznał się, że był szpiegiem niemieckim i japońskim, jego pomagierów usunięto po cichu. Głównym siłom aparatu represji Beria zapewnił nietykalność, a jednocześnie znacznie powiększył przywileje materialne.

> Czystkę w Gruzji Beria realizował dostatecznie gorliwie, aby się nie narazić, ale z większym umiarem niż gdzie indziej.

Nadciągająca wojna dodatkowo umocniła pozycję Berii. Zreorganizował system GUŁagu w celu wykorzystania jego potencjału ekonomicznego. Nakazał poprawić warunki bytu i wyżywienia więźniów, tak aby zachować ich zdolność do pracy. Wynędzniali i umierający nie byli potrzebni. Więźniów specjalistów zatrudnił w specjalnych placówkach badawczych i projektowych. Okazał się sprawnym menedżerem i zaczął rywalizować o władzę nad coraz potężniejszym kompleksem wojskowo-przemysłowym. W 1944 r. stanął na czele radzieckiego projektu atomowego.

W stalinowskim ZSRR jak w każdej despotii toczyła się wśród podwładnych dyktatora ustawiczna walka o wpływy, formowały się koterie, lansujące konkurencyjne warianty polityki. Françoise Thom lepiej i wnikliwiej niż ktokolwiek przed nią opisała te rywalizacje, zwłaszcza bezpieczniackiego imperium Berii z równie potężnymi kompleksami partyjno-ideologicznym i biurokratyczno-technokratycznym. Gdy w czasie wojny zarysowały się perspektywy zwycięstwa, Beria optował za wyniesieniem do władzy w krajach zależnych od ZSRR pozyskanych do współpracy wojskowych i polityków prawicy, natomiast kompleks partyjno-ideologiczny preferował komunistów. W przypadku Polski Beria stawiał początkowo na gen. Andersa, a gdy ten go zawiódł – na Berlinga. Sprawę przesądził Stalin, który uznał, że wariant komunistyczny jest bardziej poręczny. Takich rywalizacji i walk

eprasa.pl ab0a4c82c6

Beria ze Swietłaną Allitujewą, córką siedzącego z tyłu Stalina.

podjazdowych było bez liku i autorka je zajmująco opisuje.

Często jednak popada w przesadę i w odrębnościach koterii Beriowskiej niebacznie dopatruje się ukrytej opozycji wobec Stalina. Daje wiarę konfabulacjom Serga, że jego ojciec sprzeciwiał się układowi Ribbentrop-Mołotow lub że był niechętny likwidacji polskich oficerów z obozów jenieckich. Trzeba to włożyć między bajki, choćby z tego powodu, że tylko samobójca mógłby się zwierzać kilkunastoletniemu chłopcu z knowań przeciw Stalinowi. Do tej kategorii odnoszę też poważnie traktowane przez autorkę relacje różnych szpiegów Berii o jego zabiegach o odrębny pokój z Niemcami. Stalin jesienią 1941 r. czasami straszył zachodnich aliantów możliwością wymuszonego pokoju, lecz od skutecznej obrony Moskwy nigdy nie traktował tego poważnie. Wiedział, że taki pokój nie uchroni go przed ponownym atakiem Niemiec, gdyby zdołały wygrać wojnę z Zachodem. Natomiast w wypadku ich przegranej traciłby szanse na udział w premii zwycięzcy.

Najciekawsze, choć też bardziej dyskusyjne są rozdziały książki Françoise Thom poświęcone okresowi powojennemu. Błyskotliwie i prawdziwie opisała walkę starzejącego się i słabnącego fizycznie oraz intelektualnie despoty o odzyskanie pełni jednoosobowej kontroli nad państwem. W czasie wojny, zwłaszcza po niepowodzeniach jej pierwszej fazy, zmuszony był do racjonalnego delegowania sporej części władzy najbliższym współpracownikom. Teraz chciał te delegacje cofnąć, podejrzewając, że zostaną wykorzystane przeciw niemu. Snuł plany totalnej wymiany kadr w wierchuszce państwa, a więc nowej czystki. Zagrożeni byli wszyscy, całe stare Biuro Polityczne, a także zwycięscy marszałkowie.

Beria stawiał początkowo na gen. Andersa, a gdy ten go zawiódł – na Berlinga.

Tym razem, inaczej niż w latach 30., nie szli jednak pokornie na rzeź, lecz bronili się na różne sposoby: marsz. Żukowa w 1947 r. ratuje przed uwięzieniem otwarty sprzeciw kolegów, zwłaszcza Koniewa; czołówka partyjno-rządowa ucieka się do intryg. Françoise Thom śledzi je uważnie: „Beria i Malenkow wydali starcowi prawdziwą wojnę psychologiczną, systematycznie podsycając jego paranoję. Beria grał o przetrwanie i musiał dowieść Stalinowi, że jest mu niezbędny i że tylko jego osobiste kontakty pozwolą udaremnić próby zamachu, które bez tego mają wszelkie szanse powodzenia. »Zręcznie stał się jedynym informatorem towarzysza Stalina«, powie Mikojan". Aby odwrócić uwagę Stalina od siebie i swojej koterii, Malenkow i Beria napuszczają go na rywali z kompleksu biurokratyczno-przemysłowego w Leningradzie. Zyskują poparcie „ideologa" Żdanowa i w ten sposób rodzi się sprawa leningradzka, tracą życie Wozniesienski i Kuzniecow, ważni kierownicy gospodarki w czasie wojny. Podobne intrygi kryją się za sprawą lekarzy – „morderców w białych kitlach". Autorka kompetentny opis tych zbrodniczych intryg i rywalizacji dość nieoczekiwanie wieńczy domysłem: „...nienawiść Berii do Stalina była tak silna, że rozmyślnie popychał starego człowieka ku szaleństwu, aby przystąpić do podkopywania prestiżu, jakim nadal się cieszył. Beria rozpoczął destalinizację jeszcze za życia Stalina". Hipoteza dla Berii korzystna, ale zbyt wątła i, jak sądzę, za daleko idąca. Autorka zdaje się na siłę szukać we wcześniejszych zachowaniach Berii wyjaśnienia jego poczynań po śmierci despoty.

Beria niezwłocznie przejął ster destalinizacji. Uciekał do przodu. Inicjował i wymuszał decyzje. Amnestię, uwalniającą ponad milion więźniów, prawie połowę GUŁagu. Zakaz tortur w śledztwie. Uchylenie sprawy lekarzy i kampanii antyżydowskiej. Przywrócenie swobody

Pogrzeb Józefa Stalina, Moskwa, 9 marca 1953 r. Trumnę niesie m.in. Ławrientij Beria (pierwszy z prawej). Oprócz niego: Gieorgij Malenkow, Wiaczesław Mołotow, Nikołaj Bułganin i Łazar Kaganowicz.

FOT. WIKIPEDIA, LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

eprasa.pl ab0a4c82c6

podróżowania. Pohamowanie rusyfikacji w republikach narodowych. W polityce międzynarodowej zaczął sondować szanse neutralizacji Niemiec w zamian za likwidację NRD. Zarządził eksperyment z liberalizacją na Węgrzech. Françoise Thom zachwyca ta erupcja reform. Nazywa je pierestrojką. Widzi w Berii prekursora Gorbaczowa. Pisze: „(…) w ciągu stu czternastu dni po śmierci Stalina Beria podjął inicjatywy, które wszystkie wymierzone były w serce totalitarnego państwa radzieckiego. (...) Podjął starania, aby zlikwidować GUŁag, dokonał zdecydowanych cięć w imperium MWD, chciał wyemancypować narody ZSRR, rozluźnić morderczy uścisk Moskwy, w jakim znalazła się połowa Europy". Za to zapłacił głową, koledzy zawiązali spisek i go zniszczyli.

Niezupełnie tak. Beria gotów był odrzucić stalinowską politykę, ale wolał zachować stalinowskie państwo policyjne, supremację policji politycznej nad resztą. Zainstalował podsłuch kolegom z politbiura, zbierał na nich materiały, szykował rozprawę z nimi. Wiedzieli o tym, mieli wtyczki w MGB. W ZSRR rej wodziły trzy koterie: policji, aparatu partyjnego i generalicji. Wszystkie były zainteresowane destalinizacją, ale priorytety miały różne. Dla aparatu partii i generalicji najważniejsze było uzyskanie osobistego bezpieczeństwa, uwolnienie się od groźby czystek policyjnych. Beria tę właśnie cechę stalinizmu uosabiał i chronił. Dlatego zmówili się i 26 czerwca 1953 r. aresztowali go. Z pomocą wojska – gen. Moskalenko, gdy Chruszczow zaproponował mu wykonanie tej ryzykownej operacji, odpowiedział: „Z największą przyjemnością", marsz. Żukow zadbał zaś o jej powodzenie od zewnątrz. Wprowadził do Moskwy dwie elitarne dywizje, otoczył Kreml i koszary wojsk wewnętrznych.

Podzielam opinię autorki, że Beria został zgładzony wiele miesięcy przed procesem.

Berii i szóstce jego najbliższych pomocników urządzono w grudniu 1953 r. proces na stalinowską modłę – tajny, bez obrońców i świadków, bez apelacji i prawa łaski. Zapadły wyłącznie wyroki śmierci, wykonane niezwłocznie. Oskarżano też zgodnie z tradycją – o szpiegostwo. Ale to był już ostatni taki proces w ZSRR. Podzielam opinię autorki, że Beria w tym procesie uczestniczył jedynie sfingowanymi zeznaniami. Został zgładzony wiele miesięcy wcześniej, prawdopodobnie na początku lipca. Miał zbyt wielkie wpływy, obawiano się go żywego. Chruszczow do pozasądowej rozprawy z Berią aluzyjnie się przyznawał. Gen. Paweł Balicki z wojsk lotniczych, awansowany później na marszałka, przechwalał się, że osobiście go zastrzelił. Generałowie nie bawią się w urzędowych katów, od tego są niższe szarże. Ręce brudzą sobie tylko w zamachach pozasądowych.

Książka Françoise Thom, choć w wielu kwestiach dyskusyjna, bardzo wzbogaca wiedzę o stalinowskiej fazie historii Związku Radzieckiego.

Andrzej Werblan

Françoise Thom, *Beria. Oprawca bez skazy,* tłum. Krystyna Antkowiak, Prószyński i S-ka, Warszawa 2016

PARTNERZY MEDIALNI
K MAG MAGAZYN T3 Przegląd MOVIES ROOM.PL FILM film.com.pl Multikino muzo.FM

eprasa.pl ab0a4c82c6

OPOWIEŚĆ O MIEŚCIE, LUDZIACH I HISTORII

Ciekawostki z życia literackiego Warszawy, czyli o tym jak Gombrowicz chodził pieszo, żeby oszczędzić na taksówkach, a Boy sypiał w łóżku ze spanielką Gapą, która rano przynosiła mu gazety.

Lata dwudzieste i trzydzieste w Warszawie to okres niezwykłej erupcji talentów, barwnych historii i przemian samej stolicy. W Warszawie działali najwybitniejsi pisarze. To tutaj toczyło się różnobarwne życie artystyczne. Do dzisiaj krążą powstałe wówczas anegdoty. Autor pokazuje pisarzy od strony nie tylko zawodowej, ale i prywatnie, niejako w szlafroku.

Warszawscy literaci okresu międzywojennego byli ludźmi o bogatych osobowościach. Każdy z nich miał jakieś dziwactwo, coś go wyróżniało. Irzykowski nie umiał zawiązać krawata. Nosił więc tzw. krawatki, czyli niedbale zasupłane wstążki. Gałczyński i Nałkowska pisali zielonym atramentem, który dawał im natchnienie. Strug pisał na kolorowych kartkach. Boy używał maszyny do pisania i tylko poprawki dodawał ręcznie. Lubił zmieniać swoje teksty także w korektach.

Witkacy, Choromański i Giedroyć zażywali narkotyki, Dąbrowska brała strychninę. Lechoń był lekomanem. Tuwim cierpiał na agorafobię i całymi dniami nie wychodził z domu.
Unitowski i Słonimski nie mieli matury. Tuwim, Gałczyński i Broniewski nie ukończyli studiów. Broniewski i Sergiusz Piasecki siedzieli w więzieniu. Piasecki i Giedroyć mieli związki z polskim wywiadem.
Witkacy, Słonimski i Jan Nepomucen Miller pojedynkowali się. Słonimski, Dołęga i Nowaczyński brali udział w bójkach. Antoni Słonimski odbił Kazimierzowi Wierzyńskiemu narzeczoną, z którą się potem ożenił. Leśmian jeździł do Warszawy z Zamościa do kochanki, tłumacząc żonie, że jedzie kupić masło warszawskie, bo zamojskie jest gorsze. Po powrocie poety do domu okazywało się, że masło ma etykietkę mleczarni z Zamościa.

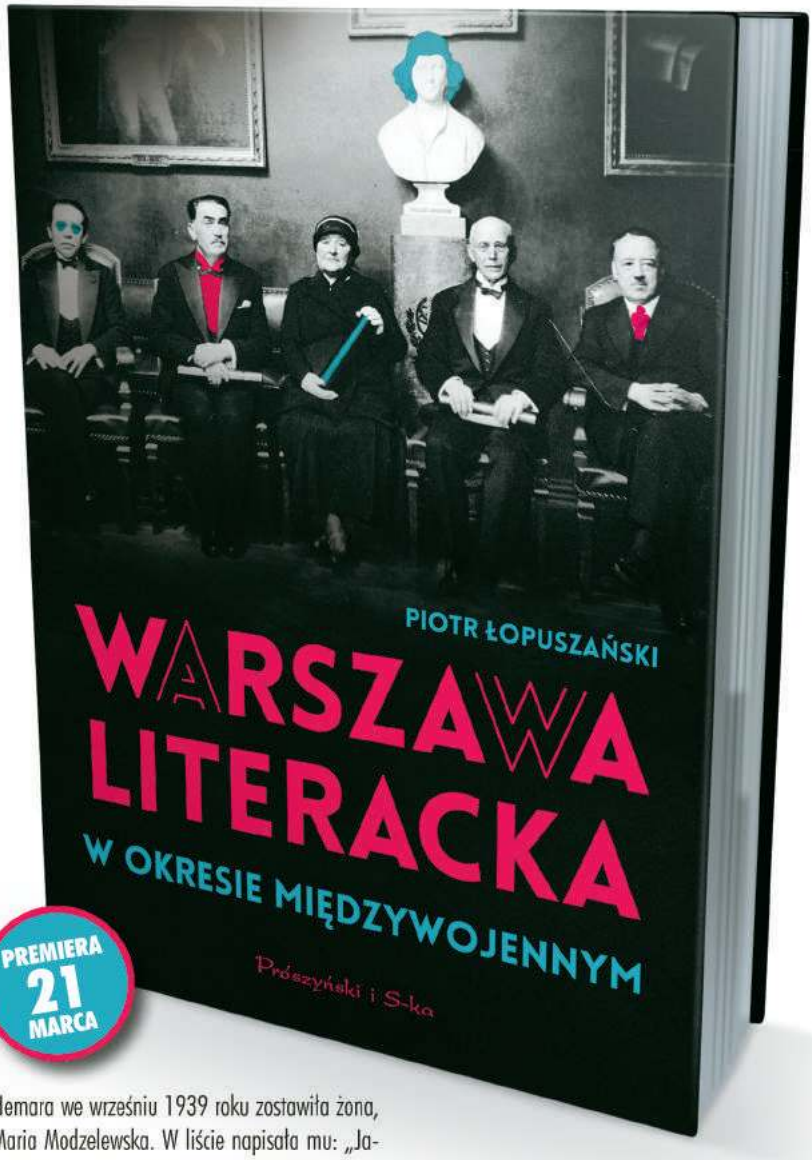

PREMIERA 21 MARCA

Hemara we wrześniu 1939 roku zostawiła żona, Maria Modzelewska. W liście napisała mu: „Jasiu, nie gniewaj się, musiałam, zostawiam ci Józię". Wspomniana Józia była jej matką.

Takie historie na tle Warszawy międzywojnia przedstawia Piotr Łopuszański w swojej książce.

PATRONAT MEDIALNY

Jedynka POLSKIE RADIO SKARPA

www.proszynski.pl

eprasa.pl ab0a4c82c6

LILIA WAWELU

Podobno Jadwiga, przyszła święta, zagrożona związkiem z Jagiełłą, skonsumowała kontrakt małżeński z młodym Wilhelmem Habsburgiem

Zbigniew Mikołejko

Confessio

To jasne: zakochałem się w tej pięknej truposzce, w tej najpiękniejszej może z polskich truposzek.

I nic mnie nie obchodzi, że to nekrofilia (wprawdzie nekrofilia mistyczna, ale zawsze przecież nekrofilia).

(…) Nie ja jeden, nie ja pierwszy. Czytam przecież tę fascynację u Jasienicy, w jego zapisie z ekshumacji królowej, i w jego portrecie, jakże feerycznym i jakże namiętnym, jej osobowości. Czytam ją w szkicu czaszki, jaki wykonał Jan Matejko 22 stycznia 1887 r. Czytam ją w żałobnej mowie jej kapelana i spowiednika Stanisława ze Skarbimierza (Skalbmierza), pierwszego rektora odnowionego jej staraniem uniwersytetu (…).

> Zakochałem się w pięknej truposzce i nic mnie nie obchodzi, że to nekrofilia.

Czytam ją w tym kamieniarskim ciosaniu „stopki królowej", dziele XIV-wiecznego rzemieślnika na zewnętrznym murze krakowskiego kościoła karmelitów trzewiczkowych na Piasku. I wspominam, jak któregoś grudniowego wieczora Dymitr Szewionkow-Kismiełow, moskiewski grafik z Krakowa, instruował mnie z przejęciem: „Jak – o, tutaj – włożysz palec przez kratę, to wymacasz kształt dużego paluszka jej stópki". (…)

Pierwszy dramat ciała

„Postanowiono, że 34-letni Jagiełło zostanie mężem 11-letniej Jadwigi" (Paweł Jasienica, „Myśli o dawnej Polsce").

Drugi dramat ciała

Jest taki obraz Matejki z 1881 r.: „Dymitr z Goraja wstrzymujący drzwi na zamku w Krakowie", który pokazuje tę sprawę od innej (?) strony.

O co chodzi w tym narodowo-erotycznym dziele? „Uwielbiany przez Matejkę Długosz powiada, że Jadwiga, zagrożona związkiem z Jagiełłą, zdecydowała się na brawurowy wyczyn, a mianowicie na skonsumowanie kontraktu małżeńskiego zawartego wcześniej z młodym Wilhelmem Habsburgiem, który – wyrzucony z Wawelu – pomieszkiwał sobie na mieście.

»A gdy wrota zamkowe z rozkazu panów przed nią zawarto – pisze Długosz – porwawszy siekierę, którą jej słudzy podali, własną ręką usiłowała je wyrąbać«. Szczęściem podskarbi Dymitr z Goraja potrafił jej wyperswadować niewczesny pomysł. I co widać na obrazie? Ano właśnie to. Pozostaje szkolne pytanie: »co artysta chciał przez to powiedzieć?«. Zapewne był po stronie Dymitra, bo gdyby nie jego interwencja, ślub Jadwigi z Jagiełłą nie doszedłby do skutku i nie byłoby komu wygrać grunwaldzkiej batalii. (…)

Sprawa jest o tyle złożona, że Długosz w innym miejscu wspomina, iż nie dość, że Jadwiga w towarzystwie austriackiego księcia uczestniczyła w rozmaitych tańcach i zabawach, to jeszcze przed próbą wyłamania bramy – pragnęła »uzupełnić sprawę małżeńską«. Karol Szajnocha, którego »Jadwigę i Jagiełłę« Matejko z pewnością czytał [...] skrupulatnie odnotowuje opinie historyków utrzymujących, że Jadwidze udało się jednak »uzupełnić« to, co trzeba. Może więc na obrazie Matejki dziewczyna pragnie wyłamać drzwi, aby zrobić to po raz drugi? Jak było naprawdę, nie dowiemy się nigdy, jednakże nie ma wątpliwości, że malarz stawia przyszłą świętą w dość dwuznacznym świetle" (Jarosław Krawczyk, „Jan Matejko. Mistrz legendy św. Stanisława").

Portret królowej Jadwigi pędzla Marcella Bacciarellego.

Wydarzenia stojące u podstaw tego dramatu zaczynają snuć się niemal zaraz po przyjściu Jadwigi na świat, co nastąpiło gdzieś pomiędzy 3 października 1373 r. a 18 lutego 1374 r. w stołecznej Budzie. Była ona trzecią córką Ludwika Wielkiego (Węgierskiego) oraz jego drugiej żony Elżbiety Bośniaczki, słynącej z urody. Jak mówi hagiograf, „nad kołyską Jadwigi nie było radości", ponieważ Ludwik oczekiwał syna, upragnionego następcy tronu.

„Mimo to 18 sierpnia 1374 r. arcyksiążę austriacki Leopold III Habsburg zwrócił się do Ludwika z prośbą o połączenie symbolicznym związkiem małżeńskim półrocznej Jadwigi i swojego najstarszego syna Wilhelma, wówczas czteroletniego. W potwierdzeniu z 4 marca 1375 r. Ludwik przystał na ten projekt. Trzy lata później w pogranicznym – od strony austriackiej – Hainburgu (niedaleko Bratysławy, położonej na drugim brzegu Dunaju) odbyło się uroczyste spotkanie dworów austriackiego i węgierskiego. Aktu »wstępnych« za-

eprasa.pl ab0a4c82c6

ślubin, zwanych *sponsalia de futuro*, dokonał 15 czerwca 1378 r. arcybiskup ostrzyhomski Dymitr.

Potem na zamku przeprowadzono zwyczajowe dopełnienie obrzędu, czyli tzw. pokładziny, polegające na tym, że czteroletnia Jadwiga i ośmioletni Wilhelm spali przez dwa tygodnie w jednym łóżku. Równocześnie rodzice obu stron zobowiązali się wypłacić »młodej parze« po 200 tys. florenów do dnia 23 kwietnia 1384 r. W Hainburgu postanowiono, że Jadwiga wyjedzie na dwór wiedeński. W swoim nowym domu miała wrosnąć w tradycje i atmosferę habsburskiego państwa – aż do chwili realnego, dojrzałego małżeństwa z Wilhelmem *(sponsalia de praesenti)*. Za wiek dojrzały uważano wówczas ukończone 12 lat w przypadku panny i 14 lat w przypadku młodzieńca" (Zbigniew Gach, „Poczet kanonizowanych świętych polskich").

Jednak pobyt Jadwigi na wiedeńskim dworze trwał zaledwie 11 miesięcy, gdyż nastąpił radykalny obrót losu i związanych z nim planów sukcesyjnych Ludwika. Zmarła oto niespodziewanie najstarsza z jego córek, Katarzyna, co sprawiło, że Ludwik przeznaczył tron polski dla Marii (symbolicznie poślubionej w 1375 r. Zygmuntowi Luksemburczykowi), węgierski zaś – dla Jadwigi. Tym samym wartość jej dla Habsburgów niepomiernie wzrosła i Leopold III zażądał od Węgrów dotrzymania zobowiązań. Ludwik potwierdził je formalnie 12 lutego 1380 r., na zjeździe

Nie liczyło się, czy kwiatek cnoty Jadwigi wziął młody Habsburg, czy podstarzały syn Olgierda.

w słowackim Zwoleniu, przyrzekając, że po skończeniu 12 lat Jadwiga zostanie odesłana Wilhelmowi dla rzeczywistego już dopełnienia małżeństwa.

Los chciał wszakże znowu inaczej: Ludwik zmarł we wrześniu 1382 r., Węgrzy zaś natychmiast obwołali Marię swoją królową. W tej sytuacji panowie polscy zdecydowali, na razie jednomyślnie, że władczynią Polski zostanie właśnie Jadwiga, do czego przychyliła się też węgierska królowa wdowa Elżbieta. Nie wszystkim to się spodobało. (...)

Nie spodobało się to oczywiście przede wszystkim Habsburgom, którzy zażądali od Elżbiety Węgierskiej potwierdzenia dawniejszych umów. I otrzymali je na piśmie! W sierpniu 1385 r. książę Wilhelm zjechał więc strojnie i butnie do Krakowa,

Postanowiono, że 34-letni Jagiełło zostanie mężem 11-letniej Jadwigi.

zatrzymując się u swojego poplecznika, Gniewosza z Dalewic (...). Ale małopolscy panowie nie zamierzali wpuścić Habsburga do Jadwisinego łoża i, bardziej jeszcze, na polski tron (...). Istnieją jednak wiarygodne przekazy, że Jadwiga spotkała się kilkakrotnie z Wilhelmem w klasztorze franciszkanów: ponoć w towarzystwie osób trzecich, ponoć tylko na biesiadzie i tańcach...

Kto wie jednak, jak tam naprawdę było. (...) Może prawdziwe były jakieś plotki kronikarzy habsburskich i krzyżackich.

Ale nieważne było tu dziewictwo tej panny.

Nie liczyło się bowiem, czy kwiatek jej cnoty wziął młody Habsburg, czy też przypiął go sobie do kożucha podstarzały już syn Olgierda.

Liczyło się tylko potężne królestwo, władza nad nim.

Zatem 18 lutego 1386 r. abp Bodzanta, w asyście biskupa krakowskiego Jana Radlicy oraz biskupa poznańskiego Dobrogosta, udzielił ślubu Jagielle i Jadwidze.

Zatem Jadwiga wygłosiła tuż przed ślubem deklarację, że unieważnia wszystkie umowy co do jej zamążpójścia zawarte przez rodziców, nie sądząc, by obowiązywały ją „w sumieniu" (a Litwini zwrócili wcześniej owe 200 tys. florenów posagu,

Dymitr z Goraja powstrzymujący Jadwigę od wyłamania drzwi na zamku królewskim w Krakowie, obraz Jana Matejki.

eprasa.pl ab0a4c82c6

zawarowane w kontrakcie Ludwika z Leopoldem III). Zatem ofiara została spełniona. Zatem 4 marca tegoż roku mogła zostać przeprowadzona koronacja Jagiełły na króla Polski.

Niejeden już (…) podziwiał i podziwia szczęście życiowe Jagiełły: jako wiano przepięknej, może nawet najpiękniejszej w ówczesnej Europie, kobiety, spadkobierczyni wielkiej kultury łacińskiej, wielki i przebiegły Olgierdowicz dostał oto koronę silnego i ucywilizowanego państwa Zachodu. Dostał wsparcie – militarne i polityczne – dla fatalnych, nadmiernie rozległych interesów litewskich w ruskich dziedzinach i skuteczną obronę przed krzyżacką ekspansją. Dostał wreszcie, prawie za bezcen, instrument bezkrwawej i stopniowej adaptacji zacofanego i w znacznej mierze pogańskiego kraju do *universum christianum*.

Ale szczęście trwało krótko i dramatycznie. Nie dawszy bowiem tak wyczekiwanego następcy tronu, Jadwiga umarła, ledwie wkroczywszy – nawet według miar średniowiecznych – w młodość.

Trzeci dramat ciała

Jadwiga umarła, mając lat niespełna 26, w południe 17 lipca 1399 r. – w cztery dni po trzytygodniowej córeczce Elżbiecie Bonifacji, którą powiła przedwcześnie i z którą kazała się pochować w jednej trumnie. (…)

Mówi zresztą hagiograf: „U progu 1399 r. Jadwiga zaczęła się wycofywać z życia politycznego, ponieważ była brzemienna. Wzruszona, rozradowana tym faktem, ulegała jednak również niepokojowi, albowiem – jak mówiła – pora macierzyństwa bywa częstokroć porą śmierci. Okres ciąży znosiła niedobrze, toteż odsunęła się w ciszę i samotność. Wiele czasu poświęcała modlitwie. Podczas gdy inni przepowiadali jej potomkowi świetlaną przyszłość monarchy, przesyłając drogie tkaniny i sprzęty do udekorowania komnaty, w której miał się odbyć poród, Jadwiga ze smutkiem przeczuwała rychłe spotkanie ze Stwórcą. W liście do nieobecnego w Krakowie męża napisała: »Panu Niebios, który pozbawiwszy mnie hańby bezpłodności, obdarzył płodnością, nie chcę się podobać w blasku drogich kamieni i złota, ale w skromności i łagodności«" (Zbigniew Gach, „Poczet kanonizowanych świętych polskich").

Insygnia królewskie wydobyte z grobu Jadwigi.

Tak się też stało: w testamencie, spisanym na łożu śmierci, wszystkie swoje klejnoty zapisała odnowionemu uniwersytetowi krakowskiemu. (…)

•

„12 lipca 1949 r. nie wpuszczano turystów do katedry wawelskiej. [...] Wewnątrz kościoła było zupełnie cicho. [...] Niedaleko głównego ołtarza, po stronie Ewangelii, olbrzymia płyta piaskowcowa, na której białawym spodzie widniały ślady dłut sprzed pięciu wieków, była już uniesiona i podparta silnymi belkami. Niczym wieko wielkiego pudła wznosiła się nad otwartym grobem królowej Jadwigi. Trumna, dużych rozmiarów, szarobrązowa prostopadłościenna skrzynia, stała jeszcze na dole, w mroku. Częściowo spróchniałe deski pokrywy pozwalały zajrzeć do wnętrza, między drzazgi i włókna zetlałego drewna, w jednolity brunatny kolor, znaczony miejscami sinawą plamą pleśni. Zdawało się, że cała ta warstwa leży wprost na dnie trumny i że ze szczątków monarchini niewiele ocalało. Zapalono silne reflektory.

Pod wiotkim pokryciem próchna od razu zarysował się przebieg ludzkiej goleni, zgrubienie kolana, kształt piszczeli. Zwłoki leżały głową w kierunku nawy, zupełnie tak jak wszystkie niemal rzeźbione postacie na wawelskich sarkofagach. Jedyny wyjątek stanowi... biały grobowiec Jadwigi, wyrzeźbiony przez Madeyskiego w roku 1902 i przez 47 lat pusty.

Królowa faktycznie ofiarowała wszystkie klejnoty na Akademię Krakowską.

Wszedł kard. Adam Stefan Sapieha; za chwilę robotnicy podźwigną trumnę. Oplątali ją białymi taśmami z lnu, zdjęli deski wieka. Ostry blask lamp wydobył na jaw wszystko. Tam, w głębi, było o wiele mniej próchna. Od ściany do ściany płasko słały się zwoje materii, jak gdyby opony szerokiego płaszcza. Kulisty szary kształt to jabłko królewskie. A ten dalszy, większy, to czaszka. Spod gładko przylegającego całunu czerniała wnęka oczodołu. [...] Kilku ludzi chwyciło za końce taśm, trumna wolno dźwignęła się z kamiennego dołu. Pochód ruszył w milczeniu ku katedralnemu skarbcowi.

[...] Otwarcie sarkofagu i zbadanie zwłok nakazały władze duchowne. Wymagał tego beatyfikacyjny proces królowej Jadwigi. Piękny jest odwieczny ceremoniał Kościoła. Dwaj biegli, prof. Jan Olbrycht i dr Marian Kusiak, klęcząc na posadzce przed kardynałem, złożyli przysięgę sumiennej pracy. (…)

[...] Każdy szczegół zostaje dokładnie obejrzany i odłożony na przewidziane miejsce na jednym ze stołów. W specjalnie przysposobionych skrzyniach przechowywane będzie wszystko, co tylko znajdowało się w grobowcu, gdyż nie może być wyrzucone lub ulec zniszczeniu.

eprasa.pl ab0a4c82c6

Stoi też w skarbcu trumna miedziana oraz druga – drewniana, zewnętrzna. W nich znowu spoczną szczątki królowej. Gruz zniknął, by brunatnymi zwałami spiętrzyć się na stołach. Teraz już wyraźnie widać fałdy zetlałej szaty, a pod nimi dokładny zarys całkowitego szkieletu człowieka. Za chwilę dłonie profesorów cal po calu usuną na bok brązowe płachty, które były niegdyś purpurowym monarszym adamaszkiem. Miał rację Jan Długosz, mieli ją i Krzyżacy, kiedy zachwycali się urodą polskiej królowej.

W dłoniach biegłego znajduje się czaszka. Jest bardzo kształtna, bez cienia asymetrii. Antropolog, prof. Stołyhwo, powie nazajutrz, że wnioskując z form kości, nos musiał być prosty lub z lekka orli. Ruda barwa znalezionej resztki włosów pochodzi od działania kwasów humusowych. Za życia włosy musiały być jasne. Zęby nadzwyczaj kształtne, bez najmniejszych śladów próchnicy. Przed śmiercią został stracony tylko jeden, pierwszy trzonowy po prawej stronie. Wstępne pomiary antropologiczne wskazały, jeśli chodzi o rasę fizyczną, na typ śródziemnomorski i dynarski. To by się najzupełniej zgadzało z prawdą, a różniło od rozpowszechnionych przekonań, które najniesłuszniej w świecie uznają Jadwigę za Węgierkę. Nosiła francuskie nazwisko Anjou, dziad jej »po mieczu« był królem węgierskim, lecz rodowitym Francuzem. Obie babki – Polki jednego imienia: Elżbieta Łokietkówna i Elżbieta księżniczka kujawska, córka Kazimierza III inowrocławsko-gniewkowskiego. Mąż tej ostatniej (a więc macierzysty dziad naszej królowej) wnosił cechę egzotyki bałkańskiej. Zwał się Stefan Kotromanicz i był banem Bośni.

Streszczając te wywody: ojciec i matka – Ludwik Wielki węgierski i Elżbieta bośniacka – byli na wpół Polakami.

Na białym bez skazy płótnie ręce lekarzy złożyły cały szkielet. Widok wprawiał w zdumienie. Protokół końcowy stwierdził, że zmarła była wysokiego wzrostu, lecz nie przesadnie. Pierwszego dnia badań słyszało się nieoficjalne opinie, że liczyła od 179 do 185 cm. Była na pewno o wiele roślejsza od Władysława Jagiełły. Wyjątkowo potężne, lecz zarazem wysmukłe kości dowodziły idealnie proporcjonalnej budowy, sylwety – pomimo wzrostu – lekkiej i smukłej.

Msza kanonizacyjna błogosławionej królowej Jadwigi na Błoniach w Krakowie, 1997 r.

[...] Na bocznych stołach zebrano wszystkie rzeczy znalezione w trumnie, a nienależące do zwłok. Więc przede wszystkim resztki szaty, która zakrywała całe ciało wraz z głową i była podesłana od spodu. Stało się jasne, że kiedy w XVII stuleciu wkładano szczątki do nowej trumny – tej obecnie wydobytej – samych zwłok w ogóle nie poruszono. Dolna deska starej modrzewiowej trumny posłużyła za mary. Dźwignięto ją i wraz z całym brzemieniem włożono do nowej skrzyni, sosnowej. Oba spody spróchniały, potworzyły się w nich otwory i właśnie dlatego gruz, zalegający samo dno jamy grobowej, musiał być szczegółowo zbadany.

Jadwiga przed ślubem unieważniła wszystkie umowy co do jej zamążpójścia zawarte przez rodziców.

[...] W trumnie nie znaleziono żadnych kosztowności. Jabłko królewskie i berło były drewniane, ze śladami pozłoty. Najpierw odszukano krótką, wieloboczną rękojeść berła, później – między fałdami opończy – poszczególne części długiej, toczonej łodygi oraz późnogotyckie zwieńczenie. Ramionka krzyżyka z jabłka, który się rozpadł, pasowały do siebie doskonale, dały się złożyć. Wycinane strzępki skóry, leżące w pobliżu głowy, świadczyły, że korona nie była ze złota ani nawet z metalu. Królowa Jadwiga ofiarowała wszystkie swe klejnoty na Akademię Krakowską, o czym od dawna wiadomo z kronik. W trumnie znalazło się potwierdzenie ich prawdomówności. W ogóle wszystko się zgadzało. Historycy stwierdzili, że autentyczność grobowca i zwłok nie może być podawana w najmniejszą wątpliwość.

[...] 13 lipca wieczorem badanie zwłok dobiegło końca. Prof. Olbrycht przeczytał protokół lekarski. W trumnie spoczywały zwłoki wysokiej, młodej, najwyżej 28-letniej kobiety, zmarłej kilkaset lat temu z nieustalonych przyczyn. (...) Zwłoki złożono w miedzianej trumnie wysłanej białym jedwabiem, który pierwotnie przeznaczony był na ornat dla wawelskiej katedry.

14 lipca o godzinie piątej wieczorem pochowano je w białym sarkofagu dłuta Antoniego Madeyskiego. Zgodnie z decyzją kard. Sapiehy uroczystość miała przebieg krótki i skromny. Nie było żadnych obwieszczeń. Jednak wiadomość przeniknęła do miasta i na Wawel przyszło sporo ludzi. Pozostałym dzwon Zygmunta ogłosił, że dzieje się coś niezwykłego. Grobowiec natychmiast okryły naręcza białych i czerwonych kwiatów" (Jasienica, „Myśli..."). (...)

FOT. WIKIPEDIA (2), WIESŁAW M. ZIELIŃSKI/EAST NEWS, MACIEJ MACIERZYŃSKI/REPORTER

eprasa.pl ab0a4c82c6

•

Jadwiga uniezależniła się inaczej od kaprysów pamięci. Nie dotknął jej również specyficzny dystans Kościoła powszechnego, który przez setki lat zdawał się ignorować polski kult ludowy (i narodowy) z nią związany. Trudno oczywiście prześledzić wszystkie zakola i odnogi owego kultu, wszystkie jego przejawy. Ważne to jednak, że pojawił się on niemal tuż po śmierci pięknej i pobożnej królowej i zaowocował, jeszcze za życia Jagiełły, pierwszymi polskimi staraniami o kanonizację. Rosła szybko także jej legenda ludowa i kierująca się ku niej pobożność ludu, błagającego ją o wstawiennictwo w różnych życiowych potrzebach i dramatach. A pod rozbiorami liczne publikacje polskie, religijne i świeckie, mówiły o niej po prostu jako o „świętej" i „patronce narodu". W tym porządku mieściło się również dokonane 22 stycznia 1887 r. otwarcie grobu. Jednak Kościół rzymski bardzo długo zachowywał wstrzemięźliwość i reagował nieskoro na składane mu propozycje. Gdy więc w maju 1909 r. biskup przemyski Józef Sebastian Pelczar zwrócił się do papieża Piusa X z prośbą o beatyfikację, został odesłany grzecznie do Kongregacji Obrzędów. (…)

Próby zebrania materiałów do procesu beatyfikacyjnego podjęto następnie w latach 30. XX w., a ich uwieńczeniem stała się właśnie dokonana na polecenie kard. Sapiehy ekshumacja i translacja z 22 kwietnia 1949 r. Jednak i to staranie uznano w Watykanie za niedostatecznie udokumentowane. W obu wypadkach pretekstem stał się brak tzw. formularzy liturgicznych ku czci Jadwigi.

Kolejny proces rozpoczęto w 1972 r. i zakończył się on wydaniem dwa lata później orzeczenia o istnieniu kultu Jadwigi przed 1534 r. W 1979 r. w watykańskiej Kongregacji do spraw Beatyfikacji i Kanonizacji opracowano też, na podstawie dostarczonych z Polski dokumentów, brakujące formularze liturgiczne i zatwierdzono ich przekład. A 8 czerwca tegoż roku Jan Paweł II ogłosił to na Wawelu (…).

10 czerwca 1987 r. miała wreszcie miejsce, pod osobistym przewodem Jana Pawła II, druga translacja szczątków: przełożono je do nowej trumienki, umieszczono w relikwiarzu z brązu i ustawiono we wnęce wawelskiego ołtarza z Czarnym Chrystusem, czyli „ołtarza królowej Jadwigi".

A niemal 10 lat później – 8 czerwca 1997 r. – w obecności półtoramilionowego tłumu – Jan Paweł II kanonizował ją podczas mszy na krakowskich Błoniach, mówiąc o jej „jasności", o jej „służbie", o jej „chrześcijańskich zasadach" i „społecznym zaangażowaniu", o jej „wierze poszukującej zrozumienia", powiązanej z troską o kulturę oraz dobrobyt państwa.

Skróty i ilustracje pochodzą od redakcji

Fragmenty książki Zbigniewa Mikołejki *Żywoty świętych poprawione ponownie*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2017

eprasa.pl ab0a4c82c6

Człowiek od brudnej roboty

Nawet Solidarność w MSZ krytykuje rządową nowelizację Ustawy o służbie zagranicznej. Już o niej pisaliśmy, oficjalnie jest przedstawiana jako desowietyzacja ministerstwa, sposób na wyrzucenie z niego byłych współpracowników SB. W praktyce chodzi o coś innego – o wyczyszczenie resortu z „zaciągu Geremka", z tych dyplomatów, którzy przyszli w latach 90. bądź późniejszych i kojarzeni są z byłym ministrem. Lub inaczej – nie są kojarzeni z PiS.

Zamiar jest więc prosty – chodzi o to, żeby zmienić kadrowo polską dyplomację. W ciągu sześciu miesięcy ma zostać dokonana weryfikacja wszystkich urzędników pracujących w MSZ, czyli 3664 osób. Czy to się uda? Na razie nie widać siły, która tę operację mogłaby zatrzymać. Mimo że, jak pisze Solidarność w MSZ do premier Szydło, nowa ustawa „zburzy kompetencyjną hierarchię służby zagranicznej, obniży jej jakość i otworzy drogę do kierowniczych stanowisk w służbie zagranicznej osobom bez należytego przygotowania, co będzie dysfunkcjonalnie oddziaływać na sposób zarządzania służbą zagraniczną (…). Bezprecedensowe obniżanie wymagań w odniesieniu do kwalifikacji kadry kierowniczej będzie miało także demoralizujący wpływ na młodych stażem pracowników służby zagranicznej, którzy otrzymają przesłanie, że nie kwalifikacje, rzetelna praca i doświadczenia są podstawą awansu zawodowego".

Tyle Solidarność, a teraz parę zdań o osobie, która tę czystkę będzie przeprowadzać, czyli dyrektorze generalnym Andrzeju Jasionowskim.

Jasionowski to rocznik 1964. Karierę zaczynał w Łodzi jako działacz jeszcze podziemnego NSZ. Potem przeniósł się do Warszawy, gdzie szefował klubom studenckim, a później trafił do UOP (w sumie klasyczna droga kariery działacza młodzieżowego tamtych lat). Z UOP przerzucono go do MSZ. I tu też według schematu. Pracował w ambasadzie w Lagosie, potem był konsulem w Ałma Acie. Jeszcze później w Szwecji i Finlandii. W roku 2006 został dyrektorem Departamentu Konsularnego i Polonii.

Czyli był wszędzie i nigdzie, za to miał opinię ulubieńca minister Fotygi i kolegi Mariusza Kamińskiego.

PO wynagrodziła go szczodrze, wysyłając na ambasadora do Serbii. Kiedy w Sejmie pytano go, dlaczego nagle zainteresował się Bałkanami, tłumaczył tak: „Trudno mi odpowiedzieć na pytanie o moją znajomość Bałkanów. Każdy może powiedzieć, że zna ten region bardzo dobrze lub nie najlepiej. Bywałem tam nie tylko turystycznie, ale np. w okresie wyborów w Kosowie podczas misji OBWE. Nie ukrywam, że z kilku propozycji, które otrzymałem, Serbia wydawała mi się najlepszą dla mnie propozycją, jeśli chodzi o mój rozwój zawodowy i spełnienie swoich osobistych oczekiwań".

W Polsce Ludowej zasłużonych towarzyszy wysyłano do krajów socjalistycznych, do NRD, Czechosłowacji albo Mongolii. Jasionowskiego posłano do Serbii. Jakoś to przeżył. A teraz jest w Warszawie i będzie robił to, co on i jego kumple lubią najbardziej – grzebał w teczkach personalnych i weryfikował.

Attaché

Pod kontrolą i ochroną – urzędniczka Pakistańskiego Urzędu Statystycznego zaznacza posesję po uzyskaniu informacji o liczbie mieszkańców. Spis, pierwszy od 20 lat, może wpłynąć na nowy układ sił w parlamencie. Karaczi, 15 marca.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ab0a4c82c6

JOLKA

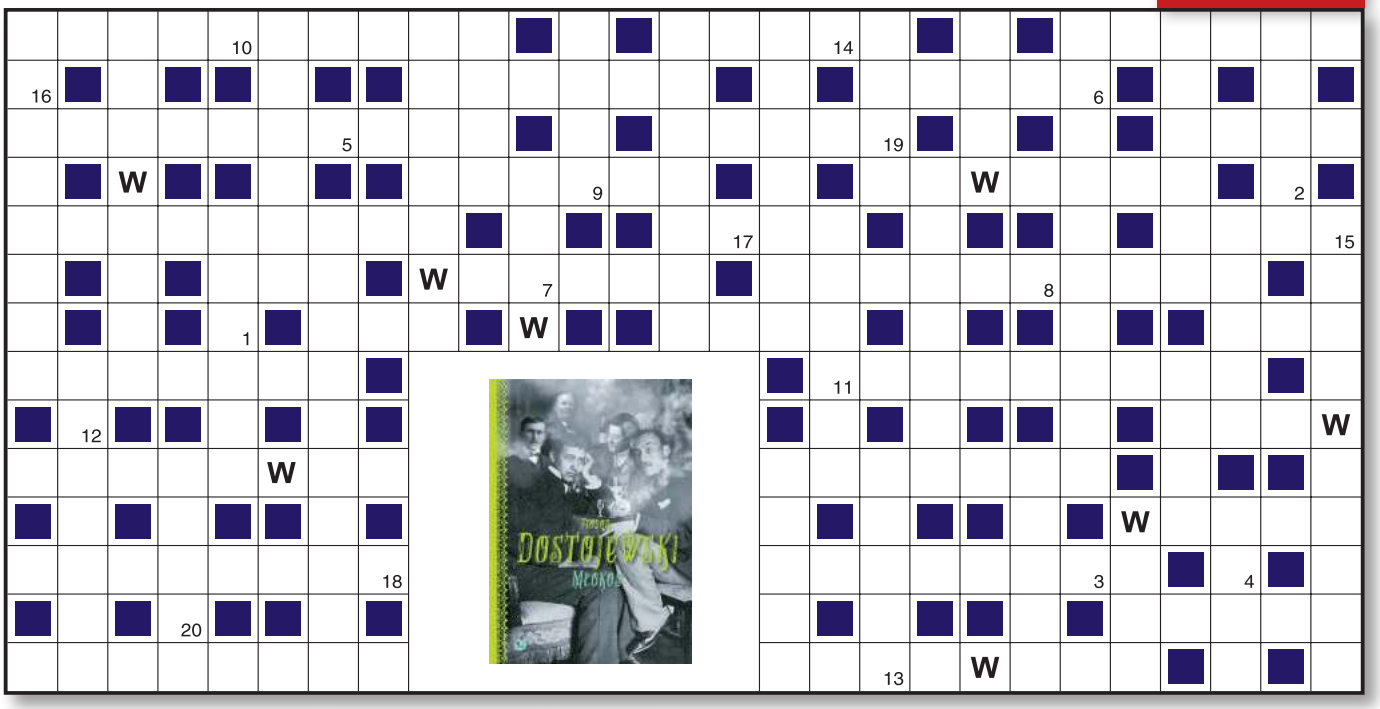

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery W ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- z jego żebra Ewa
- nadpobudliwość psychoruchowa dzieci w skrócie
- gdy podejrzany był gdzie indziej
- instrument muzyków country i jazzowych, na podobnym grał Grzesiuk
- stanik
- szal jak wąż
- śmieszka
- łobuz, rozrabiaka
- Alex z thrillerów i wyścig przełajowy
- pity z tonikiem
- ogólny nieład, zamęt, poplątanie
- materiał opatrunkowy i miasto
- ciągle by jadł
- drobny kupiec
- jeździectwo
- ma rzesze fanów
- imię Krefft, Uli z „M jak miłość”
- blokowany podczas kontroli biletów
- tragiczne w skutkach zdarzenie
- krzyżacki zwierzchnik okręgu
- przedstawiciel cywilizacji pozaziemskiej
- suma pieniędzy zapłacona za coś
- chronologiczny zapis wydarzeń
- „zaroślowe” propagowanie
- wypijana lub zapalana nocna
- miasto przy ujściu Saony do Rodanu
- nóż do wycinania ścieżek w dżungli
- prestidigitator
- brunatny syrop, powstaje przy wyrobie cukru
- pomost w morze
- księga dla księdza
- kulszowy lub błędny
- goryle w garniturach
- na dawne żołnierzyki
- upowszechnianie wykształcenia i kultury
- wiertnicza lub widokowa
- do niego, gdy gościec
- świętojański to świetlik
- impet, śmiałość działania
- do odprowadzania deszczówki
- malec, szkrab
- autor „Czasu nadziei” i Jon z „Gry o tron”
- dwie do łapania za ogon
- skorupiak lądowy w szczelinach murów
- roślinnie i zdrobniale o młokosie
- okręt wojenny i motocykl
- pudełeczko z tytoniem
- rowerowa dwójka
- znawca religii
- więcej niż duo
- kłąb kurzu, śniegu
- nieuprawiane pola
- materiał skalny odrywający się od stoku
- dźwięk silnika i psie ostrzeżenie
- lejce, często puszczane fantazji
- uszkodzony statek, auto
- nierównoległe ustawienie gałek ocznych
- stołek

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-799”. Do rozlosowania książki „Młokos” ufundowane przez wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.799.DZIEŃ DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 26 marca 2017 r.
Rozwiązanie „JOLKI-796” z 5 marca: *Szczery wzroku nie ukrywa.*
Nagrody otrzymują: **Cecylia Czerzniewska z Suwałk, Jerzy Popiołek z Olsztyna, Andrzej Sokolnicki z Głogowa.**

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS

1. Odczytaj hasło od pola różowego do różowego. W polu żółtym masz pseudonim autora.
2. Znajdź identyczne nożyczki.

Masz na to pół minuty.

a	r	#	i	i	z	d	ę	b
k	a	#	#	e	#	.	■	#
#	N	b	u	■	m	ć	ś	e
z	l	e	i	s	i	K	e	i
d	e	z	b	ł	a	#	j	n
	c	r	y	#	c	o	■	#
	h	n	i	e	,	#	b	o

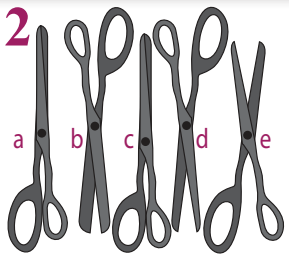

Rozwiązanie na s. 64

eprasa.pl ab0a4c82c6

JUREK OWSIAK, FUNDACJA WIELKIEJ ORKIESTRY ŚWIĄTECZNEJ POMOCY

Szefowa „Wiadomości" stwierdziła, że nie ma obowiązku podawania informacji o rekordowym wyniku zbiórki. Ale tu się bardzo pomyliła, gdyż konstytucyjnym obowiązkiem mediów publicznych jest podawanie ważnych informacji, które interesują miliony płacących abonament Polaków. Moim zdaniem złamano nie tylko dobre obyczaje, etykę dziennikarską, ale także prawo. Trzy miesiące przed ostatnim finałem zrobiono badania opinii publicznej (nie na nasze zlecenie), jak odnosi się do Orkiestry elektorat PiS. Okazało się, że 87% badanych wyborców Prawa i Sprawiedliwości było do nas pozytywnie nastawionych.

ANDRZEJ SKWORZ, REDAKTOR NACZELNY

Nigdy nie rozumiałem atencji, jaką darzyli Czabańskiego prawicowi dziennikarze. Ja pamiętam, że gdy Sąd Najwyższy zakwestionował przejęcie „Wprost" przez firmę Marka Króla ze szkodą dla założonej w tym celu spółdzielni dziennikarskiej, to właśnie Krzysztof Czabański jako szef Komisji Likwidacyjnej RSW „Prasa-Książka-Ruch" podpisał ugodę z byłym sekretarzem KC PZPR. Gdy więc teraz czytam, że PiS chce repolonizacji mediów, bo Komisja Likwidacyjna źle dysponowała majątkiem – ogarnia mnie pusty śmiech.

PROF. JAN WOLEŃSKI, FILOZOF, PRZEWODNICZĄCY KOMITETU ETYKI W NAUCE PAN

W Polsce nauka jest drastycznie niedoinwestowana, poniżej 1% budżetu państwa. To się przekłada na postawy. Ludzie są sfrustrowani, a frustracja, jak wiadomo, rodzi agresję. Mamy do czynienia z dzikimi wręcz przypadkami rywalizacji o pieniądze na badania. We wnioskach o granty autorzy przypisują sobie rozmaite przymioty, jakimi nie przystoi się chwalić. Sprzyja temu fakt, że cały proces przyznawania grantów jest objęty klauzulą tajności, że niejasne są procedury recenzowania wniosków, drogi odwoływania się od decyzji itd. Fama głosi, że bardzo dużo grantów jest z góry „ustawionych".

EWA BŁASZCZYK, AKTORKA, ZAŁOŻYCIELKA KLINIKI BUDZIK

Technologie są coraz doskonalsze, specjaliści mają coraz lepsze wykształcenie, ale to ludzka wytrwałość i wyobraźnia doprowadzają do powstania takich ośrodków jak Budzik. Oczywiście stworzenie ośrodka to nie wszystko. Równie ważny, a może nawet ważniejszy jest odpowiedni pomysł na jego funkcjonowanie. Marzy mi się, żeby obok Budzika powstała druga stacja – dla tych, którym się nie udało wybudzić, ale mają minimalną świadomość. Dla nich jest jeszcze komórka macierzysta czy stymulator.

FOT. AFP/EAST NEWS

Ciężkie obowiązki miewają kobiety na głowie. Mieszkanki Ngop w Sudanie Południowym wracają z punktu pomocy humanitarnej.

Aby język giętki…

DANIEL PASSENT O BEACIE SZYDŁO
Kamienna twarz, determinacja, wierność monologowi, jaki dla niej napisano.

PROF. JERZY STELMACH O WŁADZY
Ta władza zrobi wszystko, przeciwko czemu nie zaprotestujemy.

KAZIMIERZ KUTZ O ŚLĄZAKACH
Ślązacy są dla Polaków tym, kim byli dla Niemców: obywatelami drugiej kategorii.

WIKTOR ZBOROWSKI O SPRZĄTANIU PO PATRIOTACH
Na aucie mieli powstanie warszawskie, żołnierzy wyklętych i „Śmierć wrogom ojczyzny". Do rowu wyrzucili śmieci. Posprzątałem.

JERZY BACZYŃSKI O RYSZARDZIE PETRU
Zbyt często ujawnia brak doświadczenia, naiwność, narcyzm, podatność na manipulacje, by być realnym przeciwnikiem Kaczyńskiego.

RAFAŁ KRÓLIKOWSKI O POZNANIU ŻONY
Dorota Mirska przeprowadzała ze mną wywiad o sztuce uwodzenia. Autoryzacja przeciągnęła się na kilka tygodni.

GEN. MIROSŁAW HERMASZEWSKI O WYMAGANIACH WOBEC KOSMONAUTÓW
Nie odwagi, a rozwagi. Rozważnego działania w sytuacjach bardzo stresowych, które wytwarzano sztucznie.

WOJCIECH WAGLEWSKI O WOLNOŚCI
Wolność kojarzy mi się ze zdolnością do wyrzeczeń. Chcesz więcej wolności, musisz się postarać.

EDYTA OLSZÓWKA O SOBIE
Lepiej się czuję na scenie niż w życiu. Mam o wiele więcej spokoju w sferze zawodowej niż osobistej.

BOGUSŁAW KACZMAREK O BRAMKARZU LECHII GDAŃSK
U niego płyn mózgowo-rdzeniowy jest wciąż w stanie wrzenia. Potrzebna jest chłodnica, bo chłopak ma olbrzymi talent.

KATARZYNA WARNKE O ZWIĄZKU Z PIOTREM STRAMOWSKIM
Wierzę, że można być długo z jednym partnerem i mieć udany seks. I że taki seks może być właśnie dzięki upływającemu czasowi odkrywczy.

STANISŁAW TYM O KONSTANTYM RADZIWILLE
Z pewnością młode, powracające z Londynu Polki będą zachwycone jego mózgiem przerdzewiałym od kościelnych dogmatów.

eprasa.pl ab0a4c82c6

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

KWIATEK DO WZIĘCIA

Tulipani Italiani to pierwsza farma tulipanów we Włoszech, na której odwiedzający sami zbierają dla siebie kwiaty. Pod Mediolanem, na polu o powierzchni 1 ha rośnie ok. 250 tys. tulipanów 183 odmian. Atrakcję można odwiedzać pod koniec marca i w kwietniu, kiedy kwiaty zaczynają kwitnąć. Cena wejścia (płacą tylko dorośli) to zaledwie 3 euro, czyli koszt dwóch kwiatków.

CZYTANIE NIE BOLI

Naukowcy z Uniwersytetu w Liverpoolu poinformowali na łamach pisma „BMJ Journal for Medical Humanities", że czytanie na głos w grupie może być skuteczną terapią na przewlekłe bóle. Dzięki skupieniu na tekście i dyskusjach o nim pacjenci nie koncentrują się jedynie na bólu, przez co czują się lepiej. Może to dobra zachęta, żeby sięgnąć po książkę?

BUKIET NA POKAZ

Rosjanki, które mają konto na portalach społecznościowych, mogły w Dzień Kobiet pochwalić się w sieci ogromnym bukietem kwiatów, który rzekomo otrzymały od wielbiciela. Tuż przed 8 marca w internecie zaroiło się od ogłoszeń firm, które oferowały wypożyczenie bukietu na 10 minut – tylko po to, by zrobić sobie z nim zdjęcie, a potem zaszpanować wśród znajomych. Koszt usługi – ok. 700 rubli (50 zł) za 101 róż. Zazdrość koleżanek – bezcenna.

MENU W PRALCE

Japoński Panasonic na życzenie klientów wprowadził na indyjski rynek pralki ze specjalną funkcją – prania plam z curry. Po dwóch latach poszukiwania odpowiedniej kombinacji temperatury i ilości wody naukowcom w końcu udało się tak dopasować parametry, by zaspokoić oczekiwania klientów. Firma planuje dostosowywać swoje urządzenia do potrzeb klientów w innych krajach. Ciekawe, jaką funkcję wprowadzi dla polskich konsumentów?

STADION MISIÓW I PLUSZU

Wiener Neustadter Stadion w Austrii ma nową nazwę – do końca piłkarskiego sezonu będzie się nazywał Stadionem Misiów i Pluszu. W lutym klub SC Wiener Neustadt, który rozgrywa tam mecze, przeprowadził wśród fanów sprzedaż losów, której celem było zebranie 500 tys. euro na dalsze funkcjonowanie drużyny, walczącej o utrzymanie się w pierwszej lidze austriackiej. Prawo do wyboru tymczasowej nazwy stadionu wygrała firma z Mannheim, produkująca zabawki. Piłkarzom na pewno nie zabraknie też maskotki drużyny.

Przegląd „PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY

RDC Warszawa 101 FM DAB+

RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. Kisiel. Na bezrybiu i rak zdechnie, bo nie będzie miał co jeść.
2. a, d

eprasa.pl ab0a4c82c6

Łatwiej usunąć z serca i pamięci – ze skóry trudniej. W 2016 r. Angelina Jolie i Brad Pitt zrobili tatuaże, które na zawsze miały połączyć ich ciała i dusze. Zdjęcia wyciekły do internetu.

Jak nie przysnąć za kółkiem?

Porozmawiaj z pasażerem.
CZĘŚCIOWA PRAWDA

Rozmowa z pasażerem pozwala podtrzymać czujność i zmniejsza poczucie zmęczenia trasą. Pasażer na przednim siedzeniu może też wspierać kierowcę w obserwowaniu otoczenia. Natomiast rozmowy wzbudzające silne emocje i takie, które wymagają podjęcia ważnych decyzji, rozpraszają uwagę kierowcy.

Zadbaj o zmiennika. PRAWDA

To jeden z trzech najbardziej niezawodnych sposobów na uniknięcie wypadku spowodowanego zmęczeniem.

Zadzwoń do bliskiej osoby. MIT

Choć rozmawianie przez zestaw głośnomówiący jest zgodne z prawem, stanowi niemal takie samo ryzyko jak prowadzenie rozmowy bez zestawu – tracimy z pola widzenia nawet 50% informacji o sytuacji drogowej, a aktywność obszarów mózgu odpowiedzialnych za widzenie zmniejsza się o 37%. Dostrzegamy tylko to, co znajduje się wprost przed nami. Istnieje więc ryzyko, że nie zauważymy np. pieszego wchodzącego na jezdnię lub rowerzysty nadjeżdżającego z prawej strony.

Unikaj nadmiernego ciepła w samochodzie.
CZĘŚCIOWA PRAWDA

Zbyt wysoka temperatura we wnętrzu auta nie jest korzystna, jednak jej obniżenie da tylko chwilową, złudną poprawę samopoczucia.

Żuj gumę. PRAWDA

Żucie gumy przyczynia się do obniżenia senności w ciągu dnia i wzmaga czujność. Kierowcy, którzy w czasie treningu na symulatorach żuli gumę, rzadziej przekraczali dozwoloną prędkość i lepiej „trzymali się drogi".

Słuchaj głośnej muzyki. CZĘŚCIOWA PRAWDA

Kierowcy, którzy słuchali muzyki, lepiej dostosowywali swoją prędkość do prędkości poprzedzającego ich samochodu. Na zmiany jego prędkości reagowali średnio 1 sekundę szybciej. Częściej też unikali zderzenia z samochodem niespodziewanie wyjeżdżającym z parkingu. Ale uwaga – nie zależy to od głośności muzyki.

Otwórz na moment okno. MIT

Warto samochód wietrzyć, brak tlenu działa usypiająco. Czyste powietrze dobrze wpływa również na nasz wzrok. Jednak jazda przy otwartych oknach nie ma wpływu na stopień zmęczenia kierowcy.

Przyśpiesz. MIT

Zachęcanie zmęczonego kierowcy do szybkiej jazdy to jak odbezpieczenie naładowanej broni.

Zjedź na krótki postój i wypij „energetyka". PRAWDA

Postój to pierwsza zasada bezpieczeństwa zmęczonego kierowcy. Przerwy w podróży należy robić co 2-2,5 godziny lub kiedy poczujemy się znużeni. Warto zrobić krótki spacer, kilka ćwiczeń i głębszych oddechów. Skutki zmęczenia efektywnie likwidują zatrzymanie się na postój oraz wypicie napoju zawierającego kofeinę (150 mg). „Energetyki" nie zastąpią jednak odpoczynku.

Utnij sobie drzemkę. PRAWDA

Drzemka to jedna z najskuteczniejszych metod regeneracji organizmu. Trwająca 2-5 minut jest w stanie efektywnie wyeliminować senność, natomiast dłuższa, trwająca 5-20 minut, poprawia koncentrację, żywotność i sprawność fizyczną. Najbardziej ryzykowne godziny do prowadzenia samochodu to 4 w nocy i 14 po południu. W tych godzinach warto zaplanować postój lub drzemkę.

Źródło: portal uwagakierowcy.pl

FOT. SPLASH NEWS/EAST NEWS (2), @JerzyNow, fb.com.SekcjaGimnastyczna

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
redakcja@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

REDAGUJE KOLEGIUM
Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Bartosz Machalica, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Katowice)
Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Agnieszka Szeszko
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:** Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
p.o. Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji: Sandra Zawadzka

Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi, al. Piłsudskiego 82
Prnumeratę krajową od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu". Prenumerata roczna – 250 zł, półroczna – 130 zł, kwartalna – 70 zł
Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka, Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł. Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną na konto **Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.** Dodatkowe informacje o prenumeracie **Dział Kolportażu:** tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać na stronie **www.prenumerata.ruch.com.pl.** Pytania prosimy kierować na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do Centrum Obsługi Klienta „RUCH" tel.: +48 (22) 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny
brand design & animation
ARTREPUBLICA
Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu"
Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl ab0a4c82c6

Daniel Pielucha

Nadrealizm polski

W obrazach Daniela Pieluchy dostrzec można nawiązania do Chełmońskiego i Malczewskiego. To zarazem nurt krytyczny, bo artysta przedstawia polski zaścianek, zachodzące w nim zmiany i jego nieuszminkowaną naturę, ale też bardzo liryczny, poetycko uduchowiony i zaangażowany w kulturę polskiego malarstwa przełomu XIX i XX w., dyskutujący z jej normami. To opowiadanie się za dającym wytchnienie, naturalnym pięknem, a z drugiej strony sygnalizowanie przemian i czyhających zagrożeń.

Miejska Galeria Sztuki
w Częstochowie
al. Najświętszej Maryi Panny 64

do 26 marca

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ab0a4c82c6

"W KLIMACIE *ROZMOWY* I *TRZECH DNI KONDORA*" - HOLLYWOOD REPORTER

GWIAZDA
NIETYKALNYCH
FRANÇOIS CLUZET

W FILMIE

CIENIE

ZAWSZE KTOŚ CIĘ SŁUCHA

2425 FILMS W KOPRODUKCJI Z SCOPE PICTURES RTBF SABAH 5 PRODUCTIONS Z UDZIAŁEM CANAL+ OCS WALLIMAGE W WALONII I WE WSPÓŁPRACY Z A PLUS IMAGE 6 COFIMAGE 27 SOFITVCINE 3 PRZEDSTAWIA PRODUKCJĘ "CIENIE" OBSADA FRANÇOIS CLUZET DENIS PODALYDES SAMI BOUAJILA SIMON ABKARIAN ALBA ROHRWACHER CASTING MICHAEL LAGUENS MICHAEL BIER KOSTIUMY CHRISTOPHE PIDRE DEKORACJE THIERRY FRANÇOIS CHARAKTERYZACJA ALICE ROBERT MONTAŻ JEAN-BAPTISTE BEAUDOIN ZDJĘCIA ALEX LAMARQUE DŹWIĘK NICOLAS PROVOST JON GOC ALEXANDRE WIDMER MUZYKA GREGOIRE AUGER POSTPRODUKCJA JULIE FLAMENT KIEROWNICTWO PRODUKCJI SANDRINE PAQUOT KOPRODUKCJA GENEVIEVE LEMAL WSPÓŁPRODUKCJA ARLETTE ZYLBERBERG ASYSTENT REŻYSERA LUDOVIC GIRAUD PRODUKCJA THIBAULT GAST MATTHIAS WEBER SCENARIUSZ THOMAS KRUITHOF YANN GOZLAN REŻYSERIA THOMAS KRUITHOF

mayfly
WWW.MAYFLY.PL
FACEBOOK.COM/MAYFLY

TVP KULTURA · Przegląd · INSTITUT FRANÇAIS POLOGNE · FILM film.com.pl · MOVIES ROOM · 5KG · GILDIA.PL · IRKA · SpyShop

eprasa.pl ab0a4c82c6

Mieszkania i domy

Mieszkaniowy PGE Narodowy

1-2 kwietnia

WSTĘP WOLNY*

*po wypełnieniu ankiety

targimieszkaniowe.pl

murator EXPO · PORT PRASKI · FERRO GRUPA FERRO · STREFA DZIECKA · Przegląd · Domiporta.pl · muratordom.pl · WSPON · Radio ESKA

eprasa.pl ab0a4c82c6